

**MAX ALLAN COLLINS**

na podstawie scenariusza Petera Radera i Davida Twohy

# **WATERWORLD - WODNY ŚWIAT**

Przełożył Paweł Korombel

Tytuł oryginału *WATER WORLD*

*Rachel Lemieux*

- „najlepszej” w każdym języku

*Szybko, szybko łódka mknęła,*

*Bezszelestnie pruć fale*

*Słodko, słodko wietrzyk wiał -*

*Gdym sam jeden na niej stał.*

Samuel Taylor Coleridge

Rymowanka dawnego marynarza

## PROLOG

Mówią, że nim stopniały lodowe czapy biegunów, ludzie nie mieszkali w atolach ani wioskach, ale wzniesionych na łądzie “miastach”, żyli i pracowali w strzelistych budowlach zwanych domami, a niektóre z nich sięgały w niebo wyżej niż ustawione jeden na drugim wiatraki. Nie wszystkie ówczesne zwyczaje różniły się od naszych; rodziny żyły razem w samodzielnych mieszkaniach, ale najskromniejsze z nich przewyższały nieskończenie nasze szalały; te komfortowe siedziby z drewna i cegły napotykało się w miastach, to prawda, ale również tu i tam w falującym zielonym krajobrazie wsi, gdzie na “farmach” hodowano zwierzęta i uprawiano rośliny, aby wyżywić populację zamieszkującą oceany łądu. Kamienne wstęgi rozciągały się po łądowych oceanach łącząc miasto i wieś i łądowe łodzie bez przeszkód przemieszczały się po tych zestalonych strumieniach, korzystając z soku pędnego, który występował obficie jak woda. Mówi się nawet, że były “pustynie” - rozległe połacie łądu tak bezwodne, że tylko kolczaste rośliny i kolczaste stwory mogły tam żyć; był to łąd unikany przez ludzi (macie pojęcie?!). Za tamtych czasów stały łąd nie był wyjątkiem, ale rzeczą powszednią pod stopami zarówno mężczyzn i kobiet, jak i dzieci. Kiedy to było? Jak dawno temu? Hm, rzekłabym tak - było to, zanim cały świat pokryła woda. Tak dawno.

Ale ta opowieść, moje dzieci, nie opiewa czasów starożytnych, lecz przeszłość całkiem niedawną, przeszłość, którą sama pamiętam, kiedy obie moje ręce nie były zniszczone i powykręcane. Może trudno wam sobie wyobrazić czas, w którym moja twarz była gładka, a czoło bez zmarszczek, ale nawet najstarsi ze Starszyzny byli kiedyś dziećmi.

I właśnie dawno temu, gdy byłam dzieckiem o gładkiej skórze spotkałam legendarną postać, którą niektórzy z was czczą pod imieniem Żeglarza, a inni znają z imienia bardziej starożytnego niż czas owych strzelistych budowli.

Lecz gdy spotkałam Żeglarza, nie nosił jeszcze imienia. Być może to dlatego Śmierć nie mogła go odnaleźć. I nie miał prawdziwego domu ani nikogo, o kogo mógłby się troszczyć. Czy to powód do smutku? Tak i nie. Samotność była mu siłą. Nie bał się niczego, a jego słuch wybiegał naprzód sto mil pod wodą. Umiał skryć się cieniu, gdy słońce stało w zenicie, i umiał *znaleźć* się tuż za twoimi plecami, tak że nie wiedziałeś o tym aż do ostatniej chwili przed śmiercią.

Nie lękajcie się. On był bohaterem. Hm, może nie zrazu, i jeśli zasłużył sobie na to miano, wyparłby się go, a może nawet poczuł się obrażony. Ale był nim. Był bohaterem. Był najodważniejszym człowiekiem w Wodnym Świecie, choć nie był nawet człowiekiem...

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Woda opływająca dzioby trimaranu przypominała raczej ametyst niż błękit, gdy trzykadłubowa nędzna łódź z pojedynczym obrotowym jak wiatrak żaglem kładła za sobą trzy bliźniacze wstęgi na bezkresnej gładzi oceanu.

Północno - wschodni wiatr dmuchał tak łagodnie, iż Żeglarza kusilo, by się zanurzyć i popływać dla czystej przyjemności. Upał usprawiedliwiał taką pochopną akcję, lecz w istocie byłaby ona pochopna; Żeglarz wiedział, jak zwodnicza jest pozorna nieruchomość trimaranu. Znał swoją łódź. Nawet jego pływackie umiejętności (którym nikt nie potrafił dorównać) zdałyby się na nic. Chociaż ster był uwiązany i kurs ustawiony na wiatr, zostawiłaby swojego kapitana w mgnieniu oka, śmignęłaby daleko w rozległe morze, goniąc horyzont samotrzeć.

Ale pokusa pozostawała pokusą. Szklące się morze marszczyło się tak łagodnie, że można było zapomnieć o niebezpieczeństwach pod powierzchnią. Oczywiście nad nią też czyhały - rekiny w ludzkiej postaci - ale Żeglarz był dobrze zaopatrzony i poradziłby sobie z każdą groźbą zarówno ze strony zwierząt, jak i przedstawicieli własnego gatunku.

Łagodny wiatr zapewniał idealne warunki połowu. Ciągająca linę trałową łódź była rupieciarnią z aluminium, plastiku i pleksi, pradawnych wykopalisk skleconych palnikiem, igłą, klejem i młotem w czterdziestostopową, dziwnie zgraną jednostkę, na której wiatr, morska woda i słońce zostawiły swój ślad, tak jak na jej kapitanie, i która, jak i on, nie dawała sobą rządzić. Trzy równej wielkości kadłuby łączyła siatka pełniąca rolę pokładu, dzięki któremu przemieszczanie się z pontonu na ponton było dziecięcą igraszka. A jednak mimo to zarówno kapitan, jak i jego jednostka byli dziwnie szczupli, i pytanie, czy szczupłość tych szarych kształtów była przedłużeniem jego osoby, czy też on był przedłużeniem łodzi, umykało wszelkiemu wytłumaczeniu - jak sam Wodny Świat.

Mieszkał na swojej bezimiennej łodzi. Drzewko cytrusowe, którego ciemnozielone owoce zaskakiwały plamą koloru na wszechwładnej szarości pokładu, było tu jedyną formą życia. Przeszkadzaje wydarte z płyt głównych komputerów i obwodów drukarek ćwierkotały cichutko i zawodziły melancholijnie; zamontowana na dziobie harmonijka grała widmową nie kończącą się melodię nie melodię; urządzenia kontrolne kokpitu poruszały się reagując na prądy. Ubranie wyprane w słonej wodzie powiewało na wietrze. Plamy słońca i cienia, swobodnie huśtający się hamak, pokryte zaschniętą krwią działko harpunnicze - oto jego stali towarzysze.

Przyżółkły szklany puchar od dawna nie służył celowi, dla którego go wyczelowano.

Uryna Żeglarza spadała do niego łukiem tak łagodnym, jak rozleniwione fale, które pruća łódź. Kiedy zapiął rozprek spodni - przyciętych dżinsów dużo starszych od swojego właściciela - porwał puchar z cennym żółty płynem i zaniósł go do samodzielnie stworzonego systemu odzyskiwania wody. Wlał szczychy do plastikowego lejka, gdzie zaczynał się cały proces, i stał przytupując, podczas gdy płyn przeciskał się przez kule, filtry, rurki i zawory. Schemat urządzenia sprzedał Żeglarzowi zasuszony kupiec, utrzymujący, że wynalazcą był "bardzo wielki uczone z Czasów Łądu. Nazywał się Rube Goldberg".

Gdy płyn ukończył znojną przepawę, a kurek został odkręcony i przefiltrowany produkt pociurkał do pucharu trzymanego przez spragnionego Żeglarza, żółty odcień uryny był już tylko marnym wspomnieniem.

Mężczyzna podniósł puchar do ust, odrzucił w tył głowę i przywrócił płyn ciału. Zaoszczędził ostami łyk, precedził go przez zęby płuczając je w ten sposób, a potem ze zwykłą celnością splunął tą resztką w ziemię zapelniającą donicę z drzewkiem.

Żyłasty Żeglarz z porytą od wiatru i słońca skórą - w samych dżinsach, z pasem z pochwą na nóż i kolczykiem z muszli w uchu - miał rysy, które w innych warunkach byłyby przystojne. Ale oczy wzywały ze szparek nad zmarszczonymi od stałego wypatrywania brwiami, a twarz była ostro zarysowana, pomarszczona i zakryta bujnym zarostem, miejscami łączącym się z długą do ramion, wypłowiałą od słońca kasztanową grzywą. Kryła tajemnicę.

Łódź nagle drgnęła i zaskrzypiała. Zręcznym susem rzucił się do steru. Ujrzał, że lina trałowa doprowadzona do kabestanu napięła się mocno nad elipsą rufy. Starożytny zardzewiały wskaźnik informował, że na głębokości czterystu dwóch stóp lina o coś zahaczyła...

Szybko i zręcznie złapał z pokładu zapinany na zamek błyskawiczny wór ratowniczy, zapiął na sobie pas narzędziowy, wybrał odpowiedni metalowy ciężarek - ani za lekki, ani za ciężki - i przymocował do ręcznego hamulca ciernego liny. Potem wyprostował się i odwrócił klepsydrę zrobioną z plastikowej butelki na mleko. Wysuszony kawior sypał się na tackę połączoną z kabestaniem.

Żeglarza czekało nurkowanie i przełożenie zawartości trału do worka, zanim odmierzony czas dobiegnie końca, dźwignia automatycznie przeskoczy i lina trałowa zostanie wybrana.

Zadanie wymagało dłuższego przebywania pod rozbłyskującą ametystową powierzchnią, niż byłoby na to stać ludzi o najsilniejszych płucach. Ale Żeglarz nie pomylił się w obliczeniach. Nie był głupcem i nie martwił się.

Jedynie dał sobie kilka chwil na serię głębokich, hiperwentylujących oddechów. Stał

na szeroko rozstawionych stopach, których palce były zrosnięte błoną, rozluźniał skrzela za uszami pod fruującą grzywą.

Skoczył przez burtę. Połknęło go przyjazne morze.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Dokładnie w chwili, w której z klepsydry wypadło ostatnie ziarenko kawioru, dźwignia przeskoczyła i kabestan zaczął wyciągać linę - wór ratowniczy wystrzelił na powierzchnię w pobliżu trimaranu i wynurzyła się głowa Żeglarza.

Wór spęczniał od łupu. Były w nim srebrne krążki z napisami "Płyta kompaktowa, Digital Audio" (do czego one służyły? - zachodził w głowę), gładki kwadrat plastiku z szarym ekranem (ten miał napis "Narysuj na mnie"), kilka pustych szklanych butelek i kilka plastikowych. Na tym nie koniec. Dobry połów. Prawdę mówiąc, zbyt bogaty, aby wszystko dało się wepchnąć do wora...

Wdrapał się na pokład ociekając wodą, zaczerwieniony i zadowolony. Złożył kilka cenniejszych przedmiotów na pokład środkowego kadłuba. Zresztą i tak przeważnie były większe od wora; wygięty kijek narciarski, złamana narta, para odbarwionych butów narciarskich związana sznurówkami (po raz pierwszy udało mu się wyłowić parę butów!).

Reszta skarbów pozostała w worze. Będzie musiał wyciągnąć go na pokład, bo wkrótce prądy poniosą go daleko.

Ale dał sobie chwilę na przyjrzenie się jednemu wartościowemu przedmiotowi. Trafiał mu się już poprzednio i widywał u innych kupców działające egzemplarze, ale sam nigdy takiego nie znalazł. Był na nim napis "Bic", ale Żeglarz słyszał, jak nazywano "zapalniczkami" te okrągłe, krótkie patyczki.

Nacisnął kciukiem końcówkę.

Płomyk błysnął z zapalniczki i uśmiech zaigrał na pomarszczonej twarzy Żeglarza. To dopiero zdobycz...!

Wtem jednocześnie coś zaskrzypiało i zachlupotała woda. Momentalnie zareagował czujnie. Na tych spokojnych wodach to mogła być tylko obca łódź. Skoczył do działka harpunniczego zamontowanego na dziobie i wycelował je w kierunku odgłosów.

Czy obca łódź zbliżała się, czy odpływała? Żeglarz natychmiast zorientował się, że odpływała! Ten sklecony byle jak siup, jednomasztowy jacht - mniejszy niż jego łódź - musiał podpłynąć burta w burtę, kiedy Żeglarz nurkował. Czy kapitan i załoga w jednej osobie - azjatycki włóczęga w wyżebranych strzępach skóry i żaglowego płótna - wykorzystał nieobecność Żeglarza i ukradł coś pospiesznie?

Azjata przy sterze słupa zmartwiał widząc, że jest celem działka. W nerwowym uśmiechku odślonił nieliczne, ale za to różnokolorowe pieńki zębów - w wielu odcieniach

zółci i zieleni. Ostrożnie podniósł ręce.

- Nie wszedłem na twój pokład - powiedział w hindi. - Nie zrobiłbym czegoś takiego.

Żeglarz nadal celował we włóczęgę, ale szybkim rzutem oka ogarnął trimaran. Chyba niczego nie brakowało. Obniżył nieco działko, ale nadal trzymał faceta na muszce.

-Długoś siedział na dole - powiedział Azjata, nadal w hindi. - Myślałem, że może coś ci się tam przydarzyło...

-Myślałeś czy miałeś nadzieję? - odparł Żeglarz w tym samym języku.

-Nie, Anglaku. - Azjata przeszedł na angielski z fatalnym akcentem. - Nie życzę nieszczęścia żadnemu człowiekowi... jeśli to nie Dymiarz.

Dymiarze byli najgorszymi piratami Wodnego Świata, barbarzyńskimi podkomendnymi zdeprawowanego szaleńca zwanego Diakonem.

Żeglarz odstąpił o krok od działka - na znak dobrej wiary.

-To zależy od tego, czy Dymiarze zasługują według ciebie na miano ludzi.

-Raczej bestii - odparł Azjata. Podejrzliwość ściągnęła wykrzywioną w uśmiechu twarz. - Ale powiedz mi, jak "człowiek" może tak długo siedzieć pod wodą?

-Kadłub jest wgnieciony - rzekł Żeglarz wykonując luźny gest. - Dziura jest tak wielka, że można wsadzić głowę i pooddychać.

-Niefart - powiedział Azjata kręcąc głową. Ostrożnie opuścił ręce. - Ale wiesz co? Teraz Niewolni robią całkiem niezły epoksyd.

Wór ratowniczy dryfował obok słupa; czy azjatycki włóczęga go zauważył? Żeglarz rzekł:

-Ale kosztuje fortunę.

-Garść ziemi. A może taki przeszkadzaj. Albo reproduktora. Jeśli z ciebie taki człowiek, który zajmuje się żywym mięsem.

Żeglarz obserwował wór z łupem, jak odpływa ściągany przez prąd, ten zwodniczo spokojny prąd.

-A ty czym się zajmujesz? - spytał włóczęgę.

-Tym i owym.

-Czemu stałeś przy mojej łodzi? Azjata znowu się uśmiechnął.

-Ja tylko tak... Czekałem. Czekałem na ciebie.

-Na mnie?

- Na ciebie. Może nie wypłynąłbyś. - Azjata wzruszył ramionami. - Wtedy bym wszedł na twój pokład.

Wór nadal tańczył w zasięgu wzroku. Gdy tylko intruz odpłynie, Żeglarz odzyska

swój łup.

Ale gdy się odezwał, nie okazał niepokoju.

- Skądś znam twoją łódź. Widziałem ją wcześniej... ale bez ciebie.

Azjata znowu wzruszył ramionami.

-Poprzedni właściciel już jej nie potrzebował.

-Czemu to?

-Bo nie żyje, Anglaku. Przejąłem ją legalnie - wedle prawa ratowniczego. - Wskazał ruchem głowy trimaran. - Miałeś jeszcze godzinę...

-Zanim byś wymienił swojego słupa na mój trimaran?

-A pewnie. - Tym razem wzruszył jednym ramieniem. - Tylko żeby sobie polepszyć warunki. Nie można mieć o to pretensji.

-Przynajmniej poczekałeś. Tyle ci zawdzięczam. Ręce w zniszczonych rękawicach bez palców pomachały w powietrzu.

- Nie, nie, nic mi nie zawdzięczasz, Anglaku. Mam wszystko, czego potrzebuję. Widzisz, właśnie przyplłynąłem z atolu... Jak cię interesuje, osiem dni żeglugi na wschód.

Żeglarz kiwnął głową i spojrzał w kierunku wschodniego horyzontu, obserwował swój wór, jak znosi go morze. Niemal z roztargnieniem powiedział:

- Kiedy dwóch z naszego gatunku się spotyka, trzeba dokonać jakiejś wymiany...

- Znam kodeks równie dobrze jak ty, Anglaku. Oczy Żeglarza nie odrywały się od horyzontu, ale nie wór był głównym przedmiotem jego zainteresowania. Niedbale powiedział:

- Mogłeś zabrać moją łódź. Powinienem ci się odplacić...

Azjata zaprotestował trochę zbyt gwałtownie:

- Powiem ci coś... niech będzie, że zrobiłem to za darmo.

Na horyzoncie pokazało się coś jeszcze.

- Nie ma nic darmo w Wodnym Świecie - powiedział Żeglarz.

Dwa obłoki spalin unosiły się z odległych punktów na wodzie. Ale towarzyszył im odgłos, który wydawał się znacznie bliższy niż te punkty; odgłos pracy silników.

Były fatalnie wyregulowane, ale pracowały na otwartych przepustnicach.

Azjata też je usłyszał i gwałtownie odwrócił głowę.

-Dymiarze - wyszeptał. Oczy rozszerzył mu strach. Polizał palec, wystawił w górę sprawdzając wiatr. - Wieje dość, żeby się bezpiecznie zmyć...

-Powodzenia - rzekł Żeglarz.

-Powodzenia - odkrzyknął Azjata. Poluzował bom, wybrał fał i obszarpany siup odpłynął.



Żeglarz spoglądał na swój dryfujący wór i Azjata, płynący długo tym samym halsem, też go dostrzegł.

- Nie warto, Anglaku! - zawołał kręcąc tak gwałtownie głową, że dwa zielone, prawie okrągłe przedmioty wypadły ze strzepów koszuli na pokład.

Żeglarz błyskawicznym spojrzeniem obrzucił drzewko cytrusowe. Gałęzie zostały ogołoczone z jakże bezcennych owoców.

Ale siup oddalał się coraz bardziej i jego obdarty kapitan wzruszał ramionami, odsłaniając w uśmiechu wielokolorowe rzadkie zęby.

- Widzisz, jednak mi zapłaciłeś, Anglaku! - krzyknął. Żeglarz nie marnował przekleństw na wodnego meta - miał inne rzeczy do zrobienia.

Odwrócił się do konsoli sterującej i przerzucił kilka dźwigni. Łódź zmieniła się nieoczekiwanie. Obrotowy żagiel przylgnał do masztu, który wydłużył się dwukrotnie, ze środkowego kadłuba wynurzył się bom. Rozwinęły się żagle - fok, grot, bezan - i trawler nagle, niemal cudownie, przeistoczył się w smukły jacht wyścigowy.

Pracując ciągnami sterów i szotami Żeglarz mknął wprost do tańczącego na wodzie wora z łupem, trimaran ciął szklaną powierzchnię jak strzała wypuszczona z łuku.

Inni też Wzięli kurs na jego wór ratowniczy.

Kropki na horyzoncie rozrosły się w straszliwy kwartet. Czterech prawie nagich osiłków było, jak słusznie nazwał ich włóczęga, Dymiarzami. Ich zaciekłość dorównywała głupocie. Dosiadali sań (zwanymi w czasach starożytnych "skuterami wodnymi") na palący wodę sok pędny, a warkotliwe, plujące dymem silniki zniszczyły bezpowrotnie ciszę popołudnia, gdy zbliżali się do tańczącego na falach wora.

Żeglarz znał dobrze dzikość tych umięśnionych półgłówków. Nie wystarczyło być od nich mądrzejszym - będzie musiał być też szybszy. Pracował przy ciągnach steru, wybierał szoty, błyskawicznie zwił się za całą załogę...

Trimaran frunął z prędkością czterdziestu węzłów podczas zwrotu wokół worka. Z długim gaflem w dłoni, drzewcem zwykle służącym do podnoszenia czworokątnego żagla, Żeglarz wdrapał się na zewnętrzny kadłub i ściągnął wór, chociaż łódź kładła się w głębokim przechyle.

Następnie trimaran podążył w przeciwnym kierunku.

A czterej piraci na skuterach wodnych, niemal spadając z siodełek, zawrócili na swoich małych jednostkach i rozpoczęli wściekły pościg. Zostawiali za sobą spienione kilwatery. Chrapliwe przekleństwa mieszały się z rykiem zatruwających powietrze silników.

Żeglarz widział daleko jacht azjatyckiego włóczęgi. Obrął kurs kolizyjny i siedział już

na karku draniowi, gdy ten wreszcie otrząsnął się z rozleniwienia i z resztką cytryny w ręku zdał sobie sprawę, że odgłos silników nie dobiega go już z daleka, i Dymiarze są niebezpiecznie blisko.

Azjata odrzucił cytrynę jak kawałek rozżarzonego do czerwoności metalu i rozpaczliwie usiłował wybrać szoty, szarpał płótna, aby zwiększyć trochę prędkość, ale Żeglarz był coraz bliżej.

A Dymiarze pruli fale, celując w rufę trimaranu.

Azjata wydał z siebie żalosny skrzek, któremu nie dane było rozwinąć się w krzyk. Kapitan idącego kursem kolizyjnym trimaranu nagle wybrał szoty zlewając siup fontanną wody, i najbliższy kadłub uniósł się nad pokładem Azjaty jak skrzydło ptaka.

Ale to skrzydło złamało w połowie maszt mniejszej jednostki.

Patrzac na pogrążonego w czarnej rozpacz kapitana, dryfującego ze szczątkiem masztu, Żeglarz pogroził mu palcem i posłał karcące spojrzenie.

Nie łamie się kodeksu!

Biorąc pod uwagę bojowe wrzaski nadciągających dzikusów, nie zapowiadało się, by włóczęga na długo zapamiętał tę nauczkę.

Zgodnie z przewidywaniami Żeglarza Dymiarze zaniechali pościgu na rzecz ataku na łatwiejszą, bo zranioną ofiarę.

- Nie powinien był zabierać cytryn - rzucił za siebie Żeglarz.

Bo tak naprawdę to nic nie było za darmo w Wodnym Świecie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Powiadają, że atole były kiedyś wyspami, pierścieniami lądu otaczającymi laguny, i często składały się z przypominających skały, szkieletowatych morskich narośli nazywanych koralowcami. Atole Wodnego Świata również były szkieletowate, lecz nie natura, tylko ludzie ukształtowali je z resztek zachowanych z dawnych, pracowitych Czasów Lądu.

W osiem dni po spotkaniu z włóczęgą i Dymiarzami, przywróciwszy trimaranowi wygląd trawlera, Żeglarz płynął kursem na wschód zbliżając się do rozciągniętego atolu. Sterczał ostro nad powierzchnią oceanu jak gigantyczna pływająca góra odpadków, śląc w promieniach wspaniałego popołudniowego słońca absurdalne złote blaski. Otoczone murami miasto okalało centralną lagunę - to tu, to tam sterczała nad nim wieża strażnicza - wznosząc się na kadłubach zniszczonych statków. Takie osady były przypadkowymi połączeniami kawałków metalu, drewna, plastiku i płótna, najdziwniejszą zbieraniną... podobnie jak ich mieszkańcy.

Żeglarz zbliżał się do masywnych dwuskrzydłowych wrót, pilnowanych przez wieże z szorstkiego płótna opiętego na szkielecie z drewna i stali. Dostrzegł wysuszonego, prawie nagiego mężczyznę w jednoosobowej łódce. Kołysała się na falach przed przypominającą zaporę bramą wodnego miasta. Nieszczęśnik usiłował rozpaczliwie wy - błagać wstęp. Jego skorupa niegodna miana łodzi, była jedną z wielu małych, marnych jednostek obsługujących nędzę Wodnego Świata.

Dwaj wartownicy nosili zszyte - z - tego - i - owego odzienie typowe dla mieszkańców atoli, ale podobieństwo łachmanów sprawiało, że wyglądały na "mundury". Nadawały wartownikom urzędowy wygląd, którego brakowało większości Atołczyków.

Brodaty wartownik z prawej, marszcząc brwi, wrzeszczał na nieszczęśnika w skorupie.

- *Quittez mi camino! La! Departez stąd! Bizeff!*

Ale nieszczęśnik nie rozumiał po poliglocku. Bezradnie podnosił oczy w górę i trzął kudłatą głową.

- Na ile sposobów mam ci mówić?! - zjadliwie krzyknął brodac. - Wynocha! Precz! Zjeżdżaj!

- Te włosy! - odkrzyknął nieszczęśnik. Żeglarz rozpoznał Afrykanera.

- Te włosy! - krzyczał dalej nędzarz trzęsąc skołtunioną masą, jakby był piękną kobietą, która prezentuje fruwające loki. - Tobie ja daję! Za hydro... tylko jedną małą

filizankę!

Brodaty wartownik spojrział na mniej obrośniętego towarzysza w drugiej wieży.

- Jak myślisz?

Tamten skinął głową i rzekł:

-Ma trochę tych kudłów na sobie.

-Jak chcecie zrobić interes na boku, to śmiało... - rozległ się władczy głos.

Należał do barczystego, dobrze umięśnionego, spalonego słońcem osobnika, który szedł wzdłuż parapetu w kierunku brodatego wartownika. Po drodze skinął głową robotnikowi nabijającemu szczyt ochronnych wałów atolu zabójczymi kościanymi pikami. Ostrzegały wyraźnie przed próbą wtargnięcia do środka. Używający władczego tonu, rosły osobnik, odziany w typowy melanz skóry i żaglowego płótna, nie potrzebował munduru, by Żeglarz się zorientował, kogo widzi. Każdy atol miał strażnika przy bramie. Nazywano go Pięść Prawa.

Taki człowiek dbał o to, by nikt nieproszony nie przedostał się do atolu.

- ...bo interes to dźwignia, która porusza Wodny Świat - kontynuował Pięść Prawa. - Tylko nie otwieraj mu bramy.

Z jego rzeczowego tonu nie przebijała groźba. Nie było ku temu żadnej potrzeby. Ten człowiek potrafiłby w razie potrzeby oderwać rękę ofierze i zatłuc nią na śmierć.

Brodacz skinął głową Pięści Prawa i przywiązał skórzaną sakwę z hydro do liny. Afrykaner ubił interes, ale nie dostał pozwolenia na wplynięcie do atolu.

Trimaran, z wolna kręcąc obrotowym żaglem, wśliznął się do zatoki przed budzące respekt wieże. Żeglarz wciągnął na maszt zielony proporczyk kupca; łup wyłożył do obejrzenia na dziobie: kołpaki z lądowych łodzi, jo - jo, zniszczony przedmiot nazywany "klarnet" (zapewne instrument muzyczny), srebrne dyski nazywane CD i więcej starożytnego śmiecia, który stał się współczesnym przedmiotem pożądania.

Żeglarz zadbał również o własny wygląd. W kamizeli ze skóry i płótna, obcisłych spodniach z rybiej skóry i butach narciarskich wyłowionych zeszłego tygodnia wyglądał jak prosperujący kupiec.

Za którego zresztą się uważał.

Z kołyszącą się na linie u pasa skórzaną torbą wstąpił na sieciowy pokład i spojrział z nadzieją na brodatego wartownika; Pięść Prawa stał w pobliżu. Nie wyglądało na to, aby któryś ze spozierających w dół mężczyzn był pod wrażeniem.

Żeglarz spytał:

-*Quel lang?* Pięść Prawa odparł:

-Rzekłbym, że twoim językiem jest angielski, włóczęgo.

Żeglarz skinął z szacunkiem głową.

- Więc po angielsku - powiedział rzeczowo Pięć Prawa. - Obawiam się, że szlaban, włóczęgo. Mamy dość kupców w Oazie.

Więc tak nazywał się atol - Oaza. Pięć Prawa podniósł głos:

- Odplywaj!

Czas na ciężką artylerię.

Żeglarz dźwignął skórzaną torbę. W niej był spory dzban. Zdjął pokrywę. Nabrał ze środka garść bezcennej substancji i przesypał między palcami.

Aromat rozszedł się z wieczorną bryzą i połaskotał nozdrza brodacza i krzepkiego Pięści Prawa. Nie potrafili powściągnąć uśmiechu. Zapach zawartości dzbana - a była naprawdę pierwszorzędnej klasy - działał na większość ludzi jak afrodyzjak.

- Ziemia - westchnął wartownik. Żeglarz uśmiechnął się - nieznacznie.

-Otwórz mu bramę - zamruczał Pięć Prawa. Nic w Wodnym Świecie - nawet najsmakowiciej usmażona ryba, nawet najbardziej uwodzicielsko uperfumowana kobieta - nie mogło równać się z zapachem lądowej przeszłości.

-Rąbnij z dział wodnych - rzucił niedbale Pięć Prawa i wartownik usłuchał rozkazu, zlewając Afrykanera i resztę biedoty w żalonych łódeczkach strugami wody. To powstrzymało ich przed wpłynięciem w wysokie żelazne wrota, gdy uchyliły się przed trimaranem.

Cztery obleczone płótnem łopaty wiatraka mełły leniwie powietrze, a jego wysoka wieża rzuciła ogromny cień na powierzchnię laguny. Dostarczał prądu unoszącej się na wodzie wiosce i był najwyższą, dominującą budowlą.

Nawet pod postacią trawlera łódź Żeglarza poruszała się z taką swobodą i lekkością, że zwróciła uwagę Atolczyków - milczącego, ponurego ludu, ubranego w łataninę zgaszonych szarości i brązów. Nie nosili ozdób ani biżuterii. Część przywdziewała azjatyckie w stylu, szerokie kapelusze słomiane, zasłaniające zarówno twarze, jak i oczy.

Liny wiązały łodzie i barki Atolczyków, a ich mieszkańcy chodzili kładkami przerzuconymi od burty do burty. Niewielu sprawiało wrażenie zajętych, chociaż para rybaków odcinała mięso z wypatroszonego rekina. Obręcze klatki piersiowej drapieznika sterczały w powietrzu jak ogromne kły.

Ci obywatele wodnego miasta nie pozdrawiali przybysza, nie machali mu rękami, nie wołali do niego. Jedyne patrzyli - niektórzy z ciekawością, inni z jawną niechęcią. Żeglarz też nie był skory do powitań, jedynie zimno odpowiadał spojrzeniem na ich spojrzenia.

Muskularny Pięść Prawa cały czas towarzyszył mu, przechodząc z jednej kładki na drugą. Żeglarz nie pokazywał po sobie, że to widzi, ale świetnie zdawał sobie sprawę, że jest pod obserwacją. Mógł się jej spodziewać. Pilnujący porządku zawsze mieli oko na obcych, a Żeglarz całe życie był obcy. Przywykł do tego.

Niebawem trimaran przesunął się wzdłuż rozłożystej barki organicznej - obwieszzonego wieloma wstążkami, pomalowanego z zewnątrz źródła nieustępliwego smrodu na każdym atolu. Częściowo przyzma kompostowa, częściowo sad, częściowo cementarz, w tym momencie spełniała ostatnią funkcję. Pod drzewem równie smutnym jak potężnym gromadka żałobników i Starszyny kościelnej w przedziwnych szatach z wodorostów i czapach z suszonych meduz otaczała ciało starszej kobiety. Jeden z obecnych obcinał jej włosy i kładł do sakwy.

Wyraźny głos poszedł po wodzie. Jeden ze Starszych, truposzowaty, władczy jegomość, rozpoczął orację, gdy ostrzyżone do nagiej skóry ciało złożono na kopcu organicznej papki.

- Kości w korzenie - przemówił - żyły w żywicy... te ścięgna w ślaz, ta krew w kłosa.

Ciało kobiety zaczęło się zapadać, podczas gdy żałobnicy sięgnęli po motyki i zaczęli okopywać pobliskie grządki owoców i warzyw. Potem bez jednego pomruku kompostowej przyzmy trup znikł.

- Zbyt stara, aby żyć, opuściła nas teraz...

Bardziej od pogrzebów Żeglarz nienawidził tylko kazań. Popłynął dalej, lecz głos Starszego ścigał go.

-Ciało włączone w recykling i uświęcone... - głos rozległ się z namaszczeniem: - ...w obliczu Tego, Który Nas Prowadzi!

-Zgadza się - powiedział Żeglarz i skierował swoją jednostkę ku nabrzeżu z kratownicy. Wiadomo, ci Atolczycy to przesądne plemię. Żyli z dnia na dzień, rozpaczliwie pragnąc przetrwać, i potrzebowali czegoś, choćby nie wiem jak głupiego, w co mogliby wierzyć. Żeglarz wołał wierzyć w siebie.

Cumował łódź, gdy padł na niego groźny cień. Podniósł głowę i ujrzał mężczyznę, który wydawał się wyższy niż główny wiatrak.

- Pamiętasz mnie? - spytał niedbale Pięść Prawa. Żeglarz wyprostował się i stawiał czoło wyzwaniu.

-Wiem, kim jesteś i co jest twoim zajęciem.

-Dobrze.

Pięść Prawa wcisnął mały żelazny wskaźnik zegara słonecznego w dziurę nabrzeża.

-Masz dwie godziny.

-Wystarczy mi jedna.

-Mniej to twój wybór. Więcej - naruszenie prawa. Zrozumiano?

Żeglarz skinął głową.

Pięść Prawa obserwował Żeglarza, gdy z sakwą przerzuconą przez ramię, kryjącą dzban cennej ziemi, poderwał z pokładu płócienną torbę z wyłowionymi skarbami. Otworzył ją i wyjął prostokątne wsteczne lustro ze starożytnych lądowych łodzi poruszanych sokiem pędnym.

Skierował się w górę nabrzeża i zatrzymał jednego z dwóch obszarpanych chłopaków, pałętających się w pobliżu. Drugi przypadł do kolegi, gdy Żeglarz spytał o drogę do barki wymiany.

-Tam, panie - odrzekł zagadnięty. Wybałuszył oczy na widok lustra. - Co to takiego, panie?

-Coś, w czym możesz się przejrzeć, i chociaż to nie woda.

-Rany! - powiedział chłopiec. Jego kolega zbliżył się do błyszczącego przedmiotu i dwie umorusane twarze spojrzały na swoje odbicia.

- Niech mnie kraby porwą! - rzekł z zachwytem drugi. Żeglarz lekko stuknął go w głowę.

-Nie przeklinaj. To niecywilizowanie... To się nazywa lustro. I jest twoje.

-Którego z nas? - spytał pierwszy chłopak.

-Jest dla was obu. Umiecie się dzielić, no nie?

-Jasne! - powiedział drugi chłopak, zadowolony, że kolega będzie musiał się z nim dzielić takim skarbem.

-Hm, jest waszej jeśli wszystko będzie na miejscu, kiedy wrócę - rzekł Żeglarz wskazując na trimaran.

Chłopcy zapewnili go, że tak będzie, i schował lustro do torby.

Barka wymiany była niedaleko i gdy tam podążał, sznur Atolczyków szedł za nim jak szczury za głosem piszczałki. Wieść o dzbanie drogocennej ziemi rozeszła się po miasteczku jak ogień ściągający ostatnią kroplę soku pędnego.

Barka wymiany była częściowo tawerną, częściowo sklepem. Wysokie bele stropowe przykrywała sieć, dodając wnętrzu uroku mglistej otwartości. Przy niektórych stołach handlowano, przy innych jedzono lub pito. Jeden kontuar służył za bar, przy którym serwowano hydro różnej klasy czystości; inny, nieco z boku, spełniał rolę kantoru bankowego.

Właśnie przy tym Żeglarz ubił swój interes.

Ziemię z dzbana wysypano na wagę, odmierzono dokładnie i potraktowano z delikatnością, na która zasługiwał tak rzadki towar. Opasy bankier wytrzeszczał oczy ze zdziwienia i chciwości.

- Siedem kilo dziewięćdziesiąt - szepnął. - Czysta. Atolczykom tłumnie obserwującym transakcję zaparło dech w piersiach. Dawno temu złoto i srebro były uważane za cenne. Ci, którzy zebrali się tu, na łagodnie kołyszącej się barce, uznaliby tamten pogląd za absurdalny. Złoto i srebro nie miały praktycznej wartości, niczym nie różniły się od kamieni i szły na dno jak one. Ale ziemia? Och, to było coś cudownego...

-Gdzieżeś trafił na tyle tego? - spytał bankier. Żeglarz wzruszył ramionami.

-Na innym atolu.

-Na którym?

-Trzydzieści horyzontów na zachód.

-Hmmm - zamruczał bankier. Kupka ziemi na wadze wywierała na niego hipnotyczny wpływ. - A skąd oni ją wzięli?

-Nie powiedzieli.

Z tłumu wyrwał się pomarszczony Atolczyk płci męskiej.

-Słyszałem o tym mieście! Dymiarze je napadli! Inny potwierdził wieść:

-No! Wszystko tam zabili!

- Dlatego nikt nie miał nic do powiedzenia - rzucił Żeglarz.

Zaniepokojone pomruki przeleciały przez tłum jak fala. Bankier przymrużył oczy i wbił je w Żeglarza.

-Czy to Dymiarze zabijali?

-Nie wiem - odparł Żeglarz. - Może Niewolni. Więc ile dajesz? - Wskazał na kupkę ziemi balansującą na szali. - Gadamy czy handlujemy?

-Co powiesz na to, żeby wycenić ją jak czyste hydro? - zaproponował bankier ze zbyt wymuszonym uśmiechem.

- Jest wart więcej niż hydro i cholernie dobrze o tym wiesz.

Bankier zadarł głowę. Uśmiech wykrzywił kącik tłustych warg.

-To wyniosłoby sześćdziesiąt dwa czity. Kwota nie do pogardzenia tu w Oazie.

-Podwójna byłaby tym bardziej nie do pogardzenia. Tyle żądam.

I tyle dostał.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Za stanowiskiem wymiany była część zarządzana przez właścicielkę barki, uderzającą piękną kobietę imieniem Helen. Jej wielkie, czyste oczy były tak ciemne, jak wspaniałe włosy zebrane w warkocz i odsłaniające twarz, zmysłową i jak wykutą z kamienia. Łagodny łuk szyi zdobił naszyjnik z paciorków. Do szczupłych kształtów przylegała siatkowa tkanina. Niejeden bywalec płci męskiej siedział długo w tawernie po tym, jak osuszyli do reszty ostatni garnuszek hydro, aby tylko móc dalej pożerać wzrokiem niezwykłą urodę, pełne usta, bujny kształt kobiecego łona pod skórzaną bluzką.

Wielu w Oazie - jak i w każdym atolu w Wodnym Świecie - dawno straciło wszelką nadzieję i rozpaczliwie przywiązało się do tej cywilizacji, która - jak Helen dobrze o tym wiedziała - była skazana na śmierć.

Co dawało napęd tej kobiecie? Co odróżniało ją od tłumu?

Wiara w starożytny mit o miejscu zwanym Suchy Łąd.

Z tym, że dla Helen Suchy Łąd nie był mitem.

To przekonanie i niezwykła sierota, którą wychowywała, dawały jej wiarę w lepsze jutro.

W tym właśnie momencie obsługiwała parę parszywych kupców opartych o bar, być może po to, aby wygodniej zerknąć za skórzaną bluzkę barmanki. Nie wzbraniała im tego widoku, póki sycili się nim z dystansu. Jednakże gdyby któryś zaczął pchać się z łapami, była gotowa użyć ostrza leżącego pod barem i odrzucić krwawy ochłap właścicielowi.

-Ziemia? Też mi coś wielkiego! - powiedział młodszy z kupców do drugiego.

-Nie zjesz jej - przytaknął tamten.

Nalała do wysokich szklanek mętnego hydro trzeciej klasy i podała kupcom.

-Ale możesz jeść owoce i warzywa, które z niej wyrastają - wtrąciła się.

-Szczerza prawda - powiedział młodszy. - Ale na tej ilości, jaką możesz znaleźć, nie wyrosnie wiele. - Dla podkreślenia tego argumentu wskazał z pogardą na karłowaty krzew pomidora. Rósł w donicy na prawie gołych półkach sklepu w głębi baru. Helen była właścicielką i opiekunką krzaka.

-A stać cię na tę roślinę? - spytała go z chytrym uśmieszkiem.

-Nie w tym rzecz! Moim zdaniem cena tego towaru jest znacznie zawyżona!

-E tam, żeby to mewa obesrała! - zaprotestował starszy kupiec. - Zabiłbyś, żeby mieć ten towar. Ja też.

-Nie chodzi o to, co można zrobić z ziemią - powiedziała Helen. - Ważne jest, co symbolizuje... o czym przypomina i czego nie możemy zapomnieć, bo rodzimy się z tą pamięcią w jakimś ukrytym, tajemnym zakątku naszej jaźni...

Oczy kupców zalśniły na te słowa. To była prawda, na której opierała się cała wiara mieszkańców Wodnego Świata.

-Poza tym - dodała Helen - chodzi jeszcze o obietnicę, którą w sobie kryje...

-Obietnicę? - spytał młodszy kupiec.

-Tak, i pytanie, które przy okazji powstaje... Skąd się wziął?

-Z Suchego Łądu - rzekł cichym, niemal nabożnym głosem starszy.

-Ten włóczęga to miał dopiero ziemię - westchnął młodszy potrząsając głową.

-Nigdy nie widziałem czystszej.

-Dzbanek - odezwał się szorstki głos.

Helen podniosła wzrok i spojrzała w twarde, zimne, niebieskie oczy ubranego w skóry rekina kupca. Był muskularny, miał jasne, długie do ramion włosy; jego twarz byłaby przystojna, gdyby nie domieszka okrucieństwa. Opalenizna kryła jasną cerę. Kupiec był Skandem.

- Klasa druga - rzekł.

Podąła opleciony sznurem dzbanek, ale nie zdjęła ręki z szyjki naczynia.

- Trzy czity - powiedziała.

Wygrzebał monety, obdarzył ją lubieżnym uśmiechem, porwał dzbanek i podszedł do stolika, przy którym siedział żaloszny, łysiejący wrak hydroholika.

Czemu prosperujący kupiec zadaje się z takim żebrakiem? - zastanowiła się. Chociaż współczuła starcowi, aż za często musiała wyrzucać go z tawerny. Od dawna się spodziewała, że laguna wyrzuci jego ciało, jak wielu innych hydroholików, gdy zapije się słoną wodą.

Teraz starowina siedział przy stoliku z postawnym nieznanym. Wyglądało na to, że wspólnie osuszają dzbanek hydro kupiony przez Skanda. Nie podobało się to Helen. Nie wiedziała dlaczego, ale ciarki chodziły jej po plecach.

Przetarła szmatą kontuar baru, gdy tymczasem dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać. Nie słyszała rozmowy, a szkoda, bo bezpośrednio dotyczyła jej.

Skand nalał szklanek mętnego hydro. Siedzący obok starzec przyglądał się temu z rozradowaniem.

Lecz gdy sięgnął po szklanekę, Skand mocno złapał wychudły przegub.

- Nie taka była umowa - rzekł.

Zanurzył palec w dzbanku i zlizął płyn. Starzec obserwował to z groteskową

mieszaniną bólu i zachwytu.

-Najpierw mów - rzekł Skand.

-Chodzi o dzieciaka - szepnął starzec.

-Jakiego dzieciaka?

-Tej kobiety.

Skand spojrział na Helen, która podawała drugą kolejkę kupcom przy barze.

-Gadamy o kobiecie czy o dzieciaku? - spytał niecierpliwie Skand.

-O niej i o nim!

-Niech będzie. Więc w czym sprawa?

-To jej dzieciak, kapujesz. No... nie jej. Niech to kraby porwą, nie umiem myśleć, nie umiem mówić, jak się nie napiję...

Starzec sięgnął po szklanę, ale Skand powstrzymał go - tym razem jeszcze gwałtowniejszym uściskiem.

- Najpierw gadasz, potem sobie chlapniesz.

Stary hydroholik oblizał spękane wargi i zamruczał:

-Ona wychowuje dziecko. Nie swoje. Ono jest skądinąd.

-Z innego atolu, tak?

-Nie. Nie tak prosto... - Oczy starca otworzyły się szerzej i chociaż były tak mętne jak hydro w szklance na stole, to zabłysły. - Z Suchego Łądu.

Skand parsknął.

-Suchy Łąd to bajeczka.

-Może. Ale to dziecko ma na sobie znaki... tatuaże, napisy... na plecach. Widziałem!

-Niektórzy Niewolni tak znaczą swoje kobiety - powiedział Skand wzruszając ramionami. Podniósł szklanę do ust. - Nie ma w tym nic niezwykłego. Nie zasługuje na szklanę hydro. To pewne jak cholera...

Starzec przysunął się do Skanda. Poruszył go nie tylko blisko stojący napój.

- Ale to nie są znaki Niewolnych!!! Te znaki... jak się je umie przeczytać... tworzą mapę. Ona zaprowadzi cię aż do Suchego Łądu...

Skand kolejny raz prychnął z pogardą.

- Ty wciąż swoje. Gadu, gadu, stary dziadu...

Ale stary dziad wpatrywał się w niego intensywnie.

-Są tu tacy, którzy wciąż w to wierzą. Słyszałem... ale nie powiem ci, co słyszałem, jak nie odpuścisz trochę z tym hydro.

-Potrafię być hojny. Możesz się przekonać.

Stary hydroholik pochylił się jeszcze bliżej do Skanda i szepnął przez spękane wargi:

-No... słyszało się niektórych kupców, jak mówili, że pewni ludzie wypatrują za dzieckiem. Szukają go. Rozumiesz, oni też słyszeli opowieści. O mapie.

-Co za "pewni ludzie"?

-Wiesz. Dymiarze.

-Dymiarze?

Starzec z powagą skinął głową. Skand uśmiechnął się odruchowo.

-No, nie chcielibyśmy z nimi zadrzeć, no nie? Najlepiej trzymać język za zębami, staruchu. Co ty na to?

I przesunął w jego kierunku szklankę hydro.

-Z ciebie hojny i dobry człowiek, szlachetny panie! Starzec chciwie przełknął płyn, a tymczasem inny kupiec wszedł do baru.

Kupiec noszący w uchu kolczyk z muszli, mężczyzna, który narobił takiego szumu swoją wysoką jakością, czystą ziemią...

Gdy podszedł do baru, Helen starannie ukryła ciekawość. Był w jakiś szorstki sposób urodziwy, to prawda, ale mężczyźni nie budzili w niej zainteresowania. Dla niej najważniejsza była ziemia, którą kupiec przywiózł ze sobą do Oazy, i łącząca się z nią obietnica Suchego Łądu, znacząca tak wiele...

Na razie jednak powściągnęła ciekawość.

-Czym mogę służyć? - spytała rutynowo.

Rozejrzał się, jakby się zgubił.

-Hm... ty prowadzisz tę tawernę, tak?

-Zgadza się.

-Może zaprowadziłabyś mnie do sklepu. Wiedziała, jak żałośnie nagie są półki za jej plecami.

Regały z drewna i metalu przeważnie zionęły pustką, kosze splecione z sieci wisiły próżne.

-Obawiam się, że widzisz już wszystko, co jest w sklepie - powiedziała robiąc dobrą minę do złej gry.

-Niech to kraby porwą - odparł. - Skromną masz ofertę.

-Mów za siebie, włóczęgo! - roześmiał się inny kupiec.

Helen niełatwo było obrazić i normalnie taka uwaga nie wprawiłaby jej w zażenowanie. Ale w sposobie bycia nieznajomego było coś takiego, że poczuła się niezręcznie i poczerwieniała.

-Mogę ci podać coś do picia? - spytała.

-Ile hydro masz w zapasie?

-Sześć galonów.

Skinął głową, muszla w uchu zakołysała się lekko.

-Zabieram wszystko.

-Zlikwidujesz mój interes...

-Wcześniej czy później zabraknie ci towaru, no nie? Twój interes to sprzedawanie.

-Tak, ale...

-Więc kupuję.

-... no, dobrze.

-Masz trochę żaglowego płótna? Jakąś linę?

-Mamy linę, ale z włosów. Płótna nie.

-Chleb?

-Nie.

-Drewno?

-Tylko półki na ścianie, nieznajomy. W oczach zabłysnął mu płomień.

-A może... czasopisma?

To było bogactwo!

- Gdybym miała czasopisma, sprzedałabym je dawno i nie musiałabym pracować -  
odpowiedziała.

Czasopisma były jedyną *rzeczą* w Wodnym Świecie cenniejszą od ziemi. Prawdziwe wizerunki Czasów Łądu... cóż mogło mieć większą wartość?

Nieznajomy przygarbił się zawiedziony, że za swoje czity może kupić tak mało w Oazie.

Helen ogarnęła falą współczucia.

- Co powiesz na drinka? Mam jeszcze kilka butelek poza tymi, które kupiłeś...

Kiwnął głową, oparł się o ladę.

- Podwójnego.

Nalała do szklanki mętnego płynu.

-Co to, druga klasa? - spytał.

-Tak...

Daj dobry towar. - Rzucił czita na ladę. - Czysty. Sięgnęła po inny dzbanek, nalała wysoką szklankę czystego hydro, gdy wtem kupiec Skand przysiadł się do nieznajomego.

- *Skol* - zagadnął Żeglarza. - *Quando tempo vous parti?*

Żeglarz zignorował próbę nawiązania znajomości. Podniósł szklanę z hydro do nosa, ocenił bukiet. Następnie powoli wziął do ust mały łyk.

- *No habla vous Polyglot, co?* - powiedział Skand. Żeglarz opróżnił szklanę, jakby nie pił nic przez tydzień.

-A jak stoisz z anglickim? - spytał Skand. Żeglarz uniósł puste naczynie i powiedział do Helen:

-Jeszcze jedną.

Skand położył rękę na jej przegubie.

- Lej dwie, śliczna. Tak bogaty człowiek na pewno będzie uprzejmy postawić szklaneczkę kumplowi z szerokiego morza.

Wyrwała rękę i spojrzała krzywo na Skanda.

Żeglarz powiedział spokojnie:

- Tytko jedną.

Skand wbił w Żeglarza pochmurne, groźne spojrzenie, które powoli przeszło w uśmiech. Ale Helen nie wierzyła wyrazowi jego twarzy, miała wrażenie, że Skand długo nie zapomni zniewagi.

Nalała miarkę i wróciła do czyszczenia baru.

-Przywiozłeś buty jak się patrzy - powiedział Żeglarzowi Skand.

-Nie są na handel.

-Szkoda. Ale chyba nie przeszkadza ci, że je popodziwiam?

Żeglarz nie odpowiedział.

- Więc, Ziemiarku, jak długo się pływało? - spytał Skand.

Żeglarz spojrzał zimno na Skanda, lecz nadal zachowywał milczenie.

-Słowa są za darmo - powiedział Skand.

-Nie ma nic za darmo w Wodnym Świecie - odparł Żeglarz.

-Jak długo byłeś na morzu? Pytam tylko ot tak. Żeby pogadać po przyjacielsku.

Żeglarz odwrócił wzrok od Skanda i zaczął popijać drugą szklanę hydro.

- Jaki księżyc mamy?

Skand zmarszczył brwi z namysłem.

- No, zastanówmy się... darzec, króceń, żarwiec... Czy to nie sarpan?

Na poły przysłuchująca się para kupców pokiwała twierdząco głowami.

- *Zgadza się.* - Skand skinął głową. - Sarpan. Tak. Jak długo nie stanąłeś na żadnym atolu?

- Piętnaście księżyców. Skand był poruszony.

- Piętnaście księżyców? Święty Dostarczycielu! Żartujesz?!

Żeglarz odwrócił się do niego z wolna.

-Czy wyglądam na żartownisia?

-Jesteś poważny. Piętnaście księżyców... czy nie lubisz ludzi? - Skand roześmiał się z niedowierzaniem, potrząsając głową. Nagle coś zwróciło jego uwagę. Oczy zwięzły się do szparek wąskich jak blizny po nożu. Twarz zastygła.

Żeglarz sprawdził, co wzbudziło taką reakcję.

To była tylko dziewczynka.

Dziewczynka, która wyszła zza brezentowej zasłony kryjącej wejście do magazynu za ladą...

Nie mogła mieć więcej niż siedem lat. Miała ciemniejszą karnację niż barmanka. Niepodobna, aby ta kobieta była matką dziecka, chociaż obie były bardzo ładne. Nosiły podobny przydzwiek z siatkowej tkaniny, ale dziewczynka miała odsłonięty brzuch. Ten szczegół i mnogość długich warkoczyków sprawiały, że różniła się od mieszkańców atoli. Żeglarz uznał, że może jest Ne - palką.

Podeszła do pieca - przy tej pogodzie oczywiście był wygaszony - otworzyła drzwiczki i zaczęła wygrzebywać z paleniska zwęglone kawałki drewna.

Tunika ześliznęła się pleców pochylonego dziecka odsłaniając... Co? Znamię?

Nie - pomyślał Żeglarz - to tatuaż... Ciemny okrąg, ostry czubek, strzała, w środku i wokół okręgu napis jakby orientalnym alfabetem...

Żeglarz nie był jedynym, który to zauważył. Skand wytrzeszczał znieruchomiłe oczy i mało, cholera, nie wlaź na ladę.

Helen to spostrzegła.

- Enola! - zawołała do dziewczynki.

- Chcę jeszcze porysować - powiedziało dziecko. Helen uklękła i podniosła dziewczynkę na nogi, poprawiła jej tunikę, zakryła znaki.

- Słuchaj, kochanie...

-Ale ja jeszcze chcę! - powiedziała Enola.

-Przyniosę ci - pocieszała ją Helen popychając do wyjścia. - Tylko masz siedzieć na zapleczu, tu jest miejsce tylko dla dorosłych, takie są zasady...

Klepnęła ją czule, wyszła do magazynu i spuściła brezent. Gdy wróciła do baru, zauważyła spojrzenie Skanda, który skinął głową staremu hydroholikowi. Tamten odpowiedział kiwnięciem. Co to znaczy? - pomyślała. - Czy widzieli znaki? Mogą się domyślać, jak są ważne? Nie ma się czym przejmować.

Ale ciarki znów przebiegły jej po plecach.

- No, tak. - Skand wrócił do rozmowy z Żeglarzem. - Jak mówiłem, jeśli nie przepadasz za ludźmi, to czemu myślisz, że tym Atolczykom, chciałoby się w ogóle...

Żeglarz zatrzymał ten potok wymowy spojrzeniem - zimnym, morderczym spojrzeniem.

- Czemu do mnie mówisz?

Skand wyszczerzył zęby, ale ten grymas nie miał nic wspólnego z uśmiechem.

-No, tak po przyjacielsku.

-Nie mam przyjaciół - powiedział Żeglarz.

Skand zastanowił się. Chyba zdecydował, że dalsze próby nawiązania znajomości są beznadziejne. Wzruszył ramionami, spojrzał na parę kupców, jakby chciał powiedzieć "Co gościowi odbiło?", i wyszedł.

-Masz ochotę na jeszcze? - spytała Żeglarza Helen, wskazując głową na prawie pustą szklanę.

-To mi wystarczy. - Spojrzał na niemal nagie półki w głębi. - Ta roślina... To krzak pomidora, no nie?

Uśmiechnęła się. Zaimponował jej.

-Masz bystre oko.

-Kiedyś widziałem obrazek. Ile?

-Wiesz, ziemia idzie razem z tym.

-Wiem. I donica. Inaczej byłby koniec z rośliną, no nie?

Zastanowiła się chwilę.

- Połowa twoich czitów.

Bez wahania skinął głową. Co innego, do diabła, mógł kupić w tej ponurej małej Oazie? Zdejmowała roślinę z półki, gdy dodał:

-To też biorę.

-Co bierzesz? Kupiłeś już wszystko oprócz półek!

-W tym rzecz - powiedział. - Daj i półki.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Z półkami w sieci zawieszanej na ramieniu i z karłowatym krzakiem pomidora pod pachą Żeglarz wyszedł z barki na popołudniowe słońce. Złoto kapało na powierzchnię laguny, zamieniając odbicie leniwie pracującego wiatraka w coś pięknego - pięknego jak obrazek w starożytnych czasopismach. Wokół toczyło się życie, mrowili się ludzie Oazy - rybacy naprawiali sieci, inni mężczyźni łatali dziurę w nabrzeżu, biegała rozbawiona dzieciarnia, głosy niosły się po wodzie.

Ale to wszystko nie dla niego. Był tu obcy, jak na każdym innym atolu. Szedł do domu - do swojego trimaranu.

Odgłos szybkich kroków na kratownicy sprawił, że Żeglarz odwrócił się błyskawicznie. Czy to Skand szuka guza?

Nie. To tylko ta kobieta, z wielkimi ciemnymi oczami i zgrabną figurą. Właścicielka tawerny. Jak to na nią mówili?

Helen zaskoczyła szybkość, z którą się odwrócił, ale zamaskowała strach. W Wodnym Świecie samotna kobieta musi umieć ukrywać swoje uczucia albo staje się ofiarą wyzysku. Albo trupem.

- Coś nie tak? - spytał. - Zapłaciłem ci co do czita, no nie?

-Tak... oczywiście. Ja tylko... chciałam porozmawiać z tobą na osobności.

-Czemu?

-Powiedziałaś, że byłeś tam... - wskazała na drugi brzeg złotej laguny, na wrota, za którymi był ocean - ...piętnaście księżyców.

-Tak. I co z tego?

-To długa odległość między atolami.

Przyjrzał się jej uważniej. Była całkiem ładna. I już dawno nie stał tak blisko kobiety. Ale zdawał sobie sprawę, że nie jest warta zachodu, jaki trzeba by jej poświęcić. Jak każdej sprytniej babie.

Zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem i powiedziała sucho:

-To nie propozycja...

-A co w takim razie?

-Pytanie. A raczej pytanie, które miało doprowadzić do innego pytania...

-No to słucham.

Jej oczy były żywe, a uśmiech cudowny. Nie ugięła się jak tylu innych Atolczyków.

Jak większość Atolczyków. Żeglarz poczuł, że zaczyna mu się podobać, chociaż rozum nakazywał wstrzemięźliwość...

Bez tchu spytała:

-Co tam widziałeś przez te piętnaście księżyców?

-A co mogłem zobaczyć poza rybami, oceanem i czasem łodzią?

-Kres - szepnęła z nadzieją. - Kres tej całej przeklętej wody...

-Pytasz niewłaściwą osobę...

-Co chcesz przez to powiedzieć?

Wskazał na inną stronę laguny, tę, przy której unosiła się barka organiczna. Pogrzeb wreszcie dobiegał końca, ogrodnicy sypali cenną ziemię na grób. Żeglarz zastanawiał się, czy to ziemia, którą wcześniej sprzedał.

- Spytaj staruszkę, którą pochowali - rzekł. - Ona znalazła jedyny prawdziwy kres.

Rozpacz ukazała się na jej twarzy.

-Nie wierzę w te obrządkie.

-To moje gratulacje.

W jej oczach błysnęły skry.

-Nie musisz z tego drwić.

-Mówiłem szczerze.

Kiwnął głową i ruszył przed siebie. Nasłuchiwał jej kroków, lecz nie poszła za nim. Przyjął to z mieszanymi uczuciami.

Jeden z małych obszarpańców, których zostawił na straży łodzi, podbiegł do niego pędem.

-Mogę dostać reflektor, panie?

-Mówi się "lusterko". Najpierw sprawdzę łódź.

-Tam czekają na ciebie ludzie. Daj mi to teraz, co? Proszę.

-Czemu?

-Bo możesz mieć kłopoty. Żeglarz przystanął.

-Kto tam czeka?

-Komitet Starszyny. Jest wśród nich wielki starzec. Mówią na niego Priam.

-W porządku - powiedział i dał chłopcu lusterko. - Ale pamiętaj, podziel się ze swoim kumplem.

-Tak, panie!

Chłopiec czmychnął i Żeglarz się zastanowił, czy nie został nabity w butelkę, ale gdy minął zakręt, ujrzał trimaran w całej okazałości. Przy nim stał komitet powitalny złożony z

sześciu Starszych, noszących szaty w wodorostów i czapy z suszonych meduz. Żałosne dupki.

Gdy się zbliżał, truposzowaty, który przewodniczył obrządkowi pogrzebowemu i który - jak słusznie uznał Żeglarz - był wielkim starcem imieniem Priam, wyszedł mu na spotkanie. Złożył ręce i przesłał nikły uśmiech.

- Jest dla ciebie propozycja, szlachetny panie - rzekł.

- Skończyłem handel.

Chciał minąć Priama, lecz grupa Starszych zastąpiła mu drogę.

-Słuchajcie - powiedział ogarnięty chłodną furią Żeglarz. - Wasz Pięć Prawa dał mi ściśle rozkazy. Mam się stąd wynieść przed upływem dwóch godzin.

-Jestem władny zmienić te rozkazy - rzekł Priam.

-Odpływam - powiedział Żeglarz.

-Ale jeszcze nie wysłuchałeś naszej propozycji... a raczej nie ujrzaleś jej.

Starszyzna rozsunęła się jak żywa kurtyna i odsłoniła kobietę. Lub raczej dziewczynę. Niedawno została nastolatką, jeśli w ogóle już nią była. Nosila ubiór z sieci, który nie ukrywał jej dobrze zaokrąglonych przymiotów. Miała miłą buzię, chociaż przestraszona.

-Co sądzisz, hmmm? - spytał truposzowaty Starszy.

-Myślę, że macie tu ciekawy Kościółek, chłopaki. Wybaczcie, ale...

-Ale ona jest całkiem, całkiem, no nie? - naciskał Priam. - A mówią, że pływałeś przez piętnaście księżyców...

-Z czystej ciekawości... Czym mam sobie zasłużyć na to wynagrodzenie?

Priam skrzywił się, a jego twarz zagrała symfonią zmarszczek.

-Nie rozumiesz. Ona jest tym, czym masz sobie... zasłużyć.

-Co???

Inny Starszy wystąpił przed gromadkę.

-Może zauważyłeś, że chowaliśmy dziś naszą obywatelkę. Rozumiesz, utrzymujemy tu bardzo ścisłą kontrolę urodzin.

-Tak? I co z tego?

-A to, że śmierć jednego obywatela zapewnia miejsce innemu - powiedział Priam.

-No, ja tu nie zostaję.

- Nie prosimy cię o to. Potrzeba nam tylko nasienia. Żeglarz westchnął.

-Cytrus nie jest na sprzedaż. I wydałem połowę moich czitów na tego pomidora, więc...

-Nie, nie, nie - powiedział lekko rozbawiony Priam. - Twojego nasienia.

Żeglarz zerknął na dziewczynę, która uśmiechnęła się skromnie. Teraz zrozumiał. I

miewał już gorsze propozycje.

- Moglibyśmy zaproponować reprodukcję komuś z naszych - powiedział inny Starszy gestykulując otwartymi dłońmi - ale zbyt wiele tego jest... niekorzystne. Dlatego zakazaliśmy tego.

Żeglarz znowu nie mógł się połapać.

-Czego?

-Tego - powiedział Priam. - Jak inaczej moglibyśmy wprowadzić kontrolę urodzin?

-Gdy tylko ona zajdzie w ciążę - rzekł inny Starszy - możesz odpłynąć, dokąd zechcesz, ze wszystkimi niezbędnymi zapasami.

-Nie macie niczego, co byłoby mi potrzebne - powiedział Żeglarz. - Już ogołociłem wasz jedyny sklep. To miasto umiera. Nie chcę stąd niczego...

Przepchnął się koło nich. Zbliżając się do łodzi słyszał pomruki:

- ...żaden mężczyzna nie może samotnie żeglować piętnaście księżyców i odmówić sobie kobiety... może to szpieg Dymiarzy...? Czy on czegoś nie ukrywa...?

Niedobrze.

Zerknął za siebie. Starszyzna patrzyła za nim z mieszaniną lęku i podejrzliwości, a konfrontacja ściągnęła uwagę innych - tłum Atolczyków gromadził się na pobliskim nabrzeżu.

Niech to kraby porwą.

Trimaran był już blisko, gdy mocarna dłoń złapała Żeglarza z tyłu za ramię. Wyszarpnął się z uścisku, odwrócił, aby zobaczyć napastnika. Miał nadzieję, że nie będzie musiał stawić czoła krzepkiemu Pięści Prawa.

To nie był ten, którego się obawiał, ale Żeglarza czekała równie ciężka przeprawa.

Brodaty wartownik, zionący mieszaniną hydro niskiej klasy i wędzonej ryby, powiedział:

- Kiedy Starszyzna wyrazi zgodę, możesz odpłynąć. Nie wcześniej.

Żeglarz grzmotnął wartownika siecią z półkami, sadzając go na tyłku, i szybko ruszył do przodu, ale wyrósł przed nim drugi wartownik. Jedną rękę trzymał na krótkiej kuszy podwodnej, którą nosił w kaburze na biodrze, drugą złapał Żeglarza za ramię.

Zaatakowany nacisnął spust kuszy i bełt przebił stopę osiłka, przygważdżając go do pokładu. Wartownik zaryczał z bólu i natychmiast wypuścił Żeglarza z uścisku, ale ten krótko cieszył się swobodą. Potężne ramiona złapały go od tyłu w uścisk - to pierwszy z napastników poderwał tyłek - sprawiając, że siatka z półkami z głośnym łoskotem upadła na nabrzeże. To samo stało się z cennym krzewem pomidora. Żeglarz zauważył z ulgą, że donica nie pękła i

niewiele ziemi się wysypało.

W następnej sekundzie tyłem głowy łupnął wartownika w twarz, miażdżąc mu nos. Bryznął strumień krwi, rozległo się kolejne wycie i znów Żeglarz został wypuszczony z uścisku.

I znów niedługo miał cieszyć się swobodą. Trzech Atolczyków na polecenie Starszyny rzuciło się na niego i obaliło na nabrzeże. Drewniane drzazgi wbijały mu się w ciało, pięści okładały na oślepe, duszące palce zacisnęły się na gardle wstrzymując oddech.

Żeglarz przekręcił głowę wyrywając się z uścisku, sięgnął zębami do jednej z tych duszących dłoni.

Ugryzł mocno, głęboko...

Napastnik zapał przeraźliwie i rozluźnił uścisk, ale złapał obiema rękoma za długie włosy Żeglarza i szarpnął potężnie, jakby chciał oderwać mu głowę od tułowia. To mu się nie udało, ale kolczyk z muszli spadł z ucha i odsłonił kark Żeglarza. Jeden z atakujących dojrzał tajemnicę ukrytą za uchem nieznajomego. Skrzela.

- Na cienie głębin! - zawołał Atolczyk. - To mutant!!!

I Żeglarz spojrział w trzy ogarnięte zgrozą twarze. I usłyszał w głosie Priama alarmującą nutę, gdy Starszy krzyknął:

- Mutacja!!!

Wołanie rozeszło się po wodzie, w każdym zakątku Atolu. Żeglarz nie musiał się rozglądać, by wiedzieć, że zamrowią się tłumy Atolczyków, zwabionych mieszaniną ciekawości i lęku...

Jeśli nie ucieknie, i to zaraz, jest trupem.

Grzmotnął w najbliższą gębę. Z dziką szybkością zaczął rozdawać kopnięcia i uderzenia. Udało mu się zerwać na nogi. Czyjeś ręce czepiały się jego członków, ale nadal zadawał ciosy, kopniaki, wił się i przedzierał na swobodę.

Musiał zrezygnować z trimaranu - przynajmniej na razie. Jego celem było teraz dostać się pod wodę, gdzie mógł oddychać, a oni nie. Przystanął i wziął trzy głębokie oddechy, szukając drogi do tej skropionej złotem wody.

- Nie pozwólcie mu dostać się do wody!!! - zagrział Priam.

Drogę blokowała garść Atolczyków, zbierająca się całą bandą do ataku. Przewyższali go liczbą, owszem, ale schylili się gotując do skoku.

Więc skoczył pierwszy.

Poszybował nad tymi głupcami, mijając ich zaledwie o cale, ale to wystarczyło, aby z pluskiem pograżył się w głębokiej, czystej, chłodnej lagunie. Był wolny. Mógł przepłynąć

pod wrotami i przeczekać tam, aż inny kupiec go podwiezie...

Ale nad wodą rozszedł się głos, którego właściciela nie mógł rozpoznać, chociaż wiedział, że to głos Priama, i zgadywał, co rozkazał:

- Sieci! Zarzućcie sieci!

Więc teraz był rybą do złowienia. Hm, niech próbują...

Pod wodą rozległ się przytłumiony, niemniej jednak złowróżbny plusk. To pierwszy z goniących. Gdyby rzecz zależała od szybkości, Żeglarz z łatwością uwolniłby się od każdego. Ale jeszcze się nie zorientował, który kierunek powinien obrać, gdy ręka zacisnęła się na jego łydce. Atolczyk w falującym w wodzie ubraniu usiłował go zatrzymać.

Żeglarz zerknął w tył, dojrzał błysk noża. Zwinął się wokół własnej osi i zanurkował głębiej, unikając o włos ostrza.

Obrócił się w bok, złapał za przegub atakującego i wykorzystując siłę pchnięcia, nadał ostrzu odwrotny kierunek. Poprowadził je w dół, w brzuch Atolczyka. Poleciała wstęga krwi i natychmiast rozprędkła się w szkarłatne nitki.

Nagle nad nim, wszędzie wokół, buchnęły fontanny wody, rozeszły się kłęby piany i wielu Atolczyków, och, jak wielu, zanurkowało, otoczyło go ze wszystkich stron. I sieć tak wielka, że zdolna zagarnąć jego trimaran, opadła falując. Przekreślił się wściekle, licząc, że zanurzy się głębiej niż sieć, że Atolczycy nie zdołają go dopaść, ale było za późno.

Sieć go otoczyła, a oni zadzierzgnęli ją mocno.

Wkrótce ludzie na brzegu unieśli sieć - wraz z nim - na bosakach, zgarnęli go, wyciągnęli na nabrzeże, jakby był tylko trzepoczącą się rybą. Trafił im się wielki połów...

Poprzez oka sieci widział ich - to już nie był tłum, lecz tłuszcza. Rozwścieczone twarze, wystraszone twarze... Dojrzał tylko jedno współczujące oblicze. Oblicze tej kobiety. Helen. Przejęła się jego losem...

Ale niewiele to znaczyło, gdy reszta tłuszczy wyła:

- Zabić go! Zabić go! Zabić go!!!

Sieć opadła. Lina ściągnęła się wokół szyi, wokół skrzeli. Pętla się zacieśniła. Pilnował go brodaty wartownik.

Priam w szacie z wodorostów, wzdętej łagodną bryzą, podszedł dostojnie. Spoglądał na Żeglarza, ale jego słowa były przeznaczone dla cisnącej się z tyłu tłuszczy.

Wielki starzec uderzył w poważny, pogrzebowy ton:

- Niewiele brakowało, by skaził nasz gatunek. Żeglarz usłyszał wyrok śmierci, w to nie wątpił. Podobnie Atolczycy, którzy wrzaskliwie poparli sentencję.

Lina wokół szyi zaczęła się mocniej zaciskać. Opierał się, lecz walka osłabiła go,

wyssała z sił i bez względu na to, czy jesteś człowiekiem czy rybą, gdy odetną ci dopływ tlenu, świat zalewa czerwień, która przeistacza się w czern...

Rozległ się świst! To maczeta przecięła linę.

Żeglarz padł na kolana, chciwie łapiąc ustami powietrze.

Nad nim Pięść Prawa wbił surowe spojrzenie w wartownika. Potężna łapa ścisnęła szeroką klingę. Osilek był ostatnią osobą na świecie, od której Żeglarz oczekiwał ratunku...

- Jakim prawem... - zaczął Priam występując przed olbrzymia. Chmura na twarzy Starszego była tyleż królewska, co potępiająca.

Ani osoba Priama, ani jego mina nie zrobiły wrażenia na Pięści Prawa. Odezwał się rzeczowo:

- Płaciecie mi za utrzymywanie porządku. A to nie jest w porządku.

Inny Starszy odezwał się z oburzeniem:

-Zabił jednego z naszych!

-W samoobronie! - powiedział Pięść Prawa.

-Nie tobie o tym sądzić - odparował Priam.

-A tłumowi? - spytał Pięść Prawa.

Starszy, jak umiał najlepiej, spoglądał z wyższością na olbrzymia.

-On musi zostać zniszczony.

-Może tak będzie - odparł Pięść Prawa. - Ale nie tu i nie tak.

Priam rozważył te słowa.

- Jak nie będziecie się stosować do własnych przeklętych praw, znajdę inny atol - rzekł Pięść Prawa. - Jestem pewien, że moje usługi...

-To nie jest konieczne - szybko przerwał mu Priam. Trudno było o dobre Pięści Prawa.

Do klatki z nim - powiedział Najstarszy. Powlekli go, a obrzydliwa pomrukująca tłuszcza szła za nimi krok w krok. Pięść Prawa zajął się własnością Żeglarza - siecią z półkami i krzakiem pomidora w doniczce.

Żeglarz nie widział jedynej osoby, która trzymała się z tyłu - Helen. Ani nie widział, jak zauważyła coś na nabrzeżu i ukryła pod tuniką.

Kolczyk żeglarza.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Szeroka barka organiczna stała w pobliżu i ostry smród resztek stale przypominał mu, gdzie Starszyzna Oazy chciała się go pozbyć. Blask księżycy przydawał barce srebrzystej otoczki, powykręcane żałobnie drzewo rozstawiło konary nad lichym ogródkiem jak zjawa, niepewna, czy ma straszyć, czy strzec.

Obolały, poraniony Żeglarz zawisł nad nabrzeżem w żelaznej klatce, na tyle dużej, że ledwo, ledwo mógł się wyprostować, i na tyle małej, iż położyć się mógł jedynie skulony. Zbadał pręty i kłódkę, lecz nie znalazł szansy ucieczki. Kołysząc się w chłodnym, wieczornym powiewie, wisiał bezradny jak wypatroszony rekin, którego wcześniej tu oglądał, jak jeszcze jedna bestia wyłowiona z morza.

Konstrukcję, w której go trzymano, wzniesiono na platformie z kratownicy; schodki bez poręczy umożliwiały mieszkańcom atolu dostęp do metalowej kładki, biegnącej półkolem nazbyt blisko klatki. Mogli stamtąd gapić się na więźnia, obrzucać go przekleństwami lub odpadkami.

Trzech złodziejasków - jeden z nich był tym chłopcem, któremu dał lusterko wsteczne - od dłuższej chwili drażniło się z nim. Słońce stało jeszcze całkiem wysoko, gdy zaczęli. Nie ustali mimo zmierzchu, a teraz księżyc odbył już część swojej drogi. Żeglarz ich ignorował. Nie miał do nich pretensji. Dobrzy rodzice zadbaliby, aby chłopcy byli już w domu o tej porze. Wiedział wszystko na temat złych rodziców.

Dwaj dręczyciele machali w kierunku klatki bambusowymi wędziskami. Na końcu jednego pręta wisiała ryba na haczyku - przynęta. Drugi chłopak miał gołą wędkę. Machał nią i od czasu do czasu trącał klatkę.

Nie wkładał w to wiele siły, ale cierpliwość Żeglarza zaczynała się wyczerpywać.

- Chciałbyś, co? - mówił chłopak z przynętą, machając rybą przed klatką, tuż poza zasięgiem ręki Żeglarza. - Ugryź se...

Żeglarz go ignorował.

- Stuknij go - powiedział chłopiec kumplowi z drugą wędką.

Tamten wsunął wędzisko między pręty i dźgnął Żeglarza w bok. Więzień nie zareagował.

- Ale spotulniał - powiedział drugi chłopiec i zrezygnował z zabawy. - Nie taki z niego rekin jak po południu...

Trzeci chłopiec - ten od lusterka wstecznego - przestępował z nogi na nogę. Unikał



wzroku Żeglarza. Czuł się nieswojo. Nie bawił się tak jak jego kumple...

-Czemu go nie zostawicie? - spytał. - Możecie mu zrobić krzywdę.

-I co z tego? - powiedział pierwszy. - To tylko wielka ryba.

-Ej, przestań... no, chodźmy...

-Nie! - Chłopiec pochylił się nad balustradą parapetu i przysunął swoją wędkę z przynętą bliżej klatki. Szczyrzył zęby naigrywając się z Żeglarza. - Wiem, że jesteś głodny... wiem, że masz chęć... a może nie jesz przedstawicieli własnego gatunku?

Sam się roześmiał z tego żartu, podobnie jak chłopiec z drugim wędziskiem, ale wkrótce śmiech uwiązał im w gardłach.

Żeglarz sięgnął przez pręty, wsadził rękę w długie kudły i przeciągnął chłopca przez poręcz. Wędzisko spadło w dół, na nabrzeże i zaskoczony łobuziak zamajtał w powietrzu rękami i nogami. Zawył z bólu. Kumple sięgnęli rękami poza poręcz i starali się go złapać. Wytrzeszczyli oczy z przerażenia. Wreszcie po kilku nieudanych próbach zdołali go dosięgnąć, wyrwać z ręki Żeglarza i wywindować na platformę, jak rybacy, którzy muszą powalczyć z miotającą się rybą, zanim wyciągną ją na pokład.

Tupiąc głośno, uciekli szaleńczym pędem. Chłopczyna, który powisiał chwilę w powietrzu, szlochał i przyciskał rękę do głowy w miejscu, w którym teraz brakowało sporej kępy włosów.

Gdy odgłosy kroków i krzyki ucichły, Żeglarz usłyszał łagodniejszy, bardziej melodyjny dźwięk: śmiech, wesoły śmiech, który jak muzyka ścielił się po oświetlonej księżycem wodzie.

Spojrzał tam, skąd dobiegał śmiech, i ujrzał rozbawioną twarzyczkę.

W oknie wiatraka stało dziecko - śliczna tajemnicza dziewczynka z tawerny. W blasku miesiąca widniała jej delikatna twarz i ciemne oczy, błyszczały białe zęby. Perlisty śmiech dziecka rozbrzmiał w uszach Żeglarza jak przeszkadzaje na łodzi.

Jego wzrok, pokonując odległość, spotkał się ze wzrokiem dziecka. Śmiech przeszedł w drobny uśmiezek; potem na twarz dziewczynki powrócił nieodgadniony wyraz idealnego spokoju i drobna postać znikła z okna.

Jak dziewczucha w tawernie wołała na dziewczynkę?

Enola.

Jej imię było tak śliczne jak śmiech.

Zaskoczyło go głośne stęknienie i po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko koła zębate wewnątrz wiatraka zaczęły się szybciej obracać. Obleczone żaglowym płótnem łopaty cięły powietrze, jakby atol był wielką łodzią usiłującą odpłynąć z portu. Wkrótce wiedział, czemu

służy to zwiększenie mocy. Wzdłuż nabrzeża stały słupy zwieńczone słojami. Metalowe zwoje wewnątrz nich ożywały kolejno. Kałuże żółtego blasku pojawiały się tu i tam w mroku, przedłużając życie pływającego miasta i nadając mu piękno nie z tego świata. Ostre kąty skleconych z drewna i stali budowli złagodniały w jarzącym się elektrycznym blasku.

Nie każdy atol miał latarnie. Gdyby Żeglarz nie stał uwięziony w klatce przy barce z gnojem, może byłby pod wrażeniem.

W mocniejszym świetle o wiele dokładniej widział trimaran. Swój statek. Swój dom. W zasięgu wzroku, ale nieosiągalny, tak że równie dobrze mógłby cumować piętnaście księżyców na zachód.

Niech to kraby porwą!

Ludzie na jego pokładzie! Wdarli się tam pod osłoną nocy i teraz wydało ich światło latarni.

Stał zaciskając ręce na prętach klaustrofobicznego więzienia. Zakotyło się, prawie zatoczyło koło. Żeglarz otworzył usta, aby zaprotestować krzykiem... tylko po co?

Bezradnie przyglądał się Atolczykom, jak zeskakiwali z trimaranu obładowani jego własnością - jego drzewkiem cytrusowym, narzędziami, worem z połowem - uciekali w noc jak szczury.

- Niefart, Ziemiarku - powiedział ktoś.

Wzrok Żeglarza przesunął się na pobliską lagunę, gdzie w płaskodennej łódce, szczerząc zęby, wiosłował Skand. Jasnowłosy kupiec pomachał, ale Żeglarz nie zareagował, bez wyrazu przyglądał się, jak łódka dopłynęła do głównych wrót, które skrzypiąc otworzyły się na tyle, by mogła się prześliznąć, a potem zamknęły się z hukiem.

Przytłumione głosy dobiegały go z przebudowanej chińskiej dżonki, którą miał po swojej lewej stronie. Wcześniej widział, jak Atolczycy i Starszyzna stopniowo zapełniali tamtą łódź. Właścicielka tawerny, Helen, była wśród nich. Może dżonka spełniała rolę hali mityngowej.

Być może tam w środku decydował się jego los. Nawet w tej chwili.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, potrząsnął głową. To mówi wszystko o Oazie, no nie?

Na tym cholernym atolu nawet nie zaproszą cię na sąd nad tobą...

W hali Najstarszy - Priam - siedział z podobnymi sobie przy głównym stole, podczas gdy Atolczycy, niektórzy na ławach, inni stłoczeni na stojąco, wrzeli podnieceniem, jakie ogarnęło ich po złapaniu i uwięzieniu mutanta.

- Dowody mówią same za siebie - rzekł Priam. - Musimy pozbyć się mutanta najszybciej jak to możliwe.

Na to pokiwano głowami i zamruczano na znak zgody, ale jeden głos wybił się ponad wszystkie.

- Dlaczego?!

Helen wystąpiła z tłumu i weszła na podium przed ubrany w szaty z wodorostów trybunał.

- Helen, on zabił jednego z naszych - upomniał ją łagodnie Priam. - Znasz prawo. On musi umrzeć.

Postąpiła jeszcze krok naprzód. Zdecydowanie i pasja zawibrowały w jej głosie:

- Ale on przywiózł ziemię!!!

Kolejne pomruki odezwały się w tłumie. Zwróciła się do szarych Atołczyków, grając na ich uczuciach.

-Taka ziemia, jakiej nie widzieliśmy od lat...

-Widzieliśmy poprzednio ziemię u innych kupców... - rzekł Starszy siedzący po prawicy Priama.

-Nie taką! - odparła Helen. - Nie od czasu przybycia Enoli...

-Więc to czysta ziemia - zbył ją Starszy. - I co z tego?

-To... że musiał skądś się zjawić. A jeśli jest z Suchego Łądu?

Pomruki tłumu urosły do ryku. U niektórych jej słowa wzbudziły nadzieję, inni uważali je za bluźnierstwo, stąd okrzyki i urągania.

-Proszę nie zaczynaj ze swoją... - zaczął Priam.

-On przybył z zachodu - przerwał mu śmiały głos.

Zwrócono się w jego kierunku. Był to brodaty wartownik, który pogwałcił Żeglarza. Ale słowa "Suchy Łąd" coś w nim obudziły.

-Zachód! - wrzasnął jakiś Atołczyk, wstając i machając w powietrzu zaciśniętą pięścią. - To stamtąd przybywają Dymiarze!

-Z zachodu - przytaknęła mu kobieta. - Też o tym słyszałam!

-Dymiarze przybywają z Suchego Łądu? - spytał zdezorientowany starzec.

-Proszę, proszę! - zahuczał Priam machając uspokajająco rękami. - Nie wpadajcie w podniecenie.

-Może człowiek - ryba to szpieg Dymiarzy - rzekł Starszy z prawej strony.

Wszystkie oczy skierowały się ku niemu.

-Jeśli tak, to może wydać naszą pozycję... nasze słabości - kontynuował.

-Nie masz na to żadnych dowodów - rzekła śmiało Helen. - To wszystko przypuszczenia.

-Może - powiedział inny Starszy, siedzący po lewicy Priama. - Ale nawet wtedy pozostaje mutantem, który może skazić naszą społeczność.

-Więc czemu go nie wypuścić? - spytała Helen. - Nasz własny Pięć Prawa powiedział, że odebrał życie tamtemu Atolczykowi w samoobronie.

-Może skazić inne społeczności na zachodzie - zapiał pompatycznie Starszy.

-Jakie inne społeczności? - roześmiała się szorstko Helen. - Od roku ani widu, ani słyhu o innych atolach!

Priam znowu uspokajał tłum.

- Proszę zajmować się postawioną sprawą.

Helen potrząsnęła głową, czując obrzydzenie do tego zarozumiałego trybunału. Odwróciła się do tłumu, rozłożyła ręce i przemówiła:

- Z roku na rok, z miesiąca na miesiąc jest coraz gorzej. Mniej atoli, mniej kupców... nasze ogrody umierają, nasze drzewa rodzą mniej owoców... maszyny niszczejają... To miejsce, ten cały sposób życia czeka koniec. Czy nikt tego nie widzi?!

Tym razem pomruk tłumu był intensywniejszy. Rozległ się głos starca:

- Kiedy byłem młody, było wiele atoli! Jednego dnia można było odwiedzić dwa albo trzy.

Helen odwróciła się z powrotem do Starszyzny.

- Jaka jest nasza odpowiedź na te problemy? Modlitwa! Modlitwa o pomoc! Nie wiecie, kiedy wasze modlitwy zostały wysłuchane, kiedy zbawienie stanęło wam przed nosem?

Priam zmarszczył czoło.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

-Jest wśród nas ktoś, kto może nam wskazać drogę do nowego miejsca, nowego lądu, człowiek, który...

- To nie człowiek - rzekł Starszy z prawej strony. Westchnęła ze zniecierpliwieniem, potrząsnęła głową i gestem, jakby coś odpychała, uniosła ręce w jego kierunku.

-Nie ma znaczenie, kim lub czym jest. Powtarzam... jeśli zna drogę do Suchego Lądu, nie zabijajcie go, każcie mu pokazać, gdzie to jest!

-Ludzie od stuleci szukali Suchego Lądu - rzekł wyrozumiale Priam. - Wiesz, co znaleźli, Helen? Śmierć. To wszystko, co znaleźli.

Jej podbródek zadrżał, łzy zakręciły się w ciemnych oczach, gdy wyzywająco pogroziła pięścią radzie.

- No, ale przynajmniej umarli czegoś próbując! Wyrozumiałość Priama znikła w

jednej chwili i napadł na Helen z wściekłością.

- Suchy Łąd to bujda! Mit, dziecięca bajeczka! Zostało to przedyskutowane na dziesiątą stronę i zdecydowano raz na zawsze dawno, dawno temu...

Teraz Najstarszy wskazał na nią palcem jak włócznią.

- I dawno minął czas, abyś pogodziła się z tym, Helen. Im wcześniej to zrobisz, tym lepiej dla nas wszystkich!

Brodaty wartownik zrobił krok w przód, ale przyjazne nastawienie, jakie brodacze miał wcześniej wobec Helen, zniszczyły już słowa Priama.

- Będzie nam lepiej, kiedy pozbędziemy się i jej dzieciaka!

Pomruki odezwały się znów - tym razem groźniejsze. Reki w ludzkiej skórze, które dopadły nieznanego, zaczęły teraz krążyć wokół Helen.

- Te znaki na jej plecach - kontynuował wartownik - budzą plotki, budzą kłopoty! Mówi się, że Dymiarze jej szukają... Słyszałem to od kupca!

Priam uspokajał tłum.

- Proszę! Jedna sprawa naraz...

Z tłumu odezwał się gniewny głos:

- Mówię, pozbądźmy się jego i jej - mutanta i smarkuli!

Pomruk urósł w coś głośniego, gorączkowego. Jeśli ten tłum nie zacznie zabijać się nawzajem, wkrótce znajdzie kogoś innego do zabicia.

Nieznanego.

Enolę.

Strach chwycił Helen za gardło. Zrezygnowała z wszelkiej nadziei, że przekona tę hołotę, i pospiesznie opuściła halę.

Może Stary Gregor będzie wiedział, co zrobić...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W pracowni na strychu wiatraka siwobrody, lekko zgarbiony starzec spoglądał przez jeden ze swoich wynalazków: spory, zrobiony własnymi siłami teleskop, który - jak na dobry teleskop przystało - był nakierowny w niebo.

Wokół zalegały miechy, szkielety ryb, różne szczepki drzew owocowych, na stołach walały się butelki, tubki, manierki (a podobne stoły zajmowały w nieładzie dolne pomieszczenia wzdłuż drewnianych ścian wiatraka).

Nosił imię Gregor i choć uchodził za dziwaka, a nieustanne roztargnienie sprawiało, że robił wrażenie słabego na umyśle - Starszyzna zapewniła mu obszerne pomieszczenia i pozwoliła gromadzić bezsensowne szczątki "technologii", jak na to mówili starożytni, bo przecież był projektantem wiatraka zapewniającego atolowi elektryczność.

Starszyzna, a prawdę mówiąc wszyscy Atolczycy uważali go za znakomity umysł, za "geniusza", ale sam Gregor mniemał, że prawda wygląda wprost przeciwnie. We własnych oczach uchodził za głupka, chociaż wcale nim nie był. Był wspaniałym naukowcem w czasach, w których po nauce zostały tylko odległe wspomnienia. I na tym polegał jego problem; nawet najzręczniejszy cieśla nie obejdzie się bez narzędzi.

A narzędziami były mu nie dopasowane, pozbierane resztki z minionej epoki.

Niemniej jednak dla Gregora, spozierającego przez okulary teleskopu i przeszukującego niebo ("... od Polarnej do Oriona... potem prostopadle z..."), odpowiedź na najbardziej palące pytanie w Wodnym Świecie leżała tuż poza zasięgiem ręki, tuż, tuż...

Lub, wyrażając się precyzyjniej, spoczywała na plecach pewnej dziewczynki.

Przebywała czterdzieści stóp niżej w pomieszczeniach mieszkalnych (zasłanych materiałami do bieżących eksperymentów i wynalazków). Garbiła się przy stole obok okna, zajęta ulubioną rozrywką - rysowaniem.

Używając kawałka węgla drzewnego - "rysującego patyczka" wedle słów dziecka - mazała wprost na stole. Wyczarowywała cudowne wizje rzeczy nie widzianych w Wodnym Świecie przez nikogo poza garstką, która ujrzała te cenne manuskrypty nazwane czasopismami - a jedyne czasopisma, na których spoczęły oczy tego dziecka, to kilka egzemplarzy z lichej biblioteki Gregora.

Lecz Gregor rozpoznawał całkiem sporą liczbę wizerunków, gdyż widywał je w czasopismach innych. Chociaż ciemnym ludziom te bajeczne obrazy wydałyby się tylko dziecięcymi bazgrołami, to on sam wiedział, że są odblaskami życia na lądzie...

Rośliny, wodospady, ptaki, zwierzęta...

Czy to wszystko mogła zrodzić wyobraźnia dziecka?

Gdy schodził po drewnianych krętych schodach przy ścianie (czy to trzeszczą drewniane stopnie czy jego stare kości, a może i to, i to?), zastanawiał się, czy dziewczynka ujrzała wizje przeszłości czy przyszłości, a może jakiejś namacalnej teraźniejszości, będącej tuż za horyzontem?

Zbliżając się do smarującego dziecka znalazł odpowiedź: ono nie rejestrowało swoich snów. Te szkice węglem to opowieść o tym, co dziewczynka widziała... Tak jak teraz, gdy wykańczała pobieżny szkic mężczyzny w wiszącej klatce.

Nieznajomy, mutant, za którym Helen wstawiała się podczas rady Atołu, nieświadomy pozował tej młodej artystce wisząc po drugiej stronie okna, przy którym stał jej stół.

Gregor pogładził ją po włosach i odpowiedziała mu spojrzeniem wielkich ciemnoniebieskich oczu, z których barwą mogły rywalizować tylko najbardziej niebezpieczne głębie oceanu.

Klepiąc ją po ramieniu starzec rzekł:

-Ślicznie, dziecko, ślicznie... namalowałaś naszego człowieka - rybę! No, wspaniale!

-Dziękuję.

Wróciła do swojego zajęcia.

- Nie przeszkadzaj sobie, dziecko - rzekł podnosząc jej długie włosy i odchylając lekko tunikę od ramienia, by kolejny raz móc spojrzeć na znaki tuż poniżej karku.

Drogę, którą właśnie wytyczył na niebie - prostą linię łączącą trzy gwiazdy nad wieczornym horyzontem, za którym krył się... Suchy Łąd (czy stać go na odwagę, aby o tym pomyśleć?) - wyznaczały punkty jej tatuażu.

Ale to, co konstruował w myślach, było zbyt ambitnym zadaniem w praktyce.

Westchnął, potrząsnął głową wpatrzony w tatuaż. Czy to mapa? A może kalendarz? A może coś, czego jego ubogi intelekt jeszcze nawet nie przewidział!

Poprawił jej tunikę, przygładził włosy i rzekł łagodnie:

- Gdybyś wiedziała, co to znaczy, powiedziałaś mi, prawda, Enola?

Popatrzyła na niego. W jej oczach był spokój, smutek i mądrość...

- Oczywiście.

Teraz malowała starożytną bestię, którą Gregor znał z lektury czasopism innych ludzi; takie stworzenia biegały na czterech nogach i miały grzywy, które rozwiewał wiatr. Nazywały się "konie".

-Wiesz, co to jest, dziecko?

Wzruszyła ramionami.

-Nie.

-Pamiętasz to? A może ktoś pokazał ci jakieś...

-Nie wiem.

Otworzyły się boczne drzwi. Wiedział, że to Helen.

- Tak wcześnie z mityngu? - spytał Gregor. - Mniemam, że mówiłaś z sensem, a oni nie słuchali. Zobacz ostatnie wizje cudownego dziecka!

Helen przeszła przez cały pokój, omijając stojący pośrodku tron z metalu, będący naprawdę częścią ostatniego - i najważniejszego - programu Gregora, jak i komin wepchnięty za siedzisko.

Szczupłej kobiecie brakowało zwyczajnej u niej sprężystości ruchów, za to miała zatroskane oblicze. Gdy znalazła się przy dziecku, pogładziła długie włosy dziewczynki i odpowiedziała na jej szeroki uśmiech, lecz gdy ta wróciła do swego zajęcia, uśmiech Helen znikł, a na bezkrwistej twarzy pojawił się lęk.

- Musimy się stąd wynosić - szepnęła Gregorowi. Wziął ją łagodnie pod ramię i odprowadził od rysującego machinalnie dziecka.

-Wnoszę z tego, że mityng nie poszedł po twojej myśli.

-To mało powiedziane - westchnęła. - Chcą się nas pozbyć, Gregor.

-Nie odważą się wyrzucić mnie za bramę - oburzył się. - Odciałbym im dopływ energii tak szybko...

-Nie chodzi o ciebie - szepnęła. - O Enolę i mnie.

-Nie skrzywdzą was - zapewnił ją. - Wiedzą, że wtedy wyłączyłbym im światło!

Rzuciła spojrzenie w kierunku dziwnego metalowego tronu i niedorzecznego komina.

- Ile jeszcze do opuszczenia miasta?

Zadarł głowę do góry, pomyślał, policzył.

-Jeszcze tydzień - zdecydował. - W idealnych warunkach.

-Nie mamy tygodnia - rzekła. - Możemy mówić o szczęściu, jeśli dostaniemy jeszcze dzisiejszą noc! Wiesz lepiej ode mnie, że możemy wyruszać w każdej chwili...

Wzruszył ostentacyjnie ramionami.

- Ależ, Helen... ja jeszcze nie wiem, dokąd mamy się udać!

Spojrzeli na Enolę. Rysowała kawałkiem węgla drzewnego. Rebus wykluty na jej plecach był nadal nie rozwiązany mimo wszystkich starannych obliczeń astronomicznych Gregora.

Helen wskazała na leżącą na stole bibliotekę - jedyny taki zbiór w Oazie. Czasopismo



“People” bez okładki, Jak naprawiać Ford Mustanga Chiltona, rocznik 1964 - 68, i “złote strony” dla Tacoma, stan Waszyngton. Wielokrotnie zagłębiał się w te swoje skarby, korzystając z umiejętności czytania, którą przekazała mu babka.

-Co te książki ci mówią? - spytała Helen.

-Nic tu nie ma. Wiem, że dziecko da nam odpowiedź, której szukamy... jeśli rozwiążemy zagadkę na jej plecach. - Potrząsnął głową. - Tylko jak?

-Może on potrafi - powiedziała dziewczynka.

Stała oparta o stół i patrzyła przez okno. Gregor nawet nie zdawał sobie sprawy, że słucha ich przyciszonej rozmowy! Ale stała sobie i wskazywała za okno.

Na tego człowieka... to znaczy, na tę mutację człowieka... wiszącego w żelaznej klatce skapanej w promieniach księżyca.

W cieniu wyniosłego wiatraka jego dużo mniejszy wiatraczek mełł czterema łopatkami zimne, nocne powietrze. Ten lilipuci braciszek wyniosłej wieży był na czapce Gregora. Przewód biegnący w rękawie doprowadzał prąd do błyszczącego zwoju w latarni, którą starzec wskazywał sobie drogę.

Podszedł schodami platformy do metalowej półokrągłej kładki i zatrzymał się przy poręczy, możliwie najbliżej huśtającej się klatki oraz jej milczącego więźnia. Podniósł latarnię i lepiej mu się przyjrzał. Nieznajomy miał odwrócony wzrok i nie raczył nawet zauważyć obecności Gregora.

Starzec wyłowił szkło powiększające spod luźnego, połatanego przyodziewku, wychylił się przez poręcz i posiłkując się lampą, oglądał z bliska mutację człowieka... zwłaszcza jego stopy.

- Och, tak - powiedział nie do nieznajomego, lecz do siebie. - Ach, rety, tak! Są naprawdę połączone błoną, no nie? Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć... wszystkie dziesięć palców. Czy to nie cudowne...

Nieznajomy skierował lodowate spojrzenie na starego wynalazcę, który podniósł lampę i szkło powiększające, aby lepiej się przyjrzeć szyi stworzenia.

- No, sprawdźmy... jednorodne skrzela. Może szczątkowe? Nie... nie... czynnościowe!  
- Uśmiechnął się promiennie do obojętnego mutantu. - Jesteś w pełni autentycznym egzemplarzem! Ichthyus sapiens! Możesz oddychać w wodzie.

Ale Ichthyus sapiens nie odpowiedział; równie dobrze mógł być wykuty w kamieniu. Niewykluczone, że fakt, iż Gregor potraktował go przedmiotowo, zrodził zbytni dystans, zbytni chłód, zbytnią bezosobowość...

- Wiem, że umiesz mówić - rzekł ciepło Gregor. - Helen mi powiedziała. Proszę,

zechciej zrozumieć. Przyszedłem tu tylko po to, żeby ci pomóc.

Wydawało się, że Ichthyus sapiens zamierza się odezwać!

Wtem splunął Gregorowi w twarz.

Starzec z westchnieniem stał ślinę rękawem.

- Nie przepadasz za ludźmi, co? Nie mogę powiedzieć, żebym miał o to do ciebie pretensję. Ale czy wszyscy twoi pobratymcy są tacy nieokrzesani?

- Nie mam pobratymców - powiedział beznamiętnie Ichthyus sapiens.

- Na zdechłą rybę! - rzucił swobodnie Gregor, jakby w tej konwersacji cały czas brała udział dwójka rozmówców. - Byłbym zszokowany, gdyby nie było innych.

Na to mutant poderwał głowę. Czy nigdy nie znalazł przedstawicieli swojego gatunku? Czy poszukiwanie ich nie było dla niego równie ważne, jak marzenia o Suchym Łądzie dla Gregora i Helen?

- Jeśli nawet teraz nie ma żadnego twego pobratymca mój chłopcze - powiedział Gregor - to pojawią się, pojawią się... kiedyś. Daj naturze trochę czasu, aby mogła cię dogonić.

Ichthyus sapiens odwrócił głowę.

- No, nie nadymaj się. To nie twoja wina - po prostu zjawiłeś się zbyt wcześnie, źle wyliczyłeś to sobie w czasie. Naprawdę, nieszczęście jak sto zdechłych wielorybów. - Gregor z trudnością się powstrzymywał, aby nie patrzeć na te bajeczne jednorodne skrzela. - W każdym razie przyszedłem spytać... skąd jest ta twoja ziemia? Czy przypadkiem nie z Suchego Łądu?

Ichthyus sapiens powrócił wzrokiem do starca. Czy stworzenie nie uśmiechało się leciutko?

- Czy jest coś takiego jak Suchy Łąd? - spytał stary wynalazca. Nie był w stanie ukryć desperacji w głosie.

Ale stworzenie odwróciło głowę.

Gregor włożył do kieszeni szkło powiększające i wyciągnął coś innego - złożony kawałek papieru (rzadko spotykana rzecz, papier). Ten rysunek wcale nie był dziełem dziecka, chociaż też został stworzony za pomocą węgla drzewnego. Gregor zrobił go sam, zanim wyszedł ze swoim wiatraczkiem i latarnią.

Było to pobieźna replika tatuazu Enoli.

Nigdy wcześniej ani on, ani Helen nie ośmielili się uwiecznić go na papierze, ale teraz został odtworzony... aby można go było przekazać człowiekowi - rybie.

- Wiesz, co to znaczy? - spytał drżącym głosem Gregor. - Potrafisz to odczytać?

Ichthyus sapiens spojrział bez wyrazu na kartkę.

- Starożytni zrobili coś potwornego, prawda? - spytał Gregor. - Coś potwornego, co przyniosło tę całą wodę... setki, setki lat temu?

Po pauzie dłuższej jak wieczność Ichthyus sapiens powiedział:

-Jeśli ci powiem, otworzysz tę kłódkę? Gregor zmarszczył czoło.

-Ale nie mam klucza.

Wzrok człowieka - ryby przesunął się na wiatraczek.

- Wydajesz mi się bardzo pomysłowy. Tam na dole leży knaga cumownicza... widzisz?

Gregor pochylił się nad poręczą; na dole ujrzał kawał metalu, złamaną knagę.

-To w zupełności wystarczy za klucz.

-Jeśli pomogę ci wyjść, będę mógł ci zaufać? - szepnął Gregor.

-Nie skrzywdzę nikogo. Odpowiem tylko na twoje pytania... i odpłynę.

Niebawem Gregor zszedł na dół schodów. Wziął knagę. Uniósł ją do nieznanego, który Wyciągnął rękę przez podłogę klatki, gdy zahuczał głos:

- Gregor!!!

Rzucił knagę, jakby była rozżarzona do czerwoności. Wykręcił się na pięcie w kierunku, skąd dobiegał głos. Natychmiast znalazł się w strudze światła. Pięć Prawa, stojąc na wieży, oświetlał Gregora za pomocą urządzenia zbudowanego przez samego starca.

-Czego tam szukasz?!

-Niczego! Tylko przyglądam się pojmanemu!

-No, to ładuj się do domu! Niedługo będzie godzina policyjna.

Gregor spojrział błagalnie na człowieka - rybę.

- Wybacz mi - szepnął. - Brak mi odwagi... jeśli wiesz cokolwiek o Suchym Łądzie, błagam cię, powiedz mi teraz. Niech ta wiedza nie umrze z tobą.

Ichthyus Sapiens odwrócił się plecami do wynalazcy. Ułożył się w klatce i zamknął oczy.

Gregor stał przez kilka długich chwil szukając słów, które mogłyby przekonać to stworzenie kołyszące się samotnie w klatce.

Głos dzwonu wartowników rozszedł się po wodzie, wzbudził echa w atolu, ogłosił godzinę policyjną.

I pogiębiony starzec powłókł się do domu za smugą światła rzucaną przez wiatraczek na czapce.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Złoty blask słońca miał domieszkę krwawej czerwieni, w której ostre kąty i nierówne powierzchnie atolu, tu rozjaśnione, tam ocienione, zyskały niezwykłą urodę. Osobnik, który przyglądał się temu wspaniałemu zjeżonemu krajobrazowi, czynił to ze znacznej odległości przez podwójne okulary starożytnego urządzenia zwanego lornetką.

Wygląd osobnika był uderzający. Miał głowę kształtu jaja na twardo i było na niej dokładnie tyle włosów co na jajku. Ciemnobrazowy odcień jego skóry przechodził w spaloną czerwień, jak na gnijącym jabłku. Chociaż był niewysoki, poruszał się jak olbrzym i miał niezwykłą krzepę. Wprawdzie wśród jego ludzi było wielu bardziej krzepkich - ale na szczęście nie bardziej lebskich.

Jego przyodziewek, chociaż zniszczony, sprawiał wrażenie urzędowego, nawet wojskowego. Na szerokich ramionach starożytnego ubrania - sportowej marynarki z wyłogami - były resztki epoletów, które dawno temu zostały zniszczone w walkach. Ten strój, pomalowany farbą kamuflażową, powiązany był kawałkami łańcuchów, luźnych nici, zwisających kawałków liny, przez co jego właściciel wyglądał jak wojownik udrapowany w wodorosty.

A może jak człowiek, który zaczyna rozłazić się szwach. Pruć.

Uśmiechał się olśniewająco, odsłaniając białe zęby.

Oczy miał jasne i szalone. Stał na pokładzie zbiornikowca, z którego zaopatrywała się jego flota, i wpatrywał się w poszarpaną linię, którą na horyzoncie tworzyła Oaza.

- Czas na śniadanie, chłopaki - rzekł do otaczających go barbarzyńców Dymiarzy, którzy chciwie słuchali każdego słowa szaleńca.

Nazywał się Diakon.

Uważał się za kapłana wojownika. Było to na tyle zgodne z prawdą, że nikt inny w Wodnym Świecie nie zasługiwał bardziej na to miano. Z rzemyka na szyi zwisał mu krzyż. Dokładne znaczenie tego przedmiotu poszło w niepamięć w odmętach czasu. Ale Diakon wiedział, że to kultowy symbol z Czasów Łądu, i temu wystarczyło.

Gdyż głosił nadejście dnia, w którym ludzie znów będą chodzić po ziemi, jak jest to im sążone. Suchy Łąd to nie mit. Jest gdzieś tam. On, Diakon, go znajdzie.

Nawet gdyby musiał wpierw wydrzeć duszę każdej istocie w Wodnym Świecie.

Odgłos kroków przypominający stukot kamyczków wytrącił ją ze snu. Powoli rozchyliła powieki. Przesunęła ręką po pościeli obok siebie.

Dziewczynka przepadła.

Strach natychmiast złapał Helen za gardło. Wskoczyła z łóżka. Groźby Starszyny i reszty Atolczyków zabrzmiały jej echem w głowie.

- Enola! - zawołała. - Eno...

Ale mała była niedaleko, przy oknie. Ściany wokół niej - wszystkie ściany pomieszczeń mieszkalnych za tawerną na targowej barce - były pokryte rysunkami, które wyszły z wyobraźni dziecka... lub pamięci.

Gregor wyjaśnił Helen - która umiała czytać i sama widziała trochę książek oraz czasopism - co obrazują, i rozpoznała niektóre wizerunki: drzewa, chaty, góry, kwiaty...

Podeszła do okna i lekko pogładziła dziewczynkę po ramieniu. Lecz jeśli się spodziewała, że dziecko obdarzy ją uśmiechem, spotkał ją zawód. Śliczną twarzą pokrywała maska smutku.

- Co oni mu zrobią? - spytała.

Za oknem widać było powolną procesję Starszyny, oczywiście pod przewodnictwem Priama. Reszta Atolczyków szła za nimi. Zbliżali się do platformy, w której zaciskając ręce na prętach kołyszącej się klatki stał nieznajomy. Patrzył wyzywająco na nadchodzących.

- Nie powinnaś tego oglądać - powiedziała Helen. Łagodnie usiłowała odciągnąć dziewczynkę od okna.

Ale mała nie dała się ruszyć.

- Pogrzebią go, prawda?

- Nie patrz. - Łagodnie położyła dłoń na jej oczach. Dziewczynka z zaskakującą siłą odsunęła rękę Helen.

- Nie wystarczy nie patrzeć, żeby się to nie stało - rzekła. Powoli skierowała spojrzenie ciemnoniebieskich oczu na Helen. - Powinnyśmy mu pomóc.

Żeglarz stał twarzą w twarz z trybunałem, który zajął półokrągłą kładkę. Łagodny wiatr wzdymał szaty z wodorostów. Priam uniósł ręce jak do błogosławieństwa. Ale ten gest miał inne znaczenie.

-Po wnikliwej ocenie materiału dowodowego podjęliśmy decyzję... - zaczął Priam.

-Miło z waszej strony, że informujecie mnie o wyroku - przerwał mu Żeglarz. - Szkoda, że nie mogłem być na rozprawie.

Priam uniósł głowę.

- Ten... mutant... faktycznie przedstawia zagrożenie dla Oazy i samego Wodnego Świata. Dlatego też w interesie ogólnego bezpieczeństwa i większego dobra zostaje niniejszym skazany na recykling...

Z tłumu rozległy się aprobujące pomruki.

- Bierzcie się do dzieła, jak każe ustalona procedura - rzekł Priam.

Atolczyk w ubraniu przypominającym mundur wartowników zaczął pracować przy wielokrążku. Żeglarz usłyszał zgrzyt przekładni i poczuł, że jego jednoosobowa cela porusza się, kiwa z boku na bok. Bom, na którym była zawieszona, przesunął się w bok, niosąc klatkę w kierunku barki organicznej.

Nad barcę.

- Kości w korzenie, żyły w żywicy - zaintonował Priam - te ścięgną w śluz, ta krew w kłosa...

Żeglarz zjeżdżał w dół.

Opuszczali go razem z klatką w ten ich cuchnący kompost, prosto w ten przekłety szlam...

- Zbyt obcy, aby żyć, był on - powiedział Priam. - Ten mutant teraz opuszcza nas na zawsze...

Maż zaczęła się przesączać\* przez żelazną kratownicę podłogi. Żeglarz usiłował się wspiąć po ścianie, ale po prostu brakowało już na to miejsca...

- Włączony w recykling i pogrzebany... - kontynuował Priam.

Jedyną iskierkę nadziei stwarzało ślimacze tempo całego procesu... przynajmniej Żeglarz zapadał się powoli. Ta papka była równie gęsta jak cuchnąca i zanurzanie potrwa chwilę.

Chociaż uduszenie powinno nastąpić prędko...

- W obecności Tego, Który Nas Prowadzi... - zaintonował z powagą Najstarszy.

Jeśli ktoś lub coś takiego istnieje - pomyślał Żeglarz, gdy brązowy nawóz wypełnił dno klatki - ma znakomitą okazję, żeby pokazać, na co go stać.

Wartownik na wieży, korzystając z rury do patrzenia, wypełniał swój stały obowiązek. W Oazie nie było nudniejszego zajęcia, nic nie dorównywało beznadziejności oglądania bezbrzeżnego, niezmiennego morza. Przez nie kończące się dni twoje oczy przeszukiwały powierzchnię wód i widziały tylko... wodę. Tak rzadko cokolwiek ukazywało się na horyzoncie, że...

Ale w tej właśnie chwili coś się ukazało, początkowo nierozpoznawalne, bo było w jednej linii ze słońcem. Można by pomyśleć, że to kłęby dymu wzbijały się z wody w niebo.

Dym z silników.

Napędzanych sokiem pędnym.

Spaliny...

- Dymiarze!!! - wrzasnął wartownik.

Śluz sięgał mu już do kostek i Żeglarz - któremu głowę zaprzętały inne sprawy - nie zrozumiał, co wrzeszczy wartownik.

Mieszkańcy Oazy zrozumieli.

Atolczyk pracujący przy wielokrążku zatrzymał go połowie obrotu koła i wszyscy - w tym zwykle pełna godności Starszyzna - rozpierchli się we wszystkich kierunkach, jak kawałki rozbitego szkła.

Żeglarz w jednej chwili przestał być obiektem zainteresowania.

Wszyscy zajęli się czymś innym. Tylko kupa organicznego nawozu dalej powoli, uparcie wysysała klatkę i jej mieszkańca coraz głębiej w grobowiec ze szlamu.

Z otwartego oceanu do pływającego miasta zbliżała się armada Dymiarzy Diakona. Unosiła się nad powierzchnią, połykała przestrzeń, bo woda była bagatelą przeszkodą dla zdecydowanych mężczyzn, którzy korzystali z silników.

Zniszczony hydroplan, latająca maszyna szpiegowska armady, wskazywał szlak poduszkowcowi, pojazdowi używanym na bagnach, szybkim motorówkom i skuterom wodnym. Część tych ostatnich niosła po jednym Dymiarzu, większe po parze osiłków, niektóre miały zamontowane na dziobach karabiny maszynowe lub piły tarczowe. Na pokazniej szych motorówkach siedziało czterech do sześciu Dymiarzy. Strzelcy przycupnęli na deskach balastowych, inni zwisali z burt, jakby szykowali rzucić się do bitwy, ściskali toporną, lecz zabójczą broń palną, zespawany lub posklejany starożytny oręż. Każda sztuka była inna, ale ich cel - jeden.

Gdy te rozmaite pojazdy zbliżały się do atolu plując dymem z diesli, których dudnienie rozrywało świat i masakrowało zmysły, granatowy ocean wydawał się prawie biały. To blask słońca w tle nadawał temu najazdowi charakter straszliwej wizji, koszmarnej halucynacji.

Ale jak sama Oaza, ci przybysze byli aż nazbyt realni.

W pływającym mieście obywatele zajmowali stanowiska bojowe, a obsługa dział wodnych pojawiła się niemal natychmiast na murach. W innych miejscach spuszczano żaluzje sztormowe, rozdawano wiadra do likwidowania ognisk pożarów i wyciągano sieci z żywą amunicją - parzącymi meduzami do katapult.

Na dole, w zbrojowni, ponurą rzeczywistością stało się to, co powtarzano tyle razy podczas próbnych alarmów. Mężczyźni, kobiety i dzieci zrywali ze ścian i ściągali z półek broń - haki i kołczany ze strzałami, miecze, podwodne kusze, sztylety o szerokim ostrzu, lance... Nie było żadnych armat, żadnej broni palnej chociaż wszyscy wiedzieli, że będą

musieli sprostać ciskającym ogień żerdziom obsługiwanym przez najzacieklejszych z wrogów.

Helen wraz z Enolą opuszczały zbrojownię. Niosły łuk, strzały i kuszę. Wpadł na nie zrozpaczony chłopiec z twarzą umorusaną sadzą.

-Tata... gdzie mój tata?! - wyjąkał.

-Pewnie na swoim stanowisku. - Helen wcisnęła chłopcu kuszę. Nadszedł idealny czas, by stał się mężczyzną. - Teraz na mury i walcz!!!

Z wieży ponad warkotem zbliżających się diesli i czkawką broni palnej rozległo się przerażone wołanie:

- Berserkerzy!

Mróz przeszedł Helen po kościach. Wróciła do zbrojowni po broń. Znalazła kuszę i łuk z amunicją. Pobiegnęła za Enolą drepczącą w górę kładki z łukiem i strzałami na mur.

Berserkerzy - pomyślała Helen, pospiesznie zajmując stanowisko. Straszliwe opowieści o tych bezmózgich pół - ludziach wydawały się nieprawdopodobne. To miały być legendy. Bajeczki... Nazwano ich Berserkerami dla upamiętnienia wojowników Skandów z prastarożytności, którzy ogarnięci bitewnym szałem nie czuli ciosów i ran...

I oto jednak pojawiali się na pobielonej słońcem wodzie. Potężne, niemal nagie osiłki na nartach wodnych. Półgłówki. Skakali z ruchomych skoczni, katapultowali się, frunęli, unosili na ślepo ponad murami atolu, by wylądować wewnątrz - byle gdzie, ale wewnątrz...

To było wprost nierealne. Helen przykucnęła, gdy nad jej głową przeleciała ludzka rakietka i roztrzaskała się o dach zbrojowni. Kobieta odwróciła się. Zobaczyła czerwoną plamę. Rozciągniętego Berserkera zabiła siła zderzenia. Inni walili o kładki i mury, a jeśli przeżyli, natychmiast stawali do walki z obrońcami fortecy. Ci Berserkerzy, którzy obrali właściwy kurs, lądowali bezpiecznie, wzbijając fontanny wody w lagunie.

Jeśli nie zostali od razu trafieni strzałą lub lancą, pozbywali się nart, płynęli do nabrzeża i włączali się do walki wręcz, która ogarnęła cały atol.

Helen używała swojej kuszy. Jej śmiertelność dokładność sprawiła, że przyloty Berserkerów zamieniały się w ostateczne odloty...

Klatka przestała się zanurzać, gdy papka dosięgła zaledwie kostek Żeglarza. W tym względzie wypadki potoczyły się pomyślnie. Niepomyślnie natomiast było to, że wszędzie wokół zapanowała bitwa i rzeź i Żeglarz nie mógł bronić siebie ani nikogo innego; chociaż najidealniejszym rozwiązaniem byłoby, gdyby obie strony wycięły się w pień - zarówno przesądni Atoleczycy, jak i barbarzyńscy Dymiarze.

Ale nawet to nie pomogłoby mu się wyrwać z tej przeklętej klatki...



Tkwił w niej jak nieruchomy cel i było tylko kwestią czasu, kiedy...

Jakiś Dymiarz stał przed nim, pokazując w kretyńskim uśmiechu wszystkie żółte zęby i celując z pistoletu. Tę groteskowo wyglądającą broń sklecono z nie wiedzieć ilu innych. Drań ociekał wodą. Prawdopodobnie był to Berserker.

Hm, mam blisko na cmentarz - pomyślał Żeglarz.

Ale wolałby umrzeć na rozległym oceanie, na swojej łodzi, albo jeszcze lepiej w wodzie, która była jego prawdziwym żywiołem.

Berserker zadygotał. Trząsał się mocnej i mocniej, dygotał cały wytrzeszczając oczy tak, że mało nie wypadły mu z orbit.

I wreszcie padł twarzą na kładkę. Z pleców sterczał mu bełt. Tumult był tak głośny, że Żeglarz nie usłyszał odgłosu, z jakim pocisk wbił się w ciało.

Kilka jardów za leżącym Berserkerem pokazała się inna potężna postać. Ale nie był to kolejny Dymiarz. Pięść Prawa atolu stał dzierżąc w ręku kuszę.

Przyglądał się Żeglarzowi, który nieznacznym skinieniem głowy wyraził podziękowanie i wrzasnął:

- Wypuść mnie stąd! Mogę walczyć! Ale Pięść Prawa ruszył dalej.

- Niech to kraby porwą! - krzyknął Żeglarz. - Wypuść mnie...

Krzyk przerwał mu wyjący Berserker na nartach wodnych, który po locie nad murami wylądował z hukiem na klatce. Zginął na miejscu, ale...

Pod jego ciężarem klatka wbiła się krzywo w organiczną otchłań... i teraz znów zaczęła się zagłębiać...!

Śluz podszedł Żeglarzowi tak szybko do bioder, że ledwo zdał sobie z tego sprawę. Sięgnął za przęty i wyrwał nóż zza pasa martwego Berserkera.

Zaczął siłować się z kłódką, zanim i ona zostanie pochłonięta przez organiczną maź...

Helen i dziewczynka trwały na swoim stanowisku. Obie kobiety zabijały bez wahania dzikusów, przelatujących na nartach jak błyskawice nad murami atolu. Atolczycy bronili się skutecznie, działa wodne strącały Dymiarzy ze skuterów, żywe meduzy spadały na napastników włączących na mury i mrowiących się na dole, strażacy gasili w zarodku pożary, a kiedy dwóch czy więcej Atolczyków musiało oddać życie, aby zabić jednego Berserkera, nie wahało się. To była wojna.

Atak za plecami Helen zniszczył pobliski fragment muru i zmasakrował walczących tam Atolczyków. Padli na kładkę jak zakrwawione szmaciane lalki. Helen okręciła się na pięcie i zasłoniła własnym ciałem Enolę. Miała przed sobą ociekającego wodą Berserkera. Trzymał posklejaną długą broń palną. \*

Ale po imponującej salwie, która zamieniła kilku Atolczyków w materię organiczną, przekłeta broń zamilkła w dłoniach Berserkera; zdumiały popatrzył na nią, a potem wyciągnął skądś wycior i usiłował oczyścić zaklinowaną lufę.

Helen wystrzelała wszystkie bełty, ale nieżywy Atolczyk leżący w pobliżu nie potrzebował już lancy. Złapała ją i rzuciła się prosto na Berserkera.

Już była przy nim, gdy ten przerwał czyszczenie swej broni i chciał jej użyć jako maczugi. Ale nawet nie zdążył włożyć serca w tę robotę - bo jego własne serce przeszły grot Helen.

- Helen! - Głos Gregora dobiegł ją ponad hałasem silników, broni palnej, krzykami, wrzaskiem. - Helen!!!

Starzec machał z okien warsztatu.

-Już czas! Już czas!

-Ty stary głupcze - zamruczała. - Jeśli wyniesiesz się stąd bez nas...

Złapała Enolę za rękę, ale uparty dzieciak wybrał właśnie tę chwilę na odszukanie "rysującego patyczka", który wcześniej zgubił. Pobiegły przeskakując trupy, omijając grupki walczących, zmierzały do wiatraka, który był o kilka stopni - i całe życie - dalej...

Żeglarz tkwił po szyję w gnoju i śluzie, ale wepchnął nóż do kłódki; była pod powierzchnią mazi, ale dłużył już w zamku. Gdyby mógł tylko... I ostrze trzasnęło.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Z dala od centrum bitwy, na pokładzie zarzuconego beczkami zbiornikowca, wsparty na swoim oficjalnym buzdyganie - kiju do golfa firmy Spaulding, nr 5 - Diakon zaciągał się dymnym patykiem bez filtra. Na "Deez", statku macierzystym, miał w magazynie z łupami wiele kartonów tych prehistorycznych patyków - Cameli, Marlboro, Chesterfieldów. Dzięki sztywnym, szeleszczącym opakowaniom z celofanu wszystkie były tak świeże, że dawały się palić po setkach lat. Starożytni byli nad wyraz mądrzy.

Gdy nie zaciągał się dymnym patykiem, wchłaniał w płuca rozkoszne wonie zniszczenia, gdy Dymiarze - i ci kochani, pełni poświęcenia chłopcy, Berserkerzy - wypełniali jego rozkazy.

Skutery wodne i łodzie szturmowe wracały z pośpiechem do burty zbiornikowca. Niektórzy Dymiarze nie mieli skuterów i byli samobieżni. Sok wpompowywano do gumowych balonów noszonych na plecach. Naiwne chłopaczyska były nieświadome, że są żywymi bombami.

Ale jaki Dymiarz nie byłby zachwycony końcówką w gejzerze chwały?

Niemniej jednak, mimo tego ślicznie zasnutego dymem nieba, Diakona zaczynała nużyć przedłużająca się zabawa. Szczerze mówiąc, irytowało go, że straty są tak wysokie.

Prymitywni Atolczycy przecież nie dysponowali siłą ognia. Mieli łuki, strzały, dzidy i lance.

Jakież to zenujące! Zwykły brutalny napad zamienia się w walną bitwę.

Wykonał treningowe uderzenie Spauldingiem, celując wyimaginowaną piłką w Oazę, i skinał na majtka sygnalistę.

- Klucze do miasta - rzucił.

Chłopiec skinał głową, podszedł do burty i zaczął machać chorągiewkami, informując ulubioną zabawkę Diakona.

Kanonierka "Ogień Piekielny" była łodzią paradną. Do jej pokładu Diakon przyśrubował resztki starożytnego pojazdu zwanego truckiem - na dziobie miał napis "Mac". Na platformie trucka znajdowała się cudowna broń. Obsługiwał ją najlepszy strzelec Diakona. Chorobliwie wielkich rozmiarów pęczek luf strzelał kolejno pociskami kalibru 20 mm, obracając się wokół własnej osi. Ten plujący śmiercią mechaniczny demon nadał kanonierce imię.

Rezultat był prosty - ogień piekielny.

Na znaki sygnalisty sternik kanonierki siedzący w szoferce trucka spał zapłon na krótko i tłoki ożyły ładując pociski do magazynków potężnej broni.

W uszach Diakona rozległa się cudowna symfonia. Kanonierka skierowała ogień piekielny na atol. Usta przywódcy wygięły się w idealne półkole wokół sterczącego dymnego patyka, gdy przyglądał się, jak pociski wskaźnikowe odcięły szczyt cennego środkowego wiatraka.

- Tak! - krzyknął Diakon. - Dołek za pierwszym! I do tego "ryzyko wodne"...

Nieokrzesani Dymiarze pokiwali głową na te fachowe terminy golfisty, jakby je rozumieli. Już dawno nauczyli się przytakiwać każdemu słowu Diakona, wypełniać każdą zachciankę.

Diakon piał z zachwytu, gdy pociski rozdzierały mury na strzępy i Atolczycy spadali z resztek obwarowań jak rzutki zestrzeliwane z nieba przez wprawnego strzelca.

Ryk silnika trucka dolatywał przez wodę do uszu zachwyconego Diakona, gdy kierowca dociskał gaz do dechy, ładując coraz szybciej amunicję, a piekielna broń wyla na pełnych obrotach, szerząc zniszczenie i chaos.

Cały fragment murów znikł - zamienił się w pył - na oczach doprowadzonego do ekstazy Diakona.

No, teraz lepiej. Znow był zadowolony z siebie. Wesołość wyparła znużenie. Kolejny raz machnął na próbę Spauldingiem i jakby sprowokował, że kolejny fragment murów rozsypał się w proch trafiony ogniem piekielnym.

Teraz jeśli się okaże, że jedyny skarb, którego szukał, odnajdzie się za tymi pękającymi murami, będzie mógł wrócić do swojej gry...

Czy Gregor żył jeszcze?

Helen i Enola ogarnięte zgrozą skryły się, gdy szczyt wiatraka rozleciał się pod kanonadą pocisków, spadając całymi płatami. Dach znikł, jakby nigdy go nie było. Czy Gregor przeżył tę katastrofę?

Nadzieja walczyła z lękiem, gdy Helen z bijącym sercem, które mało nie wyrwało się jej z piersi, kluczyła wzdłuż nabrzeża ściskając Enolę za rękę. Omijały walczących, porzrzućane trupy Atolczyków i Dymiarzy, aż dotarły do wiatraka. Przynajmniej budowla nie zajęła się ogniem, chociaż kłęby dymu unosiły się z nieregularnego otworu w miejscu, gdzie kiedyś był dach.

Gdyby przybyły chwilę wcześniej, znalazłyby go w warsztacie. Tam w blasku słońca gorączkowo układał stosy cennych książek, czasopism i map w schowku pod przypominającym tron siedziskiem, z dwoma dodatkowymi miejscami dla Helen i Enoli. Już

wcześniej przymocował mechanizm sterujący i zamontował śmigło poruszane niezdarnym silnikiem, którego komin wychodził za oparciami połączonych krzesel.

Lecz gdy Helen i Enola weszły do warsztatu, pyr - pyr silnika powiedziało kobiecie straszliwą prawdę: zjawiły się za późno.

Gregor odlatywał bez nich.

Podniosła głowę i zobaczyła go unoszącego się jak zjawa pod workiem zszytym z łąt, napelnionym gorącym powietrzem. Urządzenie - wedle słów Gregora mały "sterowiec", sterowalny balon - było już sześć stóp w górze.

-Gregor... zaczekaj!!!

-Czekałem ile się dało! - zawołał starzec z bólem w głosie. Jedną rękę miał na dźwigni sterującej, ale drugą wyciągnął w dół. - Salwa zerwała cumy!

-Gregor! - krzyczała rozpaczliwie Helen. - Nie!

- Może się wam jeszcze uda! - odkrzyknął starzec. Ale był już zbyt wysoko - co najmniej siedem stóp nad podłogą.

- Proszę, nie odlatuj! - zawołała Enola.

Helen podskoczyła usiłując złapać go za rękę. Enola też podskoczyła. Dłoń Helen musnęła wyciągnięte palce Gregora. Ale tylko przez chwilę...

Pobiegły schodami w górę usiłując go złapać.

Na próżno. Na próżno.

- Wybaczcie! - zawołał. - Wybaczcie... Zadzierają w górę głowy, bezradny Gregor patrzył w dół, a sterowiec unosił się coraz dalej przez otwór w górze, ku niebu.

Zabierając ze sobą nadzieję.

Zostawiając za sobą lęk.

Diakon pierwszy zauważył lecący balon w kształcie cygara.

- Co to ma być?! Zestrzelić to z nieba! - Palnął majtka sygnalistę w głowę. - Daj im znać! Dzisiaj, kretynie!

Chłopiec złapał chorągiewki, przekazał wiadomość kierowcy na kanonierce i wkrótce strzelec obrócił swoją potężną broń, silne ramiona uniosły w górę lufy, cel znalazł się w przyrządach celowniczych, naciśnięty język spustowy wyzwolił idealnie mierzoną serię, która napotkała...

...Dymiarza skaczącego na nartach wodnych, z worem soku pędnego na placach. Wybuchł jak piorun kulisty, jak eksplodujące słońce. Zostawił tak wielką chmurę dymu, że zasłoniła uciekający sterowiec, który zresztą ciągnął za sobą własny warkocz dymu z silnika poruszającego urządzenie.

Zanim chmura się rozeszła, balon był całkowicie poza zasięgiem Dymiarzy i zamieniał się w odległą kropkę na niebie.

-Nie sędzę, aby ten Dymiarz miał jakąś szansę przeżycia - powiedział Diakon.

-Nie, panie - rzekł sygnalista. - Czy chcesz nagrodzić jego odwagę medalem?

-Nie. - Diakon zapalił kolejny dymny patyk. - Chciałem coś zrobić z jego karkiem, zanim oderwałbym mu głowę.

Dymiarz, który został trafiony kanonadą ognia piekielnego przeznaczonego dla sterowca, nie przeżył. Jego całkowicie szerniałe ciało spadło jak meteor na barkę organiczną, zapalając drzewo pośrodku.

Helen z okna wiatraka śledziła gwałtowne lądowanie nieświętej pamięci Dymiarza, ale miała zamęt w głowie i dopiero gdy Enola wskazała na nieznanego w klatce zanurzonej prawie całkowicie w szlamie, ocknęła się błyskawicznie...

Gregor znikł, a z nim nadzieja odnalezienia Suchego Łądu.

Ale ktoś inny wiedział o Suchym Łądzie i ten ktoś mógł wyciągnąć stąd ją i dziecko, daleko od płonących zniszczeń i atolu, którego nieunikniony koniec został tylko przyspieszony atakiem Dymiarzy.

Helen złapała Enolę za rękę.

- Jeszcze z nami nie koniec - powiedziała wyzywająco. Te słowa były potrzebne zarówno jej samej, jak i dziewczynce.

I uciekły z wiatraka.

Śmierć, cuchnąca, oślizła śmierć ogarniała go zewsząd. Zawsze wiedział, że umrze gwałtownie - żył w Wodnym Świecie. Ale człowiek - czy kim tam był - z błoną między palcami i ze skrzelami nie spodziewa się zatonięcia. Do tego zatonięcia w gnoju...

Więc się nie poddawał. Przynajmniej umrze opierając się śmierci. Walka była jego sposobem na życie. Wypychał twarz w górę klatki, gdzie jeszcze było powietrze, gdzie...

... zobaczył piękną twarz.

Właścicielka tawerny!

Położyła na kompoście kawał plastikowej płyty i klęczała na niej. Uniosła brwi i coś na kształt uśmiechu drżało na jej ustach.

- Jeśli wyciągnę cię z tego, zabierzesz nas ze sobą? - spytała.

Dostrzegł dziecko stojące obok kompostu.

- Nie spiesz się z odpowiedzią - rzekła.

- Jeśli zdobędę moją łódź, otworzysz wrota? - spytał. Kiwnęła głową.

Podawała mu coś, co leżało koło jej kolan - łom. Żeglarz miał go w rękach, gdy papka

połknęła go bez reszty wraz z klatką.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wzdęta bańka powietrza na szlamie sygnalizowała zniknięcie klatki i nieznajomego. Zostali wchłonięci. Helen odebrało dech w piersiach, ale Enola krzyknęła:

- Patrz!

Przy ścianie kwatery z kompostem wyłoniło się oślizgłe brązowe ramię. Lepka od śluzu ręka złapała za krawędź. Nieznajomy pokryty szarobrązową mazią, przypominając bardziej potwora niż człowieka, wdrapał się na brzeg. Stał na nogach. Objął wzrokiem bitwę, wrota atolu zakryte fontanną z wodnych dział, Dymiarzy myszkujących po pokładzie jego trimaranu. Szukali łupów nie wiedząc, że Atolczycy ich ubiegli.

Spojrzał na Helen, która już odsuwała się od organicznej czeluści, ciągnąc Enolę za sobą.

-Wrota - przypomniał. - Oba skrzydła muszą być otwarte, inaczej moja łódź nie przepłynie. Rozumiesz?

-Rozumiem.

- Dobrze - powiedział. Skoczył z barki do laguny.

Zmąciła się woda. Zanurzył się i odpłynął pod powierzchnią. Helen prowadziła Enolę za rękę, gdy szły kładkami do bramy. Dymiarze przez wyłom w murach wdzierali się do atolu i wszędzie rozgorzała walka wręcz. Atolczycy byli w tragicznej mniejszości.

Z kładki nad zbrojownią Helen widziała dzieci zakuwane w kajdany. Zostaną sprzedane na targach Niewolnych. Widziała Dymiarza ścinającego drzewo na organicznej barce. Widziała zawartość odsalających zbiorników z hydro przepompowywaną do kanistrów Dymiarzy.

Zobaczyła jeszcze coś ze swojego wysokiego punktu obserwacyjnego: pewną aż za dobrze znajomą twarz.

Tchnąca okrucieństwem przystojna postać odziana w skórę rekina, z powiewającymi na wietrze długimi do ramion, jasnymi włosami, szła w dół kładki prowadząc rój Dymiarzy do barki wymiany.

Skand.

Więc to on był szpiegiem Dymiarzy.

Starszyzna skazała na organiczny cmentarz nie tego nieznajomego co trzeba. Ale nie miała już nawet czasu na próżny żal. Już teraz na dalszych rampartach Dymiarze rozpoczęli rzeź. Starszyzna nawet się nie opierała, jedynie patrzyła w niebo, szukając tam ratunku, który



nie przychodził.

Helen zatrzymała się na chwilę, gdy ujrzała Priama stojącego wśród poległych braci, chociaż Dymiarze przelazili przez mury za jego plecami. Najstarszy - ranny, oszołomiony - spoglądał z przerażeniem na swoje pływające miasto.

Krzyk rozpachy uniósł się nad wodą:

- Wszystko stracone!

Helen zadrżała, odwróciła się, gdy ogień z broni Dymiarza skierował się na starca, potwierdzając to ostateczne proroctwo.

Skand wszedł do stanowiska wymiany. Wokół Dymiarze rabowali i obracali wszystko w perzynę. On sam w trakcie ostatniej wizyty zorientował się, że nie ma tu zbyt wiele do zabrania.

- Czy to ona? - rozległ się czyjś głos.

Odwrócił się i ujrzał jednego ze swoich podkomendnych. Ciągnął jasnowłosą dziewczynkę. Miała grozę w oczach.

-Nie, kretynie - odpowiedział. - Byłeś na odprawie Diakona. My szukamy brunetki. Ze znakami na plecach!

-Tak, panie - powiedział Dymiarz zwieszając głowę.

-Jest tu gdzieś. Szukać dalej.

-Tak, panie.

Skok do wody orzeźwił Żeglarza. Płynął głęboko, po najkrótszej linii do trimaranu. Wyżej kule z gwizdem dziobały lustro wody, przelatywali Dymiarze na skuterach, ale tu, niżej, te dźwięki - jak i odgłosy toczącej się bitwy - wydawały się dalekie i nierzeczywiste.

Niebawem wychynął z wody jak skaczący delfin i wylądował na rufie, prawie u stóp plądrującego Dymiarza, który wycelował w niego podwodną kuszę.

W mgnieniu oka Żeglarz pozbawił go przytomności mocnym uderzeniem w podbródek i wyrwał kuszę z bezwładnej dłoni. Wyciągnął nóż zza pasa Dymiarza i bez żadnego wysiłku przerzucił drania przez burzę, jakby pozbywał się balastu.

Przymocował linę trałową do bełtu w kuszy i wystrzelił ją przez lagunę. Bełt wbił się w kładkę blisko dymiących ruin wiatraka. Żeglarz przerzucił dźwignie przy konsolcie sterowniczej i żagiel obrotowy z wolna zaczął krążyć. Lina napięła się i niebawem trimaran wpłynął na środek laguny, pozwalając Żeglarzowi obrać kurs na masywne wrota, które jak dotąd były zamknięte.

Skoro Dymiarze wlewali się wyłomami w murach atolu prawie na każdym odcinku, brama niczego już nie strzegła. Atolczycy rozpaczliwie usiłowali wesprzeć mury osłabione

palbą z kanonierki, gdy Berserker spadł na ten fragment osłony miasta i zawalił ją, grzebiąc obrońców pod ruinami.

Żeglarz nadał już kurs trimaranowi. Gdzie jest ta kobieta?! I ujrzał ją wspinającą się po kładce w pobliżu jednej z bliźniaczych wież wartowniczych. Dziecko szło za nią.

Przerzucił dźwignię i krążki, podbiegł na rufę z nożem Dymiarza w dłoni i odciął linę, podczas gdy trimaran zaczął przechodzić transformację.

Na wysokiej kładce Helen poczuła drobną dłoń zaciskającą się na ramieniu.

- Popatrz! - zawołała Enola.

Kursem na zamknięte wrota płynął trawler nieznajomego - lecz nagle stał się czymś więcej niż trawlerem.

Maszt rozłożył się w górę, skrzydła wiatraka się schowały, pokazały się żagle - grot wyfrunął z masztu...

Trawler zamienił się w elegancki jacht!

- Rety! - powiedziała Enola.

Za przeobrażonym trimaranem Helen ujrzała znacznie mniej inspirujący widok. Blisko łodzi nieznajomego, w wyłomie, mrowili się Dymiarze. Jakby od niechcenia mordowali po drodze różnych Atolczyków, którzy padli na kolana modląc się do zasnutego dymem nieba. Ci bardziej praktyczni zanurzali się w lagunie, niektórzy w kanoe, inni w beczkach, jeszcze inni wplaw w kołach ratunkowych.

Im też były potrzebne otwarte wrota.

Od Helen zależało, czy te niedobitki przeżyją.

Ale przy wejściu do wieży stał brodaty wartownik - zamroczony utratą krwi, skąpany w posoce - i chwiejąc się na nogach strzegł stanowiska. Chociaż był osłabiony, bez trudu wycelował w Helen swoją podwodną kuszę.

- Zed, wróg jest już w środku... - rzekła łagodnie, cicho, posuwając się tak, jakby jej kroki mogły wywołać śmiertelną eksplozję. - Sam się przekonaj...

Kołysząc się na nogach rzekł:

- Jeśli ty... lub ktoś inny spróbuje otworzyć bramę... to uwierz mi Helen... spuszczę cię tam, gdzie...

I przypadkowa salwa trafiła go, rzuciła na bok. W pustych oczach przejrzała się śmierć, gdy staczał się z mostka przy wieży.

Helen pochyliła się nad Enolą i spojrzała jej twardo w oczy.

- Kiedy przerzucę tę dźwignię i wrota zaczną się otwierać, musimy biec...

Wskazała na wąską kładkę z tyłu. W tej chwili była równym pomostem. Lecz gdy

wrota się rozsunały, kładka się rozdzieli.

-...i będziemy musiały skoczyć? Rozumiesz? Dziecko skinęło głową.

-Potrafisz to zrobić? Dziecko znowu skinęło głową.

- Postaraj się nie bać - powiedziała Helen i uściśnęła dziewczynkę za ramię.

Kolejne kiwnięcie główką i dziewczynka powiedziała:

- Ty też.

Helen wzięła głęboki oddech, weszła do wieży, przerzuciła dźwignię. Koła zębate poszły w ruch i pierwsze skrzydło zaczęło się uchylać.

- Biegiem! - wrzasnęła łapiąc dziewczynkę za rękę i wśród krzyków, dymu i kanonady powiodła ją wąską, ruchomą kładką.

Wrota powoli zaczęły się rozchyłać, lecz Żeglarz wiedział, że trimaran się nie przecisnie, dopóki drugie skrzydło również się nie otworzy. Nie spuszczać oka z kobiety i dziecka posuwających się ruchomym pomostem, sterował z pochyloną głową. Kule dziobały wodę i rykoszetowały z gwizdem od metalowych części łodzi. To będzie cud, jeśli jakiś pocisk go nie dosięgnie.

Usłyszał za sobą hałas. Odwrócił się i zobaczył Dymiarza, który skoczył z wodnego skutera na jeden z kadłubów trimaranu. Dźwigał się na nogi trzymając broń w ręce. Żeglarz skoczył i kopnięciem w głowę pozbył się Dymiarza, strącając go do laguny.

Ale skuter pozbawiony kierowcy nadal parł do przodu - prawdę mówiąc, frunął - i rozbił się akurat o zamknięte skrzydło bramy.

- Szybciej! - zawołał Żeglarz do kobiety i dziewczynki.

Zatrzymały się na skraju kładki, u jej końca, który oddalał się od drugiej części wraz z drugim skrzydłem.

- Skaczcie! - wrzasnął Żeglarz.

Skoczyły, ale w tym momencie zabłąkana kula trafiła we wrak skutera i przeszła zbiornik z sokiem pędnym. Wybuchł jak minipiorun kulisty i zakołysał wrotami. Helen i Enola straciły równowagę i spadły z kładki.

Dziecko krzyknęło przeraźliwie.

Helen obiema rękami złapała się skraju kładki. Dziecko przyłgnęło do kobiety. Niebezpiecznie kołysały się w powietrzu. Dym unosił się z resztek w dole.

Gdy się rozwiął, Żeglarz ujrzał, że dolna połowa bramy została roztrzaskana. Dziura nie była na tyle duża, by mógł przez nią przeprowadzić trimaran, ale i tak skierował się ku niej, pozwalając, by łódź zahaczyła masztem o resztki skrzydła w górze.

Wdrapał się na maszt i wskoczył na kładkę.

- Dzięki bogom! - powiedziała Helen. Dziecko wisiało jej na szyi jak żywy naszyjnik.

Ale Żeglarz przeskoczył nad nimi i pobiegł do otwartych drzwi wieży. Znalazł dźwignię i wrota - lub to, co z nich zostało - zaczęły się z wolna, opornie rozwierać.

Wrócił biegiem ruchomą rampą do kobiety. Miała na twarzy ulgę... dopóki Żeglarz nie skoczył w odwrotnym kierunku niż poprzednio, rzucił się do masztu trimaranu i ześliznął na pokład.

- Ty draniu! - wrzasnęła kobieta.

Był już przy sterze. Prowadził łódź w fontannę z dział wodnych. Najbliższy wyłom w murze wykorzystali Dymiarze i gnali nim, wyraźnie kierując się ku Żeglarzowi.

Maszt zadygotał, gdy kobieta, z dzieckiem nadal uwieszonym u szyi, spadła na żagiel i zjechała w dół, lądując na pokładzie z sieci w niezgrabnym kłębowisku rąk i nóg. Ale i tak nie mogły już wyglądać gorzej niż poprzednio.

Wbiła wściekły wzrok w Żeglarza. Odpowiedział jej beznamiętnym spojrzeniem. Na chwilę rzucił ster i skoczył w jej kierunku. Myślała, że chce jej coś powiedzieć, ale on jedynie wcześniej zauważył krzak pomidora podskakujący na wodzie wśród różnych odpadków i teraz chciał go wyłowić.

Wrócił do steru kierując łódź na otwarte morze. Zorientował się w sytuacji i z ulgą skonstatował, że kanonierka Dymiarzy - dysponująca potężnym karabinem maszynowym, który siał takie zniszczenie tego przedpołudnia - płynie z tyłu i broń jest wycelowana na inny fragment murów atolu.

Ale skonstatował też, że przed nimi jest inna jednostka - obszerna, pokryta mrowiem Dymiarzy barka, przy której skutery wodne i motorówki uzupełniały zapasy soku pędnego.

Na pokładzie zbiornikowca Diakon w łaskawym usposobieniu rozdawał dymne patyki swoim żołnierzom. Rozradowani Dymiarze zapalali je blisko łatwo palnego płynu i zaciągali się tymi tytoniowymi medalami za odwagę nawet wtedy, gdy miłosierny nastrój Diakona zmienił się diametralnie.

- A to co za jednostka?! - zacharczał.

Przed jego nosem płynęła trzykadłubowa łódź. Oddalała się od atolu z takim spokojem, jakby wyruszała w jakąś miłą wycieczkę.

- Czy któryś z naszych komenderuje tą łodzią? - Walnął Spauldingiem o pokład i jego ludzie podskoczyli. - Nie przypominam sobie, żebym pozwolił komuś odpływać w środku bitwy! Czy dałem takie pozwolenie?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie i rozradowanie na twarzach Dymiarzy ustąpiło zbaranieniu.

Diakon wyrwał dymny patyk z ust sygnalisty.

- Przekaż "Ogniovi Piekielnemu", ty kretynie! Powiedz, niech rozpierniczy w cholere tę łajbę!

Ale majtek nie potrafił przyciągnąć uwagi załogi kanonierki. Diakon wył i gwizdał, ale zarówno kierowca, jak i strzelec nie reagowali...

- Nienawidzę żagłówek - oświadczył kręcąc głową z obrzydzeniem. - Mężczyzna bez silnika to eunuch!

Kanonierka zaczęła się obracać, a strzelec nawet tego nie zauważył. Twarz i gogle miał czarne od dymu diesla. Mordował na ślepo. Potężna broń podskakiwała plując płomieniami, śmiercią, zużytymi łuskami i nie dało się zgadnąć, czy to człowiek kontroluje maszynę czy na odwrót. Załoga kanonierki przyłgnęła do pokładu. Zaciskała ręce na uszach, ogłuszona rykiem potężnej broni.

Diakon uśmiechnął się. Zapalił dymnego patyka rozkoszując się myślą o tym, co ta wielka broń nad broniami zrobi zadufanym dupkom na żagłównie, gdy tylko kanonierka obróci się o sto osiemdziesiąt stopni...

Rozwój sytuacji nie umknął uwagi Żeglarza. Cały czas oglądał się na kanonierkę. Zerknął na Helen, która nadal nie szczędziła mu wściekłych spojrzeń.

-Posteruj za mnie - powiedział.

-Czemu miałabym ci zaufać? - spytała.

Za odpowiedź posłużyło mu samo spojrzenie. Wreszcie skrzywiła się i złapała za ster. Żeglarz wziął linę i podszedł do działka harpunniczego. Wycelował dokładnie w "Ogień Piekielny" i strzelił.

Harpun trafił w dziób kanonierki i lina napięła się.

Trimaran miał swój połów.

Wkrótce łódź Żeglarza ciągnęła kanonierkę obracając ją w koło. Karabin maszynowy pluł pociskami i ogniem, chaotycznie ostrzeliwał ocean, na którym zbiornikowiec był jego następnym, chociaż nie zamierzonym celem.

Diakon ujrzał, jak kule tną powierzchnię oceanu, i spytał: - Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego ta łódź wciąż strzela? Przekaż mu wiadomość, kretynie, machaj chorągiewkami!

I sygnalista gorączkowo przekazał rozkaz "przerwać ogień", ale strzelec "Ognia Piekielnego" nie zdejmował palca ze spustu. Akurat rozwalił startującą na skuterach paczkę Dymiarzy. Uniosła się krwawa tęcza. Ryby będą miały co jeść.

Huraganowy ogień coraz bardziej zbliżał się do zbiornikowca, ciął pobliskie fale.

Kierunek przesuwania się ognia był wyraźny.

Podczas gdy Dymiarze stali ogłupiali, Diakon przewidział, co się święci, i zeskoczył z pokładu. Jego skok zyskał nieco na rozmachu, gdy ogień piekielny kanonierki natrafił dziób zbiornikowca i barka wybuchła jak pływającą bombą, którą w istocie była. Znikła tworząc zaskakujący piorun kulisty, który osmałił tyłek Diakona.

Na trimaranie Żeglarz nożem Dymiarza odciął linę harpuna, wrócił do steru i popłynął przez deszcz płonących resztek i gęsty dym, który wkrótce zaczął rzednąć i znikać.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nieskończona pustka leniwie falującego oceanu mogłaby stanowić niepodważalny argument za tezą o bezludnym świecie.

Samotny poobijany holownik wycinał szeroki szlak w łagodnym, zwieńczonym bielą grzyw błękitnie, ciągnąc resztki niegdyś dumnej armady Dymiarzy - puste skutery wodne, motorówki, nawet barki. Niektóre jednostki były zniszczone, inne pozbawione soku pędnego. Do tych szczątków przyłgnęli Dymiarze. Leżeli na pokładach, burtach, czasem nawet płynęli w wodzie uczepleni lin, starając utrzymać się na powierzchni. Wielu było rannych, poobijanych jak holownik. Przyciskali prowizoryczne zakrwawione opatrunki do ran, które zadał zlekceważony przeciwnik w Oazie. Niektórzy już nigdy nie ujrzą macierzystego statku “Deez”.

Atol Oaza po ataku tworzył inny wzór na linii horyzontu. Całe fragmenty znikły i kłęby dymu unosiły się w niebo jak pełzające czarne smoki. Łódź patrolowa powoli wpłynęła do laguny i uderzając dziobem o pływające szczątki - niekiedy ludzkie - roztrąciła je na boki.

Niebawem Diakon zszedł z pokładu na zachowaną sekcję nabrzeża. W innych miejscach potworzyły się wyrwy, jak ślady po zębach w koszmarnie uśmiechających się ustach. Kapłan wojownik Dymiarzy był równie poobijany jak jego podwładni. Głowę opatulił przesiąkniętym krwią bandażem, który na nagiej czaszce wyglądał jak źle założona chustka. Osłaniał lewe oko (lub to, co nim było przed eksplozją). Mundur, który już poprzednio był wystrzępiony jak wodorosty, teraz wyglądał, jakby składał się z samych przepalonych koronek.

Dymiarz, którego wszyscy nazywali Księgą, podbiegł do Diakona. Dźwigał wielką czarną księgę przychodów i rozchodów, której zawdzięczał swoje imię.

- Słyszałem, że jesteś ranny, panie. Strasznie mi przykro. Księga był mały jak na Dymiarza - i sprytny jak na Dymiarza. Dlatego Diakon obciążył go odpowiedzialnością za prowadzenie rachunkowości.

- Popraw mi humor - powiedział Diakon.

Księga podsunął wyżej okulary w drucianych oprawkach, otworzył wielkie tomiszcze i trzymając je w powietrzu jak jakieś święte pismo zaczął lekturę.

-Sześćset sześć galonów uratowanego hydro klasy trzy czwarte lub wyższej... sto dwadzieścia wysepek różnych artykułów żywnościowych: ryb latających, ciastek planktonowych... sześć wysepek oliwy do lamp... czterdzieści cztery winorośli starego

chowu... dziesięć różnych drzewek owocowych.

-Zapasy amunicji?

Księża uniósł głowę znad kart i skrzywił się.

-Wybacz, panie. Zero zapasów amunicji. Na tym atolu nie było żadnych składów amunicji, tylko dzidy, łuki i strzały...

-Prymitywne pętaki.

-Zero soku pędnego. Żadnych urządzeń rafineryjnych.

-Barbarzyńcy. - Diakon potrząsnął głową, a potem pożałował tego gestu łapiąc się za twarz poniżej zakrwawionego bandaża. Jednak gdy się odezwał, w jego głosie było więcej melancholii niż bólu: - Te małe wypadki to kiedyś była frajda. Ile czasu minęło od ostatniej naprawdę dobrej wyprawy, Księża? Powiedz mi, ile?

Księża zmarszczył czoło i zaczął przerzucać kartki. Wyglądało na to, że nie chce udzielać nie udokumentowanej odpowiedzi.

-Nie sprawdzaj - powiedział Diakon. - To było retoryczne pytanie.

-Co, panie?

Diakon westchnął znowu. Jego ludzka księga bilansowa była sprytna jak na Dymiarza, owszem, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

- Dawniej nowy atol był co horyzont - rzekł tęsknie Diakon. Wyciągnął rękę ku niebu.

- Gdzie one, do diabła, się podziewają?

Księża rozejrzał się po dymiących ruinach i już miał odpowiedzieć, ale uznał, że nie byłoby to najszcześniejsze posunięcie z jego strony.

W resztkach jakiejś dawnej fabryki Skand natrafił na coś, co jednak poprawiło humor Diakonowi.

- Znalazłem go. - Skand uśmiechnął się zjadliwie, podając dzban owinięty w sieć. - Był między manatkami Starszyny atolu...

Diakon łączywie otworzył pokrywę, zanurzył ręce w ziemi. Jaka żyzna! Dzban był pełny w dwóch trzecich, zapewne te prymitywy zmarnowały część do jakichś ceremonii. Wyciągnął rękę, obwąchał. Od aromatu prawie zakręciło mu się w głowie.

-Jesteśmy coraz bliżej - powiedział. - A dziewczyna? Skand pokręcił głową.

-Nie ma jej tutaj. Mogła uciec.

Diakon machnął pięścią w powietrzu. Skand i reszta Dymiarzy cofnęli się - wiedzieli, czym grozi zły humor Diakona.

- Ona była naszym celem! - Zaczął krążyć, głośno szurając butami o kamienną podłogę. - To nie były manewry. Nie tracimy mechanizmów, soku pędnego i ludzi, żeby



spładrować żaloszny śmietnik z kilkoma galonami hydro i kępką nędznych drzewek owocowych!

-Jest paru żywych w środku - zasugerował Skand. - Niewiele mówią.

-Zaprowadź mnie do nich. Osobiście ich odpytam... pokażę wam, dupki koralowe, jak prawdziwy mężczyzna prowadzi przesłuchanie...

Dwaj Atolczycy byli przykuci do wielkiej przekładni. Jednym z nich był Starszy w szacie z wodorostów, drugim wartownik z bramy. Stali zgarbieni, ledwo świadomi, ze spuszczonej głowami. Obaj zabrudzeni, rozczochrani, krwawiący. Ich ubiory zwisały w strzępach. Pilnowała ich para Dymiarzy, ale więźniowie i tak nie mieli się dokąd udać.

Diakon wyciągnął dłonie do każdego ze strażników i obaj natychmiast podali mu rewolwery wyciągnięte z za pasów.

Mając za plecami Skanda, przywódca stanął przed więźniami i przytknął lufy do skroni nieszczęśników. Wybałuszili oczy i zaczęli gorączkowo, prawie niezrozumiale błagać o litość.

- Jak będziecie gadać razem, zastrzelę jednego! - rzekł Diakon strofującym tonem nauczyciela.

Zamilkli.

- Dobrze - powiedział. - Więc tak... jeśli udało się wam zauważyć, że to, co ciurka mi z dziury we łbie, to krew, to możecie wysnuć całkiem słuszny wniosek, że miałem fatalny dzień. Jak mi nie wierzycie, spytajcie moich ludzi... A kiedy Diakon ma fatalny dzień, to każdy ma naprawdę fatalny dzień.

Strażnicy Dymiarze uśmiechnęli się lekko i pokiwali do siebie głowami. Skand i Księga wykonali ten sam gest.

- Rzecz sprowadza się do tego: muszę dowiedzieć się czegoś o tej wytatuowanej dziewczynce - powiedział Diakon.

Dwaj mężczyźni od razu zaczęli bełkotać. Każdy usiłował przekrzyczeć drugiego. Zgiełk ich głosów zadudnił straszliwą kakofonią w pulsującej głowie Diakona.

Podrzucił monetę i strzelił w głowę wartownikowi z wieży. Mózg trysnął w kaskadzie posoki, echo wystrzału rozniosło się łoskotem po fabryce.

Dymiarze ani drgnęli. Styl Diakona był im znany.

- W porządeczku - powiedział spokojnie. Zwrócił się do Starszego. - Wygrałeś. Teraz zacznij jeszcze raz.

Starszy milczał zszokowany, zlany krwią zabitego. Patrzył błagalnie na Diakona, który nadal trzymał lufę przy jego skroni.

Diakon cofnął broń.

-Tak, możesz gadać. Chcę, żebyś gadał. Inaczej tobie też odstrzelę pałę. Kapujesz?

-Widziałem dziewczynkę - wyszeptał chrapliwie Starszy.

-Gdzie?

-Nie jestem pewien... dym był tak gęsty... ale była z Helen, z tą która ją wychowywała...

Diakon zmarszczył brwi.

-O czym ty gadasz?

-O wytatuowanej dziewczynce! Była na łodzi. Z Helen.

-Na jakiej łodzi?!

-Na trzykadłubowcu.

Wściekłość zalała twarz Diakona szkarłatem. Ta łódź wysadziła jego zbiornikowiec!

Pozbawiła go tysiąca galonów soku pędnego...

- Czyja to łódź?!

-Mutanta - odpowiedział Starszy. Wściekłość Diakona przeszła w zaskoczenie.

-“Mutanta”? Co to za słowo, do diabła? Starszy robił co mógł, żeby uratować swoje życie.

- Ma nacięcia za uszami... jak rybie skrzela. To nie był prawdziwy człowiek. Stary Gregor nazwał go “fuks ewolucji”.

-Wybacz mi - rzekł Diakon, wcielenie cierpliwości i dobrej woli. - Fuks czego...?

-Ewolucji - podszepnął Księga.

Diakon popatrzył z uśmiechem na ludzką księgę bilansową. Księga odwrócił wzrok. Znał ten uśmiech, często spadało po nim uderzenia.

-Słyszałem faceta - powiedział Diakon.

-Przepraszam, panie - powiedział Księga.

-Powiem wam coś. Przeprowadzimy inteligentną konwersację. Ja będę mówił, wy wszyscy będziecie słuchać...

Strażnicy, Księga, Skand - wszyscy skupili całą uwagę na słowach Diakona. Starszy trząśł się zwisając z przekładni.

- Na początku Dostarczyciel rzekł: “Niech będzie woda”, i rozlały się morza - zaintonował podniosłym tonem Diakon. - Stworzył wszystko nam znane, słońce, powietrze, którym oddychamy. Stworzył człowieka i rybę. Ale nie kombinował żadnych szczebli pośrednich. Dostarczyciel nie uznaje pojęcia “ewolucja”.

Strażnicy, Skand, Księga chórem powiedzieli:

-Amen.

-Bądźcie błogosławione, moje dziatki - rzekł Diakon, przystawił rewolwer do skroni Starszego i odwiódł kurek.

Starszy wybałuszył przerażone oczy.

-Ale... powiedziałaś, że mnie nie zabijesz!

-Powiedziałem? - Spojrzał na swoich ludzi. - Ktoś chce poświadczyć? Mówcie prawdę, no już! Powiedziałem?

Wszyscy wzruszyli ramionami.

- Powiedziałeś!!! - krzyczał Starszy. - Słyszałem... Sam to powiedziałeś!

Diakon cofnął się, spuścił kurek.

- A wiesz co... może. W gruncie rzeczy człowiek jest tyle wart, co jego słowo.

Starszy odetchnął z ulgą.

-Chwała Dostarczycielowi...

-Chwała Dostarczycielowi - rzekł kapłan wojownik i oddał broń Skandowi, czyniąc znak głową. Odszedł, a drugi strzał rozległ się gromkim echem w ruinach fabryki.

Gdy Skand niosąc dymiący rewolwer, zrównał się z Diakonem, przywódca Dymiarzy powiedział:

- Jak będziemy na "Deez", każ zatankować łódź powietrzną. Niech wyleci na patrol...

Krew ściekała spod przemoczonego bandaża Diakona. Zerwał go odsłaniając ohydne szkarłatne wgłębienie, w którym niegdyś było oko.

- Chcę dostać tego popaprańca! Znajdź go, a będziemy mieli i dziewczynę.

Skand kiwnął głową.

- I do cholery, niech ktoś da mi świeży bandaż! - zaklął Diakon. - Czy muszę wszystko robić sam?!

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Morze kołysało coraz mocniej, ale trimaran - chociaż jego pokład pokrywały zwęglone szczątki zbiornikowca Dymiarzy - płynął gładko. Z zapasowym żaglem w dłoni Żeglarz skoczył w lodowatą wodę i zanurkował pod główny kadłub, aby zaczipować dziurę wybitą w trakcie bitwy.

To powinno utrzymać łódź na powierzchni - na razie.

Niebawem wrócił na pokład ociekając wodą. Sięgnął po plastikową butelkę z hydro klasy trzy czwarte i pociągnął łyk. Tylko jeden.

Popatrzył na Helen, która zdenerwowana siedziała pod masztem. Zerwane fały i porwany żagiel unosiły się tuż nad jej głową.

Mogła podkraść łyk z butelki, gdy był pod wodą. Ale nie skorzystała z tej możliwości - albo ze strachu, albo chcąc mu pokazać, że można jej zaufać.

Tak czy owak, było mu to całkowicie obojętne.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała ponuro.

Nie odezwał się słowem. Jedyne zerknął na dziewczynkę siedzącą na rufie. Wypatrywała oczy nad powierzchnią morza w kierunku, z którego przyплыли. Jej śliczna twarzyczka odzwierciedlała szok i grozę. Enola na ślepo rysowała na kadłubie kawałkiem węgla drzewnego - wybuchy, walkę wręcz, gwałtowne starcia, których żadne dziecko nie powinno oglądać. Było mu jej żal.

Ale to nie zmieniało rzeczywistości, której wkrótce będą musieli stawić czoło.

- Myślisz, na ile dłużej wystarczyłaby ta butelka hydro, gdyby na łodzi nie było nas dwóch - powiedziała kobieta.

Prawdę mówiąc, pomyślał o tym dużo wcześniej.

- No cóż - rzekła pojednawczym, rozsądnym tonem - Enola nie będzie dużo piła, a ja...

Założył z powrotem zakrętkę na butelkę. Może kobieta myślała, że nagrodzi jej uczciwość chociaż paroma kroplami. Jeśli tak, myliła się.

- ...wcale nie będę piła - skończyła. - Dopóki tam nie dopłyniemy.

Zmarszczył brwi.

-Dokąd?

-Tam, dokąd ty płyniesz.

-A gdzie to ma być?

- Tam, gdzie dostałeś swoją ziemię. Więc o to chodziło.

-Zabrałem ją z atolu, który zaatakowali Dymiarze - powiedział. - Nieżywi Atolczycy nie powiedzieli mi, skąd go wzięli.

-Nie wysilaj się - odparła ze złośliwym uśmiechem, potrząsając głową. - Dymiarze niczego nie zostawiają za sobą po napadzie. Zwłaszcza ziemi.

Nic na to nie powiedział.

- I nigdy nie widziałam takiej ziemi - dodała. Usiłowała zajrzeć mu w oczy.

-Byłeś tam, no nie? - spytała cichym głosem, ledwie słyszalnym ponad chłupotem fal o łódź. Cichym, niemal tęsknym.

-Gdzie?

Teraz w jej głosie zadygotało napięcie.

- Na Suchym Łądzie... wiesz, gdzie on jest.

Prawie rozbawiony podsunął się do niej.

- Taaa. Jasne. Wiem, gdzie on jest.

Zdumienie zajarzyło się w oczach Helen. Wyglądała, jakby dostała w głowę bomem.

-Wiedziałaś - wyszeptała. - I tam... tam płyniemy?

-Ty i ja - rzekł Żeglarz. Bardzo cicho dodał: - Dzieciaka musimy wyrzucić za burtę.

Wyraz jej twarzy zmienił się raptownie. Była zbita z tropu, niemal przerażona.

- Co?

Skinieniem głowy wskazał na główny kadłub.

- Nabieramy wody. W tym całym zamieszaniu moja łódź została uszkodzona. Dezalinator się przytknął... - Teraz z kolei wskazał na urządzenie z rurek, kul, filtrów i zaworów, służące do recyklingu uryny. - Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli dostaniemy z tego połowę racji hydro.

Zmrużyła oczy.

-Powiedziałaś, że nie będę piła...

-Przez dwanaście dni? Nie sądzę. Zadygotała i odsunęła się od niego.

-Może Atolczycy mieli rację. Może jesteś potworem...

- Lepiej, żeby jedna z was umarła teraz, niżbyście obie miały umierać powoli - szepnęła. - Jesteś silna. Masz szansę. Dziecko jest przegrane. Spójrz prawdzie w oczy. I żyj dalej.

Wstał. Złapała go za łydkę.

-Zaczekaj.

Spojrzał na nią zimno.

-Nie ma o czym więcej gadać.

-Uratowałyśmy ci życie! Bez nas nie wy dostałbyś się stamtąd...

-Pomogliście mi się wydostać, żeby same uciec - powiedział. - Nie jesteśmy sobie nic winni.

Zerwała się na nogi.

- Słuchaj, umiem łowić ryby... gotować..

- Ja też.

Rozpaczliwe myśli przebiegające Helen przez głowę odbijały się w błyszczących oczach. Gwałtownym ruchem podniosła rękę do szyi i zdjęła wiszącą tam ozdobę. Podała mu ją.

-Więc weź ten naszyjnik - powiedziała. - Jest wart...

-Mam lepsze pod pokładem. - Wyszczrzył na krótki moment zęby. - Nie splądrowali wszystkiego.

Westchnęła i potrząsnęła głową.

-Słuchaj... Mogę zrozumieć, czemu po tym, co się stało w Oazie, odczuwasz gorycz...

-Nie czuję goryczy.

-No to gniew...

-Wyglądam na zagniewanego?

- Ale ona jest dopiero dzieckiem... Nic na to nie odpowiedział.

Z jej twarzy znikł wszelki wyraz. Oczy patrzyły twardo i nieruchomo.

-Czy jest coś... coś innego, co mogłabym zaoferować?

-Na przykład...?

Oblizła wargi. Chociaż spierzchnięte, były pełne i śliczne.

- Sam powiedziałaś... że pływałaś po oceanie długo... Stała niczym zjawą otoczona blaskiem popołudniowego słońca... jej usta były tak pełne... jej kształty tak kobiece, a jednocześnie dziewczęce...

Te wrażenia musiały się uwidocznic na jego twarzy, bo uśmiechnęła się lekko - by użyć jej słów: z goryczą - i zawołała głośno do dziecka:

-Enola!

-Tak?

-Enola, zejdź pod pokład. Muszę... porozmawiać z naszym gospodarzem na osobności.

-Tak, Helen.

I kobieta zaczęła zdzierać tunikę z okrągłych, opalonych ramion.

Enola wskoczyła do zapchanej kabiny. Jak każde dziecko nie mogła się oprzeć, by trochę nie pobobrować. Niemal natychmiast pociągnęła jakąś zatyczkę i część drewnianej

boazerii odpadła z trzaskiem.

Odkoczyła skulona. Nadstawiła uszu spodziewając się, że ten hałas zwróci uwagę dorosłych...

Ale musieli być zajęci tam na górze, bo nie zapowiadała się żadna bura.

Kawałek deski, który odpadł od ściany, był rodzajem blatu. Przypięto do niego prowizoryczną mapę morską. Oczywiście Enola nie знаła tego słowa. Błat zasłaniał półki i kwadratowe wnęki. I leżały tam kolejne mapy, zwoje papieru! Cennego papieru!

Nawet stary Gregor nie miał takich bogactw!

A w jednej wnęce znalazła pudełko. Nie potrafiła odczytać napisu - KREDKI - 64 KOLORY - ale jak każde dziecko od razu wiedziała, do czego służą znajdujące się wewnątrz przedmioty.

Były w różnych rozmiarach - niektóre bardziej zużyte, inne mniej, jeszcze inne połamane - lecz gdy Enola zobaczyła skarb, zrozumiała, z czym ma do czynienia. Złapała kredkę oznaczoną "cyjanin" i zrobiła próbną linię na jednym z poplamionych wodą, starożytnych kawałków papieru. Wpierw obróciła go gładką stroną do góry. Nie chciała zniszczyć rysunku, który zrobił ktoś inny.

Enola nie była niegrzecznym dzieckiem.

Ale była dzieckiem, i do tego z pudełkiem kredek.

Próbna kreska okazała się piękna i dziewczynka zgarbiła się nad papierem. Wyobraźnia narzucała jej obrazki. Najpierw użyje tej kredki, potem innej. Nigdy do tej pory nie miała kolorowych patyków do rysowania! Teraz mogła robić wielobarwne obrazki!

I pojawiały się piękne, różnokolorowe rysunki - ptaki, konie, ludzie w chatkach, góry. Ponure czarne wizerunki bitwy zostały na zewnątrz na kadłubie.

Zrzuciła tunikę.

Jej ciało było piękne, idealne, pozbawione znamion, niemal bez blizn - rzecz niesłychana w Wodnym Świecie. Miała pełne piersi sterczące dumnie do góry, brzuch mocny, płaski, sprężysty, równie sprężyste nogi, ale o łagodnych kształtach, gdy śmiało, bez zażenowania stanęła pewnie na mocno rozstawionych stopach.

Wyraźnie nie była zachwycona, że musi się w ten sposób demonstrować, ale gdy tylko podjęła decyzję, nie wahała się. Musiał to podziwiać.

I nie mógł nie podziwiać urody tej kobiety.

Nieświadomy pożądania, które zdradzał ten gest, wyciągnął rękę i pogładził cudowną, okrągłą pierś, ledwo muskając jędrną skórę. Poczuł, jak coś się w nim budzi...

... i cofnął rękę.

-Nie - powiedział. Oślupiała.

-Nie?

- To byłoby niewłaściwie - rzekł kwaśno. - Nie należę do twojego gatunku.

Uczepiła się jego ramienia.

-Nie jestem taka jak inne... Ja nigdy...

-Wy, oddychający powietrzem, jesteście wszyscy tacy sami. - Odsunął jej rękę. - Wiesz, co naprawdę myślałem? Czemu od razu nie miałbym wyrzucić was obu. Nie macie nic, co by mi było potrzebne.

Zakryła piersi ramieniem, jakby nagle zdała sobie sprawę, że stoi przed nim naga. Minał ją, jakby była tylko jeszcze jednym trzepoczącym się żaglem. Gdy na rufie pochylił się oczyszczając pokład z odpadków, usłyszał, jak zbiera ubranie. Wziął się do pracy przy żaglach.

Z tyłu dobiegł go jej głos. Pojawił się w nim nowy ton - ostry ton.

- Zabierasz nas do Suchego Łądu. Obie... Odwrócił się powoli i ogarnął ją wzrokiem. Miała na sobie tunikę, ale w dłoni pojawiło się coś nowego: broń.

Skąd ją wzięła, nie miał pojęcia; musiała jakoś przemycić na pokład.

Mała jednobełtowa kusza podwodna celowała prosto w jego serce.

- Umiejętne zabijanie to niełatwa rzecz - powiedział jej, nadal pracując przy żaglach. - I wierz mi, nie pcham się do tego.

Ale była zawzięta i zdecydowana. Minikusza w jej dłoni ani drgnęła. Jeśli czuła zdenerwowanie, dobrze je ukryła.

-Może nie będziesz pierwszym człowiekiem, którego zabiję - rzekła.

-Może. Ale jak długo planujesz celować z tego we mnie?

-Dopóki będzie trzeba - rzekła nieugięcie. - Stąd do Suchego Łądu...

Ostro przełożył ster i łódź wskoczyła na fale, unosząc wysoko dziób. Załopotał fok. Następnie przerzucił zapadkę trzymającą fał foka i nagle spuszczone żagiel przykrył kobietę jak koc.

Żeglarz złapał pagaj i walnął w wybrzuszenie w środku żagla - w jej głowę. Był to celny, silny cios.

Wybrzuszenie skłębło.

Swobodnym ruchem sięgnął pod płótno, wyłowił bezładne ramię i wyrwał kuszę z ręki.

Teraz mógł wreszcie skupić się na żaglach i zyskać trochę czasu, zanim Dymiarze zaczną ich szukać.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zamkiem Diakona - “Deez” - był obszerny statek towarowy, który w starożytnych czasach nazywano super - zbiornikowcem; trzysta ton przeżartej rdzą i oplecionej wąsonogami stali. Wysoki komin na rufie buchał czarnymi dymem, ale statek wydawał się niemal nieruchomy. Dryfował od stuleci i teraz był bardziej atolem niż ruchomą jednostką.

Głęboko w trzewiach “Deez”, w izbie chorych, Doktorek - osobisty lekarz Diakona - zajmował się swoim pacjentem. Drobnym, wyniszczonym Doktorem nie wyglądał zdrowo, a jego chorobliwy wygląd podkreślały rurki na stałe podłączone do nozdrzy. Sięgały do pojemników z gazem na ruchomym wózku, skąd dostarczały uzależnionemu Doktorowi nie tlen, ale ożywczą mieszaninę różnych gazów, koktajl do wdychania. Zależnie od nastroju zmieniał jego skład za pomocą dźwigni na pojemnikach.

Diakon siedział w tej małej brudnej kabinie na fotelu z odchylonym oparciem (którego metalowa plakietka informowała między innymi: “Urządzenia dentystyczne”, Sp. z o.o. Filadelfia), otoczony wianuszkami widzów przyglądających się zabiegowi. Wśród patrzących był zastępca Diakona, Skand, jak również gromadka brudnych, zdziczałych dzieci.

Doktorek narzekał, gdy te ludzkie szczurzątko wdzierały się do jego sanktuarium (“Uragające higienie!” - rzekłby); ale dla Diakona dzieci były jutrem, przyszłością, więc pozwalał temu robactwu panoszyć się na statku.

Na metalowej tacy tuż przy fotelu, obok starożytnych przyrządów medycznych, leżało kilka łożysk kulkowych różnych rozmiarów. Doktorek odłożył tam finalne narzędzie całej operacji - pędzel z ostro schodzącym się włosiem.

- Proszę! - zawołał ucieszony swoją robotą, zasysając gaz. - Skończone! Jak nowe. A nawet lepsze!

Diakon ściągnął metalowe ramię, na którym było również lustro, i spojrzał na swoje nowe oko. Na łożysku kulkowym w lewym oczodole lśnił wilgocią owoc pracy Doktorka - wymalowana źrenica z tęcza.

Ale Diakon uznał, że Doktorek jest jeszcze gorszym malarzem niż lekarzem.

Wylazł z fotela, sięgnął po putter, który przejął teraz rolę buzdygana (co tragiczne, nr 5 zaginał w akcji), i usiłował złapać równowagę.

Doktorek podtrzymał go.

-Mogą być pewne drobne problemy z oceną odległości...

-Tylko żeby mi to nie spieprzyło gry przy dołku - rzekł złowroźnie Diakon.

-Szybko się przyzwyczaisz! - powiedział Doktorek. Roześmiał się nerwowo. - Człowiek twojego intelektu, o takich wrodzonych zdolnościach artystycznych, czemu nie miałby błyskawicznie...

-No? - zwrócił się Diakon do Skanda wskazując na łożyskowe oko. - Jak myślisz? Wal bez litości.

-Mmm... niezłe - wy stękał Skand. - Taaa. Zupełnie niezłe.

-Daleki jestem od samochwalstwa - rzekł Doktorek kładąc rękę na piersi - ale twierdę z pełnym przekonaniem, że wolę je od twojego prawdziwego oka.

Diakon zwrócił się do jednego ze zdziczałych dzieciaków.

-A ty co powiesz?

-Wygląda gównianie - powiedział mały rozrabiaka. Diakon uśmiechnął się szeroko do chłopczyny.

-Widzicie! Dlatego uwielbiam dzieciaki. Żadnego lania wody. Żadnego srania w mewie jaja. Tylko czysta, bezkompromisowa prawda.

Wbił koniec puttera w pierś Doktorka i człowieczek poszarzał.

- Faktycznie wygląda jak gówno - rzekł oskarżycielsko Diakon. - I zalega mi w czaszce jak kawał zimnego gówna...

Właśnie w chwili, gdy Diakon się zastanawiał, czy nie odkręcić kurków z gazem i nie przedawkować Doktorkowi za jego usługi, głos zza pleców odwrócił jego uwagę.

- ...praszam, Diakon!

Księża stał w przejściu wyciętym niezgrabnie w grodzi.

-Co jest?

-Problem w zbiorniku. Może byś sprawdził.

Diakon wyłowił z kieszeni okularki pływackie. Wcześniej zaczernił lewe szkło, robiąc tymczasową opaskę na oko. Ale teraz, gdy Doktorek tak żałośnie zawiódł z dostarczeniem znośnej protezy, cholerne okularki będą musiały wystarczyć. Nasadził je na głowę, lewe szkło zasłoniło martwe oko, drugie przechodziło przez czoło.

Spojrzał w lusterko nad fotelem.

-Hm, niezły ze mnie przystojniak - przyznał. - Nowoczesny pirat całą gębą!

-Jedźmy - powiedział Księża.

Diakonomobil - jak jego właściciel lubił o nim mówić - był połączeniem sześciu różnych jachtów lądowych z tamtych cudownych starożytnych czasów. Zardzewiały, na powygniatanych felgach, z których dawno temu odpadły opony, z maską ozdobioną mnóstwem klaksonów, pługiem zwisającym na dziobie, diakonomobil był rydwanem godnym

boga.

Diakon zasiadł w przednim prawym fotelu.

- Zbiornik - powiedział do Dymiarza szofera. Dymiarze ustawili się za pojazdem i zaczęli pchać.

Szofer zwolnił sprzęgło, pojazd ze wstrząsem obudził się do życia, rzygnął dymem z rury wydechowej i rozpędzający dostali spazmatycznego kaszlu.

- I nie zawracaj sobie głowy trasą widokową - zarządził Diakon, gdy diakonomobil potoczył się korytarzem.

Ale każda trasa wewnątrz labiryntu “Deez” podsuwała godne uwagi widoki. Gdzieś tam skulony nad ogniem buchającym z beczki po soku pędym Dymiarz skończył zardzewiałą puszkę mielonki i rzucił ją na śmietnik. Natychmiast wyskoczyła gromada brudnych dzieciaków i zaczęła walkę, jak prawdziwe zwierzęta, od których nic ich zresztą nie różniło.

Dzieci... Diakon uśmiechnął się do siebie. Jakie one naturalne. Jakie czyste...

Niebawem minęli inną sekcję mrocznego statku. Diakon ujrzał w dole brygadę Dymiarzy wycinających w snopach iskier fragmenty stalowych ścian. Od czasu do czasu jakiś kawał spadał przez dziurę w podłodze. Łoskot pociągał za sobą wycia i protesty robotników z niższej kondygnacji. Oczywiście, były one ignorowane. Gdzieś tam w oddali błyskało światło. To migotały płomienie palników i jaśniała rozżarzona do białości płynna surówka, wylewana z przenośnych pieców w formy na łuski. Cienie wyskakiwały z czerni, tworząc mistyczną, ponurą scenerię przed dumnymi oczami Diakona... lub raczej okiem.

Mniej wyrafinowanemu obserwatorowi obszar pod pokładem “Deez” mógł się wydać strefą spustoszenia, w której żrące metal bakterie pochłaniały trzewia gnijącej bestii. Ale Diakon nawet w swoim najgorszym (lub najbardziej pragmatycznym) nastroju uważał tę pracę za zło konieczne. Amunicja była Dymiarzom niezbędna i jeśli trzeba przetopić ściany własnego domu, to niech tak będzie i niech Dostarczyciel nas strzeże.

Diakonomobil zatrzymał się przed drzwiami magazynu. Diakon czekał, aż Księga (zaliczający się do garstki mającej dostęp do ogromnej komnaty z dobrami) otworzy ciężkie stalowe drzwi. Następnie wódz, Księga i Skand weszli do środka. Szofer został na zewnątrz.

Przy ścianach, na półkach stały łupy z niezliczonych napadów Dymiarzy; pustoszące skrzynki z puszkami prehistorycznego jedzenia, dymnymi patykami i piwem (puszkowym lub butelkowym). Diakon wiedział, że w miarę znikania atoli możliwości uzupełnienia tego topniejącego zapasu stawały się mniejsze i rzadsze.

Odgłos kroków musiał zdradzić obecność wizytującej grupy, bo nagle z dołu przebił

się rozpaczliwy wrzask:

- Jest tam kto?! Był ktoś?! Zdejmijcie to! Hej, tam na górze...!

Diakon z lekkim uśmiechem ukląkł przy stalowej pokrywie pośrodku podłogi, odkręcił zawór w kształcie kurka i przesunął płytę, aby móc zajrzeć w mrok "domu" Dymiarza, który wykonywał najgorszą pracę na "Deez" chociaż nie musiał używać do niej rąk.

- Tak? - powiedział Diakon.

I mimo że odezwał się cicho, jego głos odbił się od stalowych ścian przepastnego pomieszczenia.

- Wasza Diakonowatość! Witaj! - zawołał samotny Dymiarz.

Dwadzieścia stóp niżej na powierzchni czarnej mazi pływał w małej gumowej łódce ludzki głębokociomierz. Do wysokości klatki piersiowej oślizgłe ciało pokrywała czern. Machał rękami jak rozbitek na tratwie usiłujący zwrócić uwagę samolotu.

-Co jest?

-Dzień dobry! A może to noc? Czy to noc, czy dzień, bądź pozdrowiony, panie!

Diakon był już znudzony.

-Pospiesz się. Jestem zajęty.

-Pomyślałem sobie, że powinieneś wiedzieć, że czarny płyn opadł do czterech stóp sześciu cali! - wrzasnął ludzki głębokociomierz głosem huczącym echem wśród stalowych ścian. - Dokładnie!

Diakon odsunął się od dziury i skinął na Skanda, który przytwierdził z powrotem płytę.

- Wasza Diakonowatość! - wołał ludzki głębokociomierz. - Czy nie dałoby się mnie zmienić...

Ale jego krzyk uciął zgrzyt dokręcanej pokrywy. Diakon wstał i spojrzał na Księgę z nie ukrywaną troską.

- Ile galonów zostało? Po rafinacji?

Księga wywrócił w górę oczy dokonując szybkich obliczeń. Spojrzał z niepokojem na Diakona i rzekł:

-Może trzy zbiorniki uzupełniające.

-Gdybyśmy mieli zbiornik uzupełniający - rzekł z obrzydzeniem Diakon.

-Święty Józio - powiedział Skand. - Czy to wszystko? Spalimy to w dwa księżycy...

-To się nie liczy - powiedział Diakon.

- Nie liczy się... - zaczął Skand. Diakon uciszył go uniesieniem dłoni.

- Liczy się tylko wytatuowana dziewczyna. Nie żałujcie soku pędnego na jej poszukiwanie. Nie obchodzi mnie, czy wyjdzie na to ostatnia kropla paliwa... tylko nie traćcie go na nic innego.

Skand kiwnął głową.

Diakon położył lewą rękę na ramieniu człowieka, który był mu prawą ręką.

- Mój przyjacielu, Suchy Łąd to matka wszystkich złóż. Pierwszy człowiek, który postawi na nim stopę, będzie królem. Kojarzysz? Nie kapitanem jakiegoś umierającego statku. Królem!

Następnym przystankiem diakonomobilu była sala kinowa. Tam wódz nagradzał swoich wiernych Dymiarzy kilkoma taśmami. Te zabytki z Czasów Łądu były jeszcze cenniejsze niż uzbierane z niezliczonych napadów czasopisma. Stał w loży, z której wygłaszał przemówienia, ogarniając wzrokiem setki swoich ludzi. Oglądali w ciemności porysowaną taśmę filmu wojennego, w którym główną rolę grał legendarny przywódca z Czasów Łądu - John Wayne.

Bojowe maszyny Johna Wayne'a i jego Dymiarzy latały w powietrzu zwalczając azjatyckich wrogów, którzy w płomieniach spadali z nieba. Dymiarze Diakona witali to dzikim aplauzem. Jak chór wariatów Wykrzykiwali ekranowi do wtóru każdy wbity dawno temu w głowy dialog.

Skand posłał po gwardię Diakona, dwudziestu najlepszych i najbardziej rozgarniętych Dymiarzy z całej armii. Oczywiście, niewiele to znaczyło. Diakonowi przewinęło się przez myśl starożytne przysłowie z Czasów Łądu: "W królestwie ślepców jednooki królem".

- Gdyby nie ja - szepnął Skandowi - zapanowałby tu absolutny chaos. Jakież wiadomości z naszych maszyn zwiadowczych?

Główny pilot, Dymiarz w zniszczonej, zżartej przez mole pilotce, wystąpił naprzód i rzekł:

-Jeszcze nic.

-Rekiny szpiedzy wysłani? Skand kiwnął głową.

- Dobrze - powiedział Diakon. - W porządku. Wyłączyć to.

Wkrótce światło projektora zม့ntniało i zgasło, dźwięk spowolniał i zamilkł. Tłum Dymiarzy wybuchł protestami.

Jednakże gniewne krzyki umilkły na trzask przełączników dwóch ogromnych lamp łukowych, które skąpały swym białym blaskiem Diakona.

Uciszona armia Dymiarzy zwróciła się ku swojemu przywódcy. Wszystkie oczy spoczęły na balkonie, z którego Diakon w przeszłości tylekrotnie ich oświecał.

- Niech usłyszę świadectwo! - rozległ się jego głos. - Czy płyniemy do Suchego Łądu czy nie?

Tłum znowu zawrzał, ale tym razem z aprobatą, gwizdząc i wyjąc na znak potwierdzenia.

- Niech usłyszę świadectwo! - zawołał Diakon, a jego głos rozszedł się po całej sali. - Co zrobimy, kiedy się tam dostaniemy?

I Dymiarze w niemal idealnym unisono odpowiedzieli litanią:

-Będziemy orać i malować... Grabić i ograbiać...

-Minować i dekomponować! - zawołał Diakon machając pięścią w górze. - Nie zapomnijcie o szczycie naszych ambicji, starożytnym symbolu potęgi Ziemi! Jakie pragnienie nadaje blask naszym gałom? Dotknąć Suchego Łądu!

Pociągnął za sznur i gwardia Dymiarzy stanęła z boku. Rozsunęła się kurtyna, odsłaniając wielką mapę (oznaczoną napisem "Ujęcie architektoniczne") starożytnego pola golfowego na osiemnaście dołków. Rozciągało się na falujących zielonych wzgórkach.

Dymiarze oszaleli. Wznosili niemal orgiastyczne wrzaski, dudniące w sali z metalowych płyt.

- Osiemnaście dołków - przypomniał im Diakon (a wielokrotnie już wygłaszał to przemówienie) używając swojego puttera jako wskaźnika - światowy poziom... piąty dołek pięć a par, sześćset trzydzieści jardów, dwa doglegs.

Dymiarze wiwatowali.

-Ale nie mamy na to żadnych szans, dopóki nie znajdziemy człowieka - ryby, który ma tę małą... zgadza się?

-Zgadza!!! - odpowiedział mu potężny chór.

-Ona jest drogowskazem do raj! - krzyknął. - Znaleźć ją to Robota Numer Jeden. I pierwszy gość, który ich zauważy, dostaje to...

Z kieszeni wyjął i uniósł wysoko przedmiot równie rzadki, jak czasopismo lub taśma filmowa: kasetę wideo.

- "Operacja «Pustynna Burza», - ogłosił z uczuciem. A następnie podniósł głos i zahuczał: - Wojna powietrzna!

Tłum zaryczał i wybiegł z sali szukać swoich przywódców niższych szczebli, aby zgłosić się do służby patrolowej. Nawet oczy gwardii Diakona zalśniły na myśl o tej cennej nagrodzie. Główny pilot popędził do swojej latającej maszyny.

Diakon zauważył z gorzkim rozbawieniem, że jedyne wideo dostępne na statku też jest wspólną własnością i bez względu na to, kto zdobędzie taśmę, i tak w końcu podzieli się

nią z resztą.

Ale nauczył się akceptować to, że jego ludzie są kretydami. To wcale nie było takie złe.

Czy mając rozum byliby równie lojalni?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Trimaran przybrał teraz wygląd łodzi żaglowej, przynajmniej na ile to było możliwe. Splecione liny przebiegały przez krążki, wystrzępione żagle napięły się mocno.

Żeglarz zajął się reperacją urządzenia do recyklingu hydro. Właśnie kleił rurkę, gdy kobieta podeszła po pokładzie z sieci. Milczała, ale okazywała obrzydzenie. W rękach niosła dwa słoje żółtego płynu. Nawet z okładem na głowie (w miejscu, gdzie została rąbnięta pagajem) i dwoma słojami moczu prezentowała się niezwykle urodziwie.

Uwolnił ją od ciężaru, wlał do lejka zawartość obu słoików. Potem wlał własny słoik i włączył pompę. Urządzenie nadal przeciekało, ale już nie tak bardzo, i po kilku chwilach strumyczek prawie czystego hydro polał się z kurka do szklanego pucharu.

-Czemu nie używasz hydro z morza? - spytała. Na pełnych ustach igrał grymas obrzydzenia.

-Sól szkodzi filtrom - powiedział.

Gdy ostatnia kropla spadła, podniósł puchar do słońca. Płyn miał odpowiedni kolor - lub wystarczająco odpowiedni. Pociągnął łyk.

Nieźle.

Wypił jeszcze, aż puchar opróżnił się do połowy.

- Mogę trochę dostać? - spytała.

-Sądziłem, że na myśl o recyklingowanej urynie chce ci się rzygać.

-To nie dla mnie. To dla dziewczynki.

Nabrał kolejny haust, obrócił go w ustach i wypluł na ziemię wokół krzaka pomidora.

- Wiesz, część z tego ja dałam - powiedziała z oburzeniem.

Wręczył jej puchar w resztkami hydro i odprowadził ją wzrokiem. Podeszła przez sieć do masztu, pod którym siedziała Enola. Kobieta uklęknęła przy dziecku i dopilnowała, aby wypilo całe hydro.

Przynajmniej dotrzymała słowa - pomyślał Żeglarz. Sama nie wzięła ani kropli...

Słowa dziewczynki były ciche i przeznaczone wyłącznie dla uszu Helen, ale usłyszał jej pytanie:

- Czy on zabiera nas do Suchego Łądu?

I usłyszał, jak kobieta odpowiedziała trochę głośniejszym głosem:

- Taaa. Zabiera.

Założył zerwaną linę trałową na rufę, sprawdził zębami moc włókna. Będzie trzymało.



Potem usiadł buchtując, zwijając regularnie, linę. Wyczuł, że ktoś się zbliża.

Dziewczynka szła powoli po sprężystym pokładzie. Na jej twarzyczce był wyraz powagi. Warkoczyki kiwały się na wietrze, wiatr powiewał tuniką.

Wreszcie zatrzymała się blisko Żeglarza i spojrzała na niego.

Odpowiedział jej spojrzeniem. Nie przestawał buchtować liny.

Po chwili dziewczynka odezwała się szeptem ledwo słyszalnym na wietrze:

- Dziękuję, że nas nie zabiłeś. Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Nie mogłaby bardziej go zaskoczyć - lub wyprowadzić z równowagi - gdyby go spoliczkowała. Zerwał się na równe nogi i odepchnął ją na bok. Przewróciła się na wznak. Upadek nie był bolesny, podskoczyła na siatce.

Chociaż nie skrzywdził dziewczynki i nie przewrócił jej celowo, ból smagnął go jak płomień.

Szybko odsunął się od dziecka, od niego i od kobiety. Na najodleglejszy skrawek łodzi, byle dalej od nich. Usłyszał, jak kobieta radziła dziewczynce:

- Nie zbliżaj się do niego.

Mimo wyraźnej wrogości Helen starała się nie rozdrażniać Żeglarza. Gdy tylko było to możliwe, pomagała mu, ciężko pracowała, usilnie starając się zasłużyć na pobyt swój i dziecka na pokładzie. Pewnego razu, zsuwając się z masztu, gdzie wysoko dokonywał naprawy, Żeglarz zatrzymał się obserwując ją, jak siedziała naszywając łatę na rezerwowym żaglu. Miała wdzięk i łagodne kobiece obejście, które sprawiło, że czuł jakiś niepokój gdzieś głęboko w sobie - i nie tylko w lędźwiach.

Przylapała go na tym przyglądaniu się i kolejny raz poczuł zażenowanie. Na dole odwrócił się szybko i podszedł do konsoli sterowniczej sprawdzić kurs.

Schylone nisko dziecko rozsiadło mu się na drodze. Było czymś zajęte.

-Przesuń się - powiedział.

-Enola! - zawołała kobieta.

Gestem wskazywała dziewczynce, aby zeszła mu z drogi. Odskoczyła w bok na sprężynującej sieci. Zauważył przy tym dziwne znaki na jej plecach. Nie po raz pierwszy.

I zastanowił się, skąd pochodzą.

Ale pytając zwiększyłby zażyłość z tymi dwiema, na czym wcale mu nie zależało. Nigdy poprzednio nie musiał dzielić swojej łodzi z kimś innym i ten ludzki balast doprowadzał go do szaleństwa.

Zasiadł przy konsolce, wyjął teleskop z futerału i zaczął z wolna kontrolować horyzont. Nagle coś przesłoniło mu obraz. Opuścił przyrząd i ujrzał Enolę.

- Na miłość Posejdona! - zaklął. - Wlazłaś mi w pole widzenia!!

- Enola! - zawołała kobieta. - Chodź tutaj!! Dziecko przynajmniej nie ociągało się z wypełnianiem rozkazów.

Ale gdy biegło, zauważył, że ściska coś w ręce - jedną z jego kredek. Czy szperało w jego rzeczach? Z grymasem irytacji na twarzy odwrócił się do kobiety chcąc wylać swoje żale, ale zanim zdążył się odezwać, zauważył coś innego.

Rysunki! Na samym pokładzie! Rozbuchane wizerunki, naszkicowane nie łatwo zmywalnym węglem drzewnym, ale kredkami... Dymiarze przeszywani strzałami. Atolczycy ranni w bitwie...

- Hej! - wrzasnął.

Dziewczynka bazgrała teraz kolejne wizerunki na środkowym kadłubie! Było ich dziesiątki! Niech to szlag... Podeszedł do niej.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Nie spojrzała na niego. Wzruszyła lekko ramionami.

- Ozdabiam twoją łódź. Jest brzydka.

Poderwał ją do góry - mało nie wyleciała mu z rąk, tak była lekka, ważyła tyle co nic - i odsunął szorstko na bok. Wyrwał kredkę z ręki dziecka. Znalazł szmatę, ukląkł. Ścierał rysunki i ścierał.

Nie schodziły.

Wstał, zwinął szmatę i cisnął na pokład. Pogroził dziecku palcem.

- Nie dotykaj nic mojego!

Spojrzała na niego bezbrinnie. Jej oczy były wielkie i błękitne.

- Narysowałam to dla ciebie. Pochylił się i pogroził jej pięścią.

- Nie będziesz rysować na niczym, co jest moje. Zrozumiano?

Nie okazywała żadnych uczuć, a już na pewno strachu.

Wzburzony potrząsnął głową i wtedy w oko wpadł mu jeszcze jeden widok - najbliższy żagiel pokryły kolorowe malunki. Tak wysoko, jak mogła sięgnąć ręka dziecka.

Złapał Enolę za ramię. Nie mocno - tylko po to, by zwrócić jej uwagę.

I wtedy, aby przełamać dziecięcy spokój, rzekł chrapliwie:

-To moja łódź. Jest tu tak, jak mi się podoba. Gdybym chciał namalować obrazki na moich rzeczach, zrobiłbym to sam.

-Może nie malujesz tak dobrze jak ja.

-Zabierasz miejsce i przez ciebie płynę wolniej! - warknął na dziecko.

- To tylko mała dziewczynka - powiedziała kobieta. Nie zauważył, jak podeszła. To

było jak objawienie.

Anioł stróż nagle wyrósł nad dzieckiem.

-To moja łódź - rzekł.

-Ona nie zna zasad - odparła Helen.

-Chcesz zostać?

Trzymając dłoń na ramieniu dziewczynki, kobieta przełknęła z trudem ślinę i skinęła głową.

- To naucz ją - rzekł i podszedł do steru.

I kolejny raz usłyszał kobietę ostrzegającą dziecko:

- Trzymaj się od niego z daleka.

Ale pięć minut później dziewczynka znowu stała przed nim. Jej bardziej - niebieskie - niż - niebo oczy wpatrywały się weń uważnie z twarzy nieruchomej jak maska.

-Wiesz co? - spytała. Nie zareagował.

-Nie jesteś twardy - powiedziała. Nie popatrzył na nią.

-Ilu ludzi zabiłeś? - spytała. Nie odpowiedział.

-Dziesięciu?

Nie odpowiedział.

-Dwudziestu?

-Wiesz co?

Nie zareagowała.

-Mówisz za dużo - oznajmił.

-Mówię za dużo, bo ty mówisz za mało... - powiedziała. - Ilu?

-Co "ilu"?

-Ilu zabiłeś?

-Licząc dzieci?

Przyglądała mu się uważnie, starając się odgadnąć, czy to żart, czy groźba.

- Nie boję się ciebie... - rzekła po chwili. - Powiedziałam Helen, że nie byłbyś taki brzydki, gdybyś ściął trochę włosy.

Ta uwaga przelała czarę. Złapał ją jak worek z połowem.

- Bez przerwy trajkoczesz. Kiedy się pętasz pod nogami, jesteś gorsza niż sztorm. - To mówiąc wyrzucił osłupiałe dziecko za burtę.

Plusk zwrócił uwagę kobiety. Ujrzała szamoczące się w wodzie dziecko.

- Ty draniu! - zawyła. - Ona nie umie pływać! I skoczyła za nią do wody.

Niech to kraby porwą - pomyślał. Obie w morzu, to ci dopiero!

Naturalnie zostawienie ich tam rozwiązałyby wiele problemów...

Ale zamiast wykorzystać sytuację, poszedł na rufę, kopnął kabestan fału grota, zrzucił żagiel i zawrócił, aby je wyłowić. Kobieta pływała całkiem nieźle - holowała dziecko - i musiał podziwiać jej odwagę, wskoczyła przecież do wody nie myśląc o własnym bezpieczeństwie.

Trzask zwrócił jego uwagę. Podniósł wzrok ponad płynącą kobietę, rozejrzał się po horyzoncie i usłyszał kolejny trzask, jaki towarzyszy strzałowi w gaźnik. Zamierzał pomóc kobiecie wejść do łodzi, ale ona już wpychała Enolę na boczny kadłub i dźwigała się sama z wody, otrząsając się i sycząc jak wściekły kot.

- Ty sukinsynu!

Nie patrzył na nią, nadal obserwował horyzont.

- Przysięgam, że jeśli tkniesz to dziecko, choćby palcem, to kiedy zaśniesz tej nocy, już się więcej nie obudzisz... - mówiła, ale przerwała czując, że Żeglarz jest czymś zaalarmowany. Przemknął pod bomem i ogarnął wzrokiem horyzont z drugiej strony. Żadnej łodzi...

Ale słyszał buczenie, jakieś mechaniczne buczenie; zapowiadało łodzie wyścigowe i skutery wodne, których używali...

- Dymiarze? - spytała Helen. Skierował wzrok w niebo.

Z jednym silnikiem nieczynnym, podskakując nad wodą i plując dymem tak strasznie, że wyglądało to raczej na ostatnie chwile przed katastrofą niż normalny lot, pojawił się zniszczony wodnopłat. Zrobił beczkę i zaczął krążyć nad trimaranem.

- Możemy go prześcignąć? - spytała Helen.

-Nie ze zrzucenymi żaglami - odparł Żeglarz. - Może nie otworzą ognia. Oni nas tylko śledzą...

-Czy to Dymiarze?

Samolot wykonał rundę, po czym opadł w kierunku dziobu. Gdy ich mijał, zobaczyli strzelca ogonowego w goglach. Celował w ich kierunku z groteskowo wyglądającego karabinu maszynowego. Broń zaszczekała i kule pomknęły nad wodą szarpiąc zewnętrzny kadłub.

Cała trójka pobiegła do głównego kadłuba, szukając schronienia w kabinie. Ryk silnika powiedział im, że wodnopłat znów nadlatuje. Dziewczynka kucnęła za masztem, tam szukając osłony. Kobieta była tuż przy niej, ale Żeglarz zatrzymał się, obejrzał i szybko wrócił na tył łodzi, wskakując do luku rufowego.

Przez łoskot silnika wodnopłatu przebił się głos kobiety:

- Hej!

Było w nim oskarżenie o tchórzostwo, ale Żeglarz nie dbał o to. Zerwał z grodzi dwułożyskową kuszę. Wyrwał nóż z pochwy, odciął linę od beltów i wyskoczył na pokład.

Karabin maszynowy zamilkł, chociaż wodnopłat zniżał się atakując. Żeglarz dojrzał rozgorączkowaną twarz strzelca mocującego się z zablokowaną lufą. To może im zapewnić trochę czasu...

Ale właśnie gdy się zastanawiał, jak najlepiej go wykorzystać, zobaczył Helen zgarbioną nad działkiem harpun - niczym na dziobie. Zadarła lufę w górę i obracała działko celując w krążący wodnopłat.

Jej twarz była napięta i zdecydowana. Podziwiał jej odwagę, mimo że wiedział, jaką katastrofą ona grozi.

- Niiieeeeeee...! - wrzasnął.

Albo go nie słyszała, albo nie dbała o jego zdanie, bo wystrzeliła i wielki harpun wzleciał w niebo ciągnąc linę. I właśnie gdy strzelec obracał swój groźny, już odblokowany karabin, celując z powrotem w trimaran, harpun przebił powłokę wodnopłatu.

Żeglarz prawie podziwiał jej celność - lub szczęście - gdy ujrzał, jak strzelec krwawiąc osuwa na już bezużyteczny karabin. Kobieta nie tylko dosięgła harpunem latającą maszynę, przy okazji zabiła wroga. Pilot oglądał się gorączkowo na swojego nieżywego strzelca... i uszkodzony wodnopłat.

Lecz maszyna nie tylko była uszkodzona, została uwięziona na harpunie jak latający wieloryb.

Nieodwołalnie połączona z trimaranem pępowiną.

W miarę jak wodnopłat się oddalał, lina napinała się, aż wreszcie naprężyła się całkowicie. Gdy kobieta zdała sobie sprawę, co uczyniła, na jej twarzy pojawiła się groza.

Z nożem w dłoni Żeglarz pobiegł na dziób, podczas gdy łódź skoczyła za wodnopłatem. Walczyła z liną trzymającą ją na uwięzi. Pokład wokół działka zaczął jęczeć i skarżyć się jak ranna bestia. Helen cofnęła się i stała osłaniając Enolę. Żeglarz minął je pędem. Już dotykał nożem liny...

...gdy całe działko i łożo zostały wyrwane z pokładu i uleciały mu nad głową, sam zaś Żeglarz wylądował na plecach tłukąc się solidnie.

Jak ryba, która złapała przynętę z powietrza, działko i łożo uniosły się w górę drąc po drodze żagle, rwąc liny, żeby wreszcie zaplątać się w salingi, rozporcki umieszczone wysoko na maszcie olinowanie równoległe do pokładu.

I tam utknęło.

Lina owinęła się wokół masztu - zauważył ponuro Żeglarz podnosząc się na nogi. Wodnopłat robił kręgi w górze... i lina okręcała się kolejnymi zawojami wokół masztu!

Obdarzył kobietę szyderczym, morderczym spojrzeniem i podbiegł do podstawy masztu, pociągnął za krótki uchwyt linowy prowadzący do przeciwwagi, ale zaplątała się w linę harpuna.

- Niech to kraby porwą - zamruczał.

Dwułożyskowa kusza miała rzemienny pas, więc zarzucił ją na ramię, wsadził nóż w zęby i zaczął się wspinać po kołyszącym się maszcie.

Im wyżej wchodził, tym bardziej mdlące były przechyły masztu, gdy wodnopłat kiwał łodzią z jednej strony na drugą. Lina masakrowała żagiel, ale Żeglarz zbliżał się już do salingu i mógł dosięgnąć wibrującej liny harpunu i uwolnić trimaran...

Kula rozerwała żagiel tuż obok. Nie została wystrzelona z karabinu maszynowego, ale z czegoś o mniejszym kalibrze... z pistoletu! Czy cholerny pilot przymierzał się do niego z jakąś dziecinną pukawką? Złapał za linę, odsunął się od masztu i zerwał kuszę z ramienia. Wycelował w wodnopłat i posłał sukinsynowi bełt...

Usłyszał, jak stuknął głucho; prawdopodobnie trafił w kadłub, nie w pilota, ale może to odciągnie uwagę faceta na dość długo, aby mógł swobodnie odciąć linę harpuna i uwolnić ich obu. Cztery kule pistoletowe przeszły pobliski fragment żagla. Gdy Żeglarz robił przed nimi uniki, nóż wysliznął mu się z ręki i młynkując w powietrzu upadł z brzękiem na pokład.

Cholera!

Nadal miał jeden bełt w kuszy. Wychylił się, wycelował starannie w zbliżającą się maszynę.

Widział, jak pilot wychyla się z kokpitu z pistoletem w dłoni. Żeglarz wycelował...

Pilot strzelił pierwszy. Ale nie mierzył w Żeglarza. Raczej w linę harpuna wiążącą wodnopłat z łodzią, bo maszyna Dymiarza uwolniała się i resztki liny frunęły za nią.

Sprężynujący maszt wyrzucił Żeglarza w powietrze - do tyłu przez porwany żagiel. Chlupnął do wody, jakby był silnikiem spadającym z latającej maszyny.

Znajdował się pod wodą, gdy działko i łoże spadły przebijając pokład. Rozległ się łomot, zarazem wzmocniony i przygłuszony, ale Żeglarz dopiero później zdał sobie sprawę, skąd pochodził. Gdy wyskoczył na powierzchnię, wrzał takim gniewem, że cud, iż woda wokół niego się nie zagotowała.

Szybko podpłynął do łodzi i wdrapał się na pokład.

Rozejrzał się. Zobaczył piekielny chaos.

Wbił wzrok w kobietę. Stała bezradnie, dziecko chowało się za nią.

- Przepraszam - powiedziała. - Chciałam tylko...

Jego wzrok odebrał jej mowę.

Podniósł nóż z pokładu i podszedł do niej. Kobiecie zapało dech w piersi, gdy owinał wokół dłoni jej długie włosy, które przewiązane opadały na plecy. Gdy spuścił w dół ostrze, dziecko wrzasnęło...

I Żeglarz cisnął na pokład sploty włosów.

- Następnym razem, kiedy dotkniesz czegoś na mojej łodzi, to odetnę ci coś innego - powiedział.

Kobieta opadła na pokład wyczerpana. Z trudem łąpała powietrze, ale nie płakała.

Dziecko z drżącą dolną wargą wystąpiło naprzód i zablokowało mu drogę.

- Powiedziała, że przeprasza.

Obszedł je i poszukał jakiegoś kąta na łodzi, w którym mógłby być przez chwilę sam, zanim wróci, aby naprawić swój dom.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przestronne kwatery Diakona na “Deez” kiedyś były salą konferencyjną; pomieszczenia kapitańskie nie miały odpowiednich rozmiarów, aby pomieścić tak wielkiego człowieka jak Diakon. Rzecz nie w tym, że imponował fizycznymi rozmiarami. Jego osobowość i apetyty były potężne.

Sam udekorował apartamenty wykorzystując zdobycze z przeróżnych podbojów. Ten wielki kryształowy świecznik kiedyś dawno, dawno temu, za Czasów Łądu, rozjaśniał bogatą salę balową - tak przynajmniej powiedziała Starszyzna, która dała mu go w prezencie jako rodzaj należnej ofiary, za oszczędzenie jej atolu (który nazywał się, jeśli tylko pamięć go nie zawodzi, Raj).

Diakon - oburzony na samą myśl o tym, że jeden kapłan chce przekupić drugiego - oczywiście polecił Skandowi wziąć Starszyznę na powolne tortury, aby wycisnąć informacje o lokalizacji ukrytych skarbów atolu. Nie znaleziono nic specjalnej wartości i niebawem Starszyznę - i resztę mieszkańców atolu - wysłano na poszukiwania innego raju, używając do tego celu broni palnej, białej i ognia.

Inne skarby splądrowane z przeróżnych atoli zapewniały kwaterze Diakona wygląd prawdziwego pałacu: pomarańczowy chodnik, którego żywe kolory przywoływały na myśl blask dni, gdy świat nie był pogrążony w odcieniach niebieskości i szarości; purpurowe okrągłe ławki z plastiku - inna kolorowa pamiątka z lepszych czasów i wyższej kultury; dzieła sztuki, w tym jego własne wyraziste malowidło na zamszu, przedstawiające kultową postać z Czasów Łądu, Elvisa, i bardziej prozaiczny, chociaż z drugiej strony spokojniejszy portret jakiejś anonimowej starożytnej osobistości, o której mówiło się, że pozowała pewnemu artyście imieniem Rembrandt.

Ale Diakon chętnie zamieniłby go na Johna Wayne'a na czarnym zamszu.

Rozmiary pomieszczenia pozwalały na urządzenie w nim putting rangę, toru do ćwiczeń w golfa. Jedynie wielka szkoda, że pomarańczowy chodnik nie był zielony.

Diakon w przeciwsłonecznych szklach na nosie pochylił się nad putterem cyzelując uderzenie. Przeklęte łożysko kulkowe wypadło i zadźwięczało o szkło okularu.

-Do cholery - zamruczał, wsunął palce pod okulary i wcisnął protezę na miejsce, a potem łagodnie, wprawnym ruchem wbił piłkę do dołka.

-Dobra robota - skomentował Skand.

Diakon, pusząc się z dumy, wrzucił puttera do torby na kijki i powiedział:



- I nawet nie używałem dobrego oka.

Skand czekał cierpliwie od jakiegoś czasu. Teraz zaryzykował przerwę w grze.

- Powiedziałaś, żeby sprowadzić pilota, kiedy wróci - rzekł.

- Wrócił? Dobrze.

Z wyrazem napięcia na twarzy Skand zrobił krok bliżej.

- Zauważył ich. Wywiązała się potyczka...

I niebawem pilot ściskając zniszczoną pilotkę w dłoniach, wyczerpany fizycznie i emocjonalnie, stanął zgarbiony przed swoim panem.

Diakon po ojcowsku położył dłoń na jego ramieniu.

- Powiedz mi, co się stało.

- Oni... oni zabili Eda... - wydusił przez łyżki pilot.

- Tragiczne. Jakże tragiczne. A dziecko? Czy człowiek - ryba ma wytatuowaną dziewczynkę?

Pilot kiwnął głową.

- Taaa, i jakąś dziwkę z atolu. To ona zastrzeliła Eda. Harpunem!

- Wielu jest złych ludzi w Wodnym Świecie - zauważył Diakon, smutno potrząsając głową. Objął pilota pomagając mu ustać na nogach i potrząsnął nim po męsku. - Ale obaj wiemy, że Ed poszedł tam, gdzie spotkała go hojna nagroda. Więc tak... w jakim kierunku popłynęli?

Skand odpowiedział na to pytanie:

- Na zachodnio - południowy zachód.

Diakon pociągnął ze sobą człapiącego pilota i podszedł do swojego zastępcy przy stole konferencyjnym, na którym rozłożono starożytne mapy morskie. Skand obliczał na jednej z nich prędkość i odległość.

- Pokaż - powiedział Diakon.

Pilot skinął posępnie głową i wskazał punkt na mapie.

- To było tu.

- Dobrze. Teraz odpocznij trochę.

I popchnął pilota, kiwnięciem głowy rozkazując strażnikowi, by zabrał mu sprzed oczu tę żalną postać.

- Otóż mnie się wydaje, że jeśli wyruszymy teraz, to możemy go dopaść mniej więcej...

- powiedział Skand stukając palcem w mapę - ...tu. Chyba że zmienił kurs...

- Niepodobna - powiedział Diakon.

- To chytra sztuka.

Diakon pokiwał głową z dostojnością.

- Och, tak, jest przebiegły ten nasz demon, ten Ichthyus. Jeśli wie, że został zauważony, to spodziewa się, że my się spodziewamy, że zmieni kurs.

Uśmiech powoli zagościł na okrutnej, przystojnej twarzy Skanda.

- I dlatego go utrzyma.

- Właśnie - powiedział Diakon. - Więc całe pytanie sprowadza się do jednego: dokąd płynie?

Skand zwęził oczy.

- I czy on wie, jak wartościowe jest jego cargo? - podsunął następne pytanie Diakon.

Strażnicy Dymiarze rozstawieni pod ścianami nie byli w stanie swoimi niepozornymi umysłami przeniknąć głębi analizy Diakona. Ale Skand dał sobie radę.

-Suchy Łąd? - szepnął.

-Suchy Łąd - powiedział Diakon. - Ratunek. Miejsce do życia!

Diakon pochylił się nad stołem. Oczy mu płonęły. Stuknął w punkt na mapie.

-Powiedziałbym, że płynie tam... I stuknął w inne miejsce.

-Co oznacza, że zgarniemy go tu... - zakończył. I dwaj mężczyźni wymienili uśmiechy.

Tuż nad ramieniem Skanda Elvis też się uśmiechnął.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Z poszarpanymi żaglami trimaran dryfował powoli, popychany powiewem z południowego zachodu. Żeglarz, który dokonał wszystkich możliwych napraw wykorzystując tę odrobinę materiału, jaką dysponował, zerwał pomidora z marnego, ale owocującego krzaka.

Minął kobietę i dziecko siedzące na pokładzie. Wzdrygnęły się przerażone. Kobiety! Co on im takiego zrobił?

Na małym drewnianym pieńku, który często służył mu jako talerz, pociął pomidorka na ćwiartki. Użył do tego noża ostrego jak brzytwa, ale trochę soku ściekło na drewno.

Zjadł ćwiartki powoli, rozkoszując się mięszem, a potem zlizął sok z pieńka. Ścierał sok z twarzy i szykował się oblizać rękę, gdy zauważył punkt na horyzoncie.

Przy konsoli sterowniczej wyjął teleskop i spojrzął: trawler, mniejszy niż jego, podniszczony, ale sprawny, sterowany przez parszywego brodatego włóczęgę, który machał do niego i uśmiechał się wskazując w górę...

... na zieloną chorągiewkę powiewającą na szczycie jego masztu.

-Kto to?

Kobieta nagle wyrosła u jego boku.

-Jakiś włóczęga - powiedział.

- Czy ta chorągiewka nie znaczy, że chce pohandlować?

-Tak.

-Nie zatrzymamy się?

-Nie. - Schował teleskop do futerału. Uśmiechnęła się do niego wymuszenie.

- Myślałam, że wy, włóczędzy, wszyscy musicie się zatrzymać, kiedy się spotykacie.

Nie tak każe wasz kodeks?

Przeszedł obok niej.

- Może ma żywność - odezwała się zza jego pleców. - Wiesz, dziecko różni się od ciebie. Musi jeść codziennie...

Spojrzął na swoją żalosną łódź i zastanowił się, czy postój na handel z takim włóczęgą wart jest ryzyka. Po wszystkim, co biedny zniszczony trimaran przeszedł, czym jego kapitan mógłby handlować?

Ona znów się odezwała:

-Może nie spotkamy innej łodzi przez wiele dni... Odwrócił się, spojrzął na nią

wściekle i powiedział:

-Siadaj i zamknij się. Tak też uczyniła.

Wkrótce Żeglarz mocnym węzłem mocował linę cumowniczą do relingu trimaranu, w miejscu, gdzie dotykał łodzi włóczęgi.

Tamten wszedł na pokład trimaranu, ale cały czas trzymał się blisko własnej łodzi.

Najpierw wymiana grzeczności.

-Miło wpaść na kogoś, kto nadal pilnuje zasad - powiedział włóczęga i szeroki uśmiech rozjaśnił zarośniętą twarz. - W dzisiejszych czasach znajdziesz niewielu takich, którzy szanują kodeks.

-Zwijaj się - powiedział Żeglarz. - Jaki interes masz na myśli?

-A jaki by? - Wzruszył ramionami włóczęga. - Wymianę.

-Masz jakiś żagiel?

Włóczęga ocenił wzrokiem trimaran i prychnął z pogardą. Potrząsnął głową wykpiwając ten pomysł.

-Nie masz dosyć, żeby mnie skusić.

-Miałem dosyć, żeby ci się chciało wciągnąć chorągiewkę.

-Tylko trzymam się kodeksu... morską uprzejmość.

-To był twój pomysł - rzekł zimno Żeglarz. - Rób swoje.

Zza jego pleców znów rozległ się natrętny głos:

- A co z jedzeniem?

Popatrzył z wściekłością na kobietę. Czy nie zna swojego miejsca podczas wymiany? Ale nie patrzyła na niego. Uśmiechała się serdecznie do włóczęgi.

- Z jedzeniem? - powtórzył włóczęga. - Wspaniały pomysł. Nie jadłem od dwóch dni. Co masz?

Uśmiech znikł z jej twarzy; wyraźnie nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

Za to uśmiech włóczęgi wyraźnie się powiększył, gdy ten ujrzał w pełni jej kobiece kształty. Wybałuszał na nią oczy.

- Jesteś kucharką? A może kelnerką? "Kelnerka" zawsze była moim ulubionym daniem...

Zadrzała, gdy włóczęga ryknął śmiechem z własnego marnego żartu. Na jej twarzy śmiech ustąpił miejsca pogardzie. Objęła opiekuńczo Enolę, która zmieszana przytuliła się do kobiety, nie wiedząc dokładnie, co się wyprawia.

Włóczęga rozglądał się po sklepie - to jest po trimaranie.

- Jak powiedziałeś - przyznał Żeglarz. - Nie mam dużo.

Ale spojrzenie włóczęgi znowu spoczęło na kobiecie. Zmierzył ją łakomym wzrokiem od stóp do głów.

- Po namyśle tobym się chyba z tobą nie zgodził. Kobieta cofnęła się kilka kroków, pociągając za sobą dziecko.

Włóczęga wskazał na krzak pomidora.

- A może zaczęlibyśmy od tego sadu?

Niebawem przystąpiono do handlu. Najpierw Żeglarz ceremonialnie zaproponował szklanekę hydro i włóczęga zrewanżował się tym samym ze swojego zapasu. Po targach pomidor i dwa wsteczne lusterka leżały u stóp włóczęgi, a przed Żeglarzem leżał zwój liny.

Wreszcie włóczęga przeszedł do najważniejszej dla siebie sprawy.

-Masz tu całkiem przyjemny haremik - powiedział. Żeglarz nic na to nie odpowiedział.

-Co chcesz za kobiety? - spytał tamten.

-Nie jesteśmy na sprzedaż - prawie krzyknęła kobieta przytulając dziecko. Ale jej podbródek trochę drżał.

-Ja nie kupuję, kochana - rzekł włóczęga. - Ja handluję... a wszystko jest na wymianę w Wodnym Świecie.

-Jesteśmy kwita - rzekł Żeglarz.

-To para? - spytał włóczęga ignorując to oświadczenie. - Czy można kupować je osobno?

-Musimy dalej płynąć - odparł Żeglarz. - Dzięki za handel...

-A co ty na wynajem? Żeglarz zastanowił się nad tym.

-Masz żagiel albo niepotrzebną żywicę?

Kobieta z przytulonym do niej dzieckiem znów cofnęła się o krok.

- Mówiłem ci już, nie mam nic takiego na zbyciu - powiedział włóczęga. - I nie widziałem nic takiego wystawionego na handel od wielu księżyców.

- To nie mamy o czym gadać. Oczy włóczęgi zaśniły.

- Ale mam coś innego, co zmieni twoje zdanie... coś, czego sobie nie odmówisz...

Włóczęga sięgnął za swoją zniszczoną koszulę i wyciągnął małą zapieczętowaną butelkę. W środku było kilka stron starożytnego czasopisma - zarówno pismo, jak i zdjęcia. "Uchwyty i garnki" - głosił nagłówek.

Żeglarz poczuł mrowienie skóry na czaszce.

-Od wygnańców Atolczyków - powiedział włóczęga. - Oszczędności całego życia jednego klanu. Zachowałem to... na specjalny handel...

-Nie rób tego - powiedziała kobieta. To nie było żądanie, to było błaganie.

Włóczęga powiedział szyderczo:

- Może mówię nie z tą osobą, co trzeba. Może to jej łódź...

Żeglarz wyciągnął dłoń i włóczęga z błyskiem w oczach i ustami pełnymi śliny wręczył mu butelkę. Kartki w środku kusiły.

-Pół godziny - powiedział Żeglarz.

-Nie - jęknęła Helen.

-Pół godziny? - wykrzywił się włóczęga i zabrał z powrotem butelkę. - Tu są dwie kartki! Za to można kupić pół tuzina dziewcząt!

-To płyn tam, gdzie tyle dostaniesz. Na tej łodzi dostajesz tylko pół godziny. Idziesz na to czy nie?

-Nie rób tego - powiedziała miękko kobieta.

-Zamknij się - rzucił jej.

-Wziąłbym też małą - wtrącił się włóczęga. - Ta druga za dużo gada...

Żeglarz pokręcił głową.

-Nie stać cię na dziecko. Pół godziny z tą kobietą.

-Proszę... - powiedziała Helen.

Ale uciszył ją spojrzeniem. I tym spojrzeniem dał jej do zrozumienia, że to cena za przejazd ich obu; cena za to, na co go naraziła.

I coś na krótko pojawiło się w jej oczach - prawie jakby zamigotało tam i zgasło. Opuściła podbródek i spuściła wzrok.

Wiedziała, że nie ma wyboru.

Żeglarz wyciągnął dłoń i włóczęga cisnął mu butelkę.

- Rusz się - powiedział handlarz do Helen wskazując swoją łajbę. Posłusznie zrobiła krok w przód.

Ale Żeglarz zablokował jej drogę wyciągając ramię.

- Na mojej łodzi - powiedział.

Włóczęga wzruszył ramionami. Obaj znali zasady wymiany.

- Niech będzie - rzekł.

Kobieta poszła do luku, którym schodziło się pod środkowy pokład do kajuty. Włóczęga, pożądliwie oblizując wargi, ruszył za nią. Ruszyła się też Enola. Jej twarzyczkę ściągnęło przejęcie i zmieszanie.

- Helen! - zawołała.

Żeglarz mocno złapał ją za ramię.

- Siądź - powiedział.

Nie odwracając się, tuż przed zniknięciem w kajucie, kobieta rzekła:

- Enola... rób, jak on mówi.

Włóczęga zatrzasnął luk i ten odgłos ugodził Żeglarza jak wystrzelony bełt. Stał na pokładzie trzymając głowę w dłoniach. Zmieszane dziecko skierowało na niego spojrzenie.

W ciasnej kajucie, Helen odwróciła się do włóczęgi. - Nie zdejmuj - powiedział zbliżając się do niej i wskazując na tunikę. - Za moją zapłatę zerwę ją z ciebie...

Cofnęła się.

-Nie ma potrzeby być brutalnym. Nie będę ci się sprzeciwiać, byłeś tylko...

-Zamknij się. - Wyszczrzył żółtozielone zęby. Przypominały jakieś okropne wodorosty. - Planuję też zabrać się za małą...

Wzięła oddech, który mógłby zamienić się w krzyk, ale luk otworzył się gwałtownie i kapitan trimaranu wskoczył do kajuty w promieniach słońca. Miał twarz pozbawioną wyrazu, ale szaleństwo w oczach.

- Handel odwołany - powiedział.

Włóczęga odwrócił się i warknął:

-Co? Co?!

-Zmieniłem zdanie.

Helen szybko obeszła brutala i schowała się za nie spodziewanego obrońcę.

-Czy dobrze słyszę? - powiedział włóczęga. Zwężone oczy patrzyły twardo. Twarz zacisnęła się jak pięść.

-Czy dobrze słyszysz? Handel odwołany.

-Nie możesz tego zrobić...!

Żeglarz cisnął włóczędze butelkę z cenną zawartością i wycedził:

- Właśnie zrobiłem.

Tamten odrzucił na bok butelkę, w dłoni błysnął mu nóż.

-No to mi przykro, ale mam swoje potrzeby i nie przyjmuję "nie" do wiadomości - oznajmił.

-Zjeżdżaj - nakazał Helen jej wybawca.

-Taaa - powiedział włóczęga. - Won, nie ma cię! Tylko nie odchodź daleko! To nie zabierze dużo czasu..

Gdy wydostawała się z kajuty, posłyszała jeszcze jego słowa:

- Bardzoś skąpy jak na gościa, który ma wszystko... Luk zamknął się z trzaskiem i Helen podbiegła do Enoli. Przytuliła drżące dziecko, gdy odgłosy straszliwej bijatyki pod pokładem wstrząsnęły trimaranem jak huragan - wrzaski, hałas rozbijanych przedmiotów...

Rozejrzała się po pokładzie i znalazła dużą kuszę. Była naładowana. Dobrze. Odwróciła się ku lukowi, który się podniósł...

...i wyczołgał się włóczega.

Jeśli był zwycięzcą, odniósł próżną wiktoria, gdyż ociekał krwią porznięty własnym nożem, i jeśli było w nim coś ludzkiego, to tylko wyraz oczu, gdy spoglądał na kobietę, którą zamierzał zgwałcić.

- Zabierz mnie... zabierz mnie... z powrotem na moją... łódź...

Zatoczył się ku niej. Cofnęła się pod maszt unosząc kuszę.

- Zabierz mnie...

Zatoczył się bliżej, ale już się go nie bała, opuściła kuszę.

- Proszę...

Oczy uciekły mu w głąb czaszki i opadł bezwładnie na pokład, martwy.

Potem wydawało się, że ciało zatoczyło się raz jeszcze, ale to tylko Żeglarz przepchnął trupa na bok unosząc luk.

Przyptyw radości, jaki ją ogarnął na jego widok, był aż niewiarygodny. Enola też się śmiała od ucha do ucha.

Obserwowały go z podziwem, gdy gwałtownym kopnięciem posłał trupa za burzę. Potem odwrócił się do nich z chmurną miną.

-Ruszcie się - powiedział. - Pomóście mi.

-Mamy ci pomóc? - spytała Helen.

-Jak się weźmiemy do tego we trójkę, to obierzemy łódź tego żalosego drania do czysta raz, dwa.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po złupieniu trawlera kapitan trimaranu mógł dokonać przynajmniej minimalnych napraw; ale włóczęga nie kłamał, gdy mówił, że nie ma żywności na pokładzie.

Łódź płynęła swobodnie w poszeptach wiatru z zachodnio - południowego zachodu. Helen usadowiła się obok Enoli. Dziewczynka siedziała po turecku, bujając w obłokach. Helen starała się naprawić złamany kołowrotek do wędki, który wyniosła z łodzi włóczęgi. Spojrzała na swojego gospodarza. Przygotowywał do stawiania świeżo połatane żagle. Woląla nie okazać bezradności prosząc go o pomoc, ale równocześnie bardzo jej potrzebowała.

Nagle wyrwał jej z ręki kołowrotek, jednym rzutem oka sprawdził uszkodzony mechanizm i wyrzucił za burtę. Plusnęła woda.

Enola ocknęła się z marzeń. Spytała marszcząc czoło:

- Czemu to zrobiłeś?

Helen położyła jej dłoń na ramieniu.

- Enola... proszę, nie zaczepiaj go.

Wrócił do zajęć przy żaglach. Spojrzał bez wyrazu na swoje pasażerki.

- Proszę - powiedziała Helen. - Doceniamy to, co dla nas zrobiłeś...

Nie odpowiadając odwrócił się do nich plecami. Poszedł do konsoli sterowniczej.

-Czemu on się tak zachowuje? - spytała Enola. - Wiem, że nas lubi.

-Uratował nas. To nie znaczy, że nas lubi.

-Lubi nas - upierało się dziecko. - Bardzo bym chciała wiedzieć, jak ma na imię.

-Myślę, że chyba nie ma imienia.

Wiatr łagodnie podniósł warkoczyki dziewczynki.

-Mam imię dla niego.

-Jakie?

-Żeglarz.

Helen zmarszczyła czoło.

- Słyszałam to słowo... stary Gregor recytował taki wiersz...

Helen pamiętała, jak starzec recytował ten poemat, a raczej jego część. Słowa były bardzo stare, z początku Czasów Łądu. Jak to szło?

-To znaczy "marynarz" - powiedziało dziecko.

-Po prawdzie to myślę, że coś więcej. Marynarz przyplęwa do portu, do domu. Ale

żeglarz... on mieszka na morzu. Ono jest jego domem.

Dziecko skinęło głową.

- To dobre imię dla niego. Ty też możesz go używać. I od tej pory Helen tak nazywała go w myślach. Dziecku zaburczało w brzuchu. Helen pogładziła je po policzku.

- Musisz być strasznie głodna, no nie?

Enola wzruszyła ramionami. Nie miała w zwyczaju narzekać.

Helen spojrzała na Żeglarza. Stał przy konsolce sterowniczej tak nieruchomo, jak wyrzeźbiony.

-Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała.

-Co do czego?

-Co do tego, że nas lubi.

Wstała i podeszła do niego. Czowała się niezręcznie.

- Proszę...

Nie popatrzył na nią.

-...nie chcemy cię złościć. Gdybyś tylko dał mi coś do łowienia, sama bym łapała ryby.

-Nie na tych wodach - powiedział.

-Co?

Przeniósł spojrzenie jeszcze dalej od niej.

- My nie znikniemy tylko dlatego, że będziesz stał do nas plecami - powiedziała Helen.

Odwrócił się do niej. Nie okazał gniewu. W ogóle nic nie okazywał...

-Jesteśmy głodne - powiedziała. - Dziecko jest głodne..

-Nie rozumiesz.

-Czego nie rozumiem?

-Jak wygląda łowienie ryb na tych wodach. Zza ich pleców rozległ się głos Enoli:

-Może on nie umie łowić ryb.

Potrząsnął głową z obrzydzeniem. Gwałtownym krokiem przeszedł do kabiny w środkowym kadłubie i wskoczył do środka.

Przez kilka chwil sądziła, że tylko starał się uciec od nich. Są mu kamieniem u szyi. Po chwili usłyszała stukoty znaczące, że coś szykuje...

Wyłonił się z dziwną podwójną kuszą uzbrojoną w harpuny, większą niż te, które zdarzyło się jej widzieć. Ile broni i skarbów ukrył pod pokładem? Jak na łódź, którą złupili zarówno Atolczycy, jak i Dymiarze, trimaran miał nieprzebrany zasób wyposażenia

poutykanego w skrytkach przez sprytnego kapitana.

Co takiego zamierzał?

Oczy mu płonęły, twarz pokrył gniewny rumieniec. Przywiązywał długie zwoje zardzewiałego drutu do mechanizmu trałowego na rufie.

Enola dopadła boku Helen.

-Co on robi?

-Nie wiem za dobrze...

Teraz przymocowywał drugi koniec drutu do harpuna ciężkiej kuszy.

-Może bym go zapytała? - zastanowiła się na głos Enola.

-Nie! - powiedziała Helen.

Potem - jakby to było najbardziej naturalne na świecie.

-Żeglarz, dzierżąc kuszę w obu rękach, rzucił się tyłem do wody z rufy wolno płynącej łodzi. Trysnęła mała fontanna.

Trzymał kuszę jak końcówkę liny podczas jazdy na nartach wodnych. Wleczony za rufą leżał brzuchem na pieniającej się wodzie. Unosił od czasu do czasu głowę, ale przeważnie trzymał ją pod powierzchnią.

Wydawał dziwne delfinie piski. Helen i Enola słyszały je tylko wtedy, gdy unosił głowę nad wodę. Umiejętnie mlóćąc nogami, przesuwał się po całej szerokości kilwateru, a potem nagle zaczął się obracać na końcu liny!

Helen zmarszczyła czoło. Zachowywał się jak... przynęta?

Powierzchnię morza rozerwał wielki niebieski stwór. Był tak ogromny, że w porównaniu z nim kilwater trimaranu wydawał się żalonym strumyczkiem. Miał co najmniej trzydzieści stóp długości, ciało wieloryba i - wydawało się - niezliczone płetwy jak pióra steru. Wyskoczył w górę z gracją delfina. Ale delfiny nie mają niewiarygodnie wielkich szczęk z ostrymi jak brzytwa zębami. Wielka półokrągła paszcza była jak wrota piekieł.

Enola objęła Helen w pasie. Kobiecie i dziewczynce zapało dech w piersi, szeroko otwarte oczy znieruchomiały na widok bestii połykającej jednym kęssem Żeglarza. Lina trałowa napięła się...

- Nie! - krzyknęło dziecko.

Helen, równie zdezorientowana jak przestraszona, uspokajała dziewczynkę. Gładziła ją po włosach.

Bestia nie zanurkowała, unosiła się na powierzchni. Być może rozkoszowała się posiłkiem lub go trawiła...

Potem z wnętrza potwora rozległ się odgłos pęknięcia, darcia i tuż obok groteskowego

Łba wynurzył się harpun. Następne, podobne odgłosy obwieściły wynurzenie się harpuna z drugiej strony ohydneho łba zdychającej bestii. Niebawem nóż rozorał od wewnątrz mięsiste szczęki. To Żeglarz wycinał sobie drogę ze wspaniałego połowu.

- O, rany - westchnęła Helen.

Naprawdę nie miała pojęcia, jak się łowi na tych wodach...

Późnym popołudniem Helen dotrzymała obietnicy i zajęła się kuchnią. Ogromne steki z delfinoryba syczały na małym grillu zabranym z łodzi włóczęgi. Helen odwróciła mięso gołymi rękami, oprószyła je solą i ziołami, których dostarczył gospodarz. Żeglarz wrócił od wiszącego ścierwa potężnego delfinoryba (tak nazywał morską bestię). Poprzednio ocenili z Helen, przez ile dni mięso nie zgnije. Wyciął odpowiednią ilość i teraz siedział, czekał cierpliwie. Z grilla rozchodziła się świeża, drażniąca podniebienie woń smażonego mięsa.

Wiatr niósł łagodny śpiew dziecka.

- Jest dziewczynka, która mieszka na wietrze - śpiewała trzymając się masztu jedną ręką - na wietrze, na wietrze. Jest...

Żeglarz spojrzał ostro na dziewczynkę. Przerwała.

- Nie podoba ci się moja piosenka? Nie odpowiedział.

- Helen mówi, że moje piosenki ci się nie podobają, bo sam nie umiesz śpiewać.

- Enola! - zawołała Helen. Żeglarz powiedział do dziewczynki:

- Czy ty nigdy nie możesz usiąść i po prostu posłuchać?

Enola wyglądała na zaskoczoną.

-Czego?

-Muzyki Wodnego Świata.

Dziecko przechyliło na bok głowę. Usiłowało coś usłyszeć. Potrząsnęło głową.

-Nic nie słyszę.

-Bo robisz za dużo hałasu i albo się kręcisz, albo cały czas gadasz. Spróbuj dla odmiany posiedzieć spokojnie.

Skrzywiła się. Helen nigdy jeszcze nie widziała Enoli tak nadętej jak w tej chwili.

Żeglarz musiał to zauważyć, bo złożył ofiarę pokoju. Podeszedł do stosu wyciętych steków. Wrócił z wyciągniętą dłonią.

- Możesz sobie wziąć jedno...

Na jego dłoni leżały dwie wielkie gałki oczne delfinoryba.

Dziecko wzdrygnęło się z odrazą. Wzruszył ramionami i wycisnął oko potwora do ust.

- Nie wiesz, co tracisz - powiedział.

Helen też nie potrafiła się zdobyć na przełknięcie smakołyku. Znowu wzruszył

ramionami i powtórzył operacją z wyciskaniem oka. Odrzucił śluzowate resztki na bok.

Potem wstrząsnął nimi jeszcze bardziej. Posunął stopą dzban z wodą w ich kierunku.

Helen wyciągnęła nieśmiało rękę.

-Czy wolno... czy można...?

-Pijcie, ile chcecie - powiedział. - Dziś w nocy spadnie deszcz.

Enola wpatrywał się w stopę, która podsunęła im dzban. Helen czuła lekki wstręt na widok błoniastych palców. Przecież jej gospodarz był jednak - jak delfinoryb, którego zarznął - mutantem.

Jednakże dziecko nie czuło obrzydzenia, tylko ciekawość. Nawet fascynację.

-Chciałabym mieć takie palce jak ty - powiedziało.

-Enola! - krzyknęła Helen.

Żeglarz jedynie popatrzył na dziewczynkę. - Wtedy może i ja bym umiała pływać - powiedziała Enola.

Po obiedzie zadowolona Helen zwinęła się i ucięła sobie drzemkę. Wkrótce spała głęboko. Po raz pierwszy od początku tej życiowej próby miała pełny żołądek - a nawet od dłuższego czasu, gdyż zapasy żywności na atolu, dokładnie biorąc, nie pękały w szwach.

Jakiś nieokreślony dźwięk wyrwał ją ze snu. Podniosła się na łokciu. Słońce zachodziło na czerwono, morze było w odcieniach szkarłatu i złota. Położyła się na pokładzie i zasypiała powtórnie, gdy dźwięk się powtórzył. Tym razem go zidentyfikowała.

Krzyk!

Usiadła. Rozejrzała się błyskawicznie po pokładzie. Ani śladu Enoli, ani śladu Żeglarza. Kolejny krzyk - dziecięcy krzyk, krzyk Enoli! - poderwał Helen na nogi.

Daleko na szkarłatnozłotej wodzie Żeglarz pływał swobodnie na plecach, a rozradowana Enola siedziała mu na piersiach, towarzysząc w zabawie. Te krzyki to były piski - piski radości.

Dziecko bawiło się, bawiło się świetnie, ale nie w tym rzecz...

-Enola! - wrzasnęła gorączkowo Helen. - Co ty wyprawiasz?! Te potwory cię zabiją!

-Śpij teraz. - Głos Żeglarza był ledwo słyszalny ponad łagodnymi pluskami, jakiej towarzyszyły jego ruchom w wodzie.

Uniósł dziewczynkę w górę. Odwrócił się i przesunął ją sobie na plecy. Złapała go za szyję.

- Nie ma potrzeby się bać - tłumaczył. - Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić... Niech woda cię prowadzi, słuchaj jej, a powie ci, jak poruszać rękami i nogami...

I przez następną godzinę Helen obserwowała, jak ich szorstki kapitan daje dziecku

lekcję pływania. Od czasu do czasu Enola szukała wzrokiem aprobaty Helen, a ta uśmiechała się, jak potrafiła najszerzej, i kiwała głową.

- Patrz! - zawołała Enola. - Patrz, Helen!

Płynęła najprostszym "pieskiem", ale zawsze był to jakiś początek.

Później na pokładzie Helen spytała Żeglarza, dlaczego to zrobił. Słońce schowało się za ciemnymi chmurami, morze miało barwę granatową.

Siedział przy sterze. Wzruszył ramionami.

- Nigdy do tej pory nie spotkałem nikogo, kto by nie umiał pływać.

Nie wiedziała, co na to odrzec. Milczenie robiło się niezręczne, gdy powiedziała:

- Chcemy ci podziękować... Popatrzył na nią bez słowa.

-...za...za wszystko. Ale nawet nie wiemy, jak ci na imię.

-Nie mam czegoś takiego.

Było to rzeczowe stwierdzenie, ale Helen nigdy nie słyszała nic smutniejszego. Musiał wyczuć jej współczucie.

-Nigdy nie było mi potrzebne - dodał. Wyjęła szmatę zza pleców.

-Mam coś... dla ciebie - powiedziała.

-Co?

-To tylko kawałek materiału. Znalazłam go na łodzi włóczęgi. Po prostu szmata.

-Szmata są użyteczne.

-No, mam nadzieję, że tej nie będziesz używał. - Podniosła ją do góry, demonstrując czarująco prościutki szkic Enoli. Cała ich trójka stojąca razem na pokładzie trimaranu.

- Enola chciała ci ją dać, ale się bała.

Nie odpowiedział. Ale po chwili wziął od niej tę szmatę.

- Och, i to - powiedziała wręczając mu kredkę, której dziewczynka używała. - Zabrałam jej to. Nigdy więcej już tego nie robi.

Teraz patrzył na nią. Nie czuła się dobrze pod tym spojrzeniem. Miała wrażenie, że te oczy wwiercają się w nią...

- Te znaki na jej plecach... co to jest? - powiedział wreszcie.

Już poprzednio zastanawiała się, kiedy do tego dojdą. Przeszedł ją dreszcz.

-Nic - odparła.

-Coś muszą znaczyć - powiedział Żeglarz. - To nie znamię, jakie nosi się od urodzenia. Ktoś je zrobił.

Opuściła wzrok. Kiedy go podniosła, okazało się, że nadal na nią patrzy.

-Nie wiesz, co o nas myśleć, prawda?

-Hm, nie jesteście do siebie zbyt podobne. Może wdała się w ojca.

-Nie jestem jej matką.

-Ale zachowujesz się, jakbyś nią była.

Nie kończące się morze było w kolorach czerni, zwęglonego drewna, siności i błękitu. Wiatr unoszący się nad powierzchnią szeptał: Helen, zaufaj mu... możesz mu zaufać...

- Jakieś sześć lat temu do Oazy przyплыł koszyk z dzieckiem... z niemowlęciem... małą dziewczynką - powiedziała cicho.

- Z Enolą - rzekł. Skinęła głową.

-Wszyscy chcieli odesłać ją z powrotem na morze. Takie było prawo Starszyny. Ale ja powiedziałem, że ją wezmę... była taka cudowna, a ja dzięki swemu sklepowi miałam pewną pozycję w atolu, więc zgodzili się. Ale powiedzieli, że skoro tak bardzo mi na niej zależy, nie będę mogła nigdy sama urodzić dziecka. Ona będzie moim dzieckiem, jedynym jedynym.

-Zgodziłaś się na to.

-Nie miałam wyboru. I nie miałam mężczyzny... Szczerze mówiąc chyba nigdy nie chciałam mieć nikogo, przynajmniej nie z tego atolu.

-Ale dziecko nie było z atolu.

-Nie. Nie było i nie znalazł się nikt inny, kto by je chciał, kto by je wziął. Gdyby nie ja, umarłoby.

Wzruszył ramionami.

- I co z tego?

Spojrzała na niego chmurnie.

-Czy słyszałaś kiedyś określenie "troska o kogoś"?

-Nie. Co to znaczy? Westchnęła. Potrząsnęła głową.

- Mniejsza z tym. Trudno wyjaśnić to komuś, kto żyje tak bardzo samotnie jak ty...

Nie odezwał się słowem.

Łagodnie, bardziej do siebie niż do niego, powiedziała:

-Wiesz, naprawdę żal mi ciebie.

-Co to jest "żał"?

-Naprawdę nie wiesz co?

-Gdybym wiedział, tobym pytał?

-Jeśli nie wiesz - rzekła łagodnie - to obawiam się, że nigdy nie będę potrafiła ci tego wytłumaczyć...

Tylko wzruszył ramionami i zajął się sterem. I uznała, że lepiej nie mówić mu więcej

o Enoli, przynajmniej na razie... Znów spojrzała na morze.

-Kiedy dopłyniemy do Suchego Łądu?

-Może jutro - powiedział. - Najpóźniej pojutrze. Masz.

Oddał jej kredkę.

-Co to jest? - spytała uśmiechając się, trochę zaskoczona.

-Nie daję tego dziecku, rozumiesz. To tylko...

-Pożyczka?

Skinął głową.

-Pożyczka. Nie daję jej tego.

Może była jeszcze przed nim jakaś szansa. Skrzyżowała ręce na piersiach i wciągnęła głęboko czyste nocne powietrze, pozwoliła, by wiatr rozwał jej włosy.

-Czy Suchy Łąd jest piękny? - spytała. - Powiedz mi prawdę.

-Zobaczysz, już wkrótce.

- Dla mnie to będzie raj - powiedziała rozmarzona. Potem zostawiła Żeglarza na posterunku i poszła ułożyć Enolę do snu.

Żeglarz upewnił się, że kobieta zasnęła - na nocne godziny pozwalał jej zajmować kokpit - i zszedł do kabiny pod pokład głównego kadłuba. Pozwalał spać tam dziecku. Dziewczynka zwinęta w kłębek spała głęboko.

Przekonawszy się, że nikt nie naruszy jego intymności, otworzył skrytkę w ścianie i wyjął swoją najcenniejszą własność - trzy numery "National Geographic". Dorobiły się już oślich uszu.

Umiał czytać. Matka go nauczyła. Była najlepszym człowiekiem, jakiego znał w życiu. Pochylił się nad tymi świętymi stronami, nie zawsze rozumiejąc, ale zafascynowany artykułami. "Globalny efekt cieplarniany jest faktem", "Śmierć lasów deszczowych", "Spirala zanieczyszczenia środowiska" (to z czasopisma z 1999 roku). "Nasz przyjaciel atom", "Nasze cudowne autostrady", "Badania przestrzeni kosmicznej" (z 1953). I najlepszy ze wszystkich, najbardziej starożytny - z 1932 roku! - z jego ulubionym artykułem, ulubionymi zdjęciami - "W Kongo ze strzelbą i aparatem fotograficznym".

Jednakże jedno zdjęcie nie dawało mu spokoju. Coś ścisnęło go za serce i odbierało słodko - gorzką radość, jaką miał z innych fotografii.

Ta była czarno - biała. Czarny tubyliec stoi w ulewnym deszczu przed namiotem. W namiocie biały człowiek w hełmie wyglądającym jak odwrócona do góry dnem miska, w krótkich, dziecięcych spodenkach przygotowuje posiłek na małym piecyku.

Podpis pod zdjęciem: "Żal biednego tubylca przewodnika, który musi stać na deszczu,



podczas gdy profesor Matthews może do woli korzystać z udogodnień nowoczesnej turystycznej kuchenki aluminiowej na gaz”.

Zahuczał grom. Nadciągał deszcz. Żeglarz musiał odłożyć cenne czasopisma i powystawiać zbiorniki na hydro.

- Żal biednego tubylca - powiedział cicho do siebie i poświęcił się obowiązkom.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wieża z ostrą wieżyczką sterczała na horyzoncie jak masywne zdeformowane drzewo, jakby kawałki drewna i metalu powrastały jakoś w siebie. Z komina unosiła się w czyste niebo spirala czarnego dymu. Wiele mniejszych pudełkowatych kształtów powiązanych linami podskakiwało na wodzie jak boje wokół dużo większego pudła.

Helen przyglądająca się temu przez lornetkę zmarszczyła brwi. Za małe na atol. Co to za miejsce? Co to za wieża jak z koszmarnego snu?

Dziecko na dziobie mrużyło oczy wpatrując się wieżę. Dzieliły ich od niej jeszcze dwa kilometry. Pytanie Enoli wyrażało myśli Helen:

- Co to jest?

Helen stała w kokpicie niedaleko Żeglarza. Spojrzała na kapitana trimaranu. Zimny dreszcz podejrzenia zaczął pełznąć jej po plecach.

-Stanowisko wymiany - powiedział niedbale. Nie patrzył na nią.

-Powiedziałeś, że dzisiaj dopłyniemy do Suchego Łądu. - Starła się, by te słowa nie zabrzmiały zbyt oskarżycielsko.

- Dzisiaj, jutro. Co to ma za znaczenie? Skrzywiła się.

-Jak to, co to ma za znaczenie...?!

-Potrzebuję płótna żaglowego.

-Mamy płótno - powiedziała Helen. - Z łodzi włóczęgi...

Ale nie odpowiedział.

Coś było nie w porządku. Zamierzała postawić bardziej dociekliwe pytanie, gdy zauważyła, że on też wygląda na zaniepokojonego. Trimaran zrzucił fok i zaczął zbliżać się do wieży, ale pozostało jeszcze sto metrów, gdy Żeglarz nagle zmienił zdanie.

Gdy odpływał - zapewne aby zyskać trochę na czasie przed przybiciem do brzegu - Helen przyglądała mu się uważnie.

Wyciągnął rękę i Helen wiedziała, że powinna włożyć w nią lornetkę.

-Co widzisz? - spytała.

-Kupcy na wieży machają rękami - powiedział. Opuścił lornetkę i wydał powitalny okrzyk. Rozniósł się nad wodą. Helen nigdy poprzednio nie słyszała tego języka.

Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi.

-Po jakimu wołałeś? - spytała.

-Po portogrecku - powiedział. - Tym językiem mówią na tych wodach... Tak

przynajmniej myślałem.

Wyjęła mu lornetkę z dłoni i spojrzała raz jeszcze. Tak, widziała machających rękami kupców, ale było w tym coś dziwnego, coś... nie w porządku.

Wróciła spojrzeniem do podskakujących na wodzie pudełkowatych kształtów. To były klatki.

I w tych klatkach, ściskając pręty zupełnie jak Żeglarz nad barką organiczną, stali najbardziej żałośni, najmarniejsi, najsmutniejsi przedstawiciele ludzkiego gatunku.

Niewolni.

Strach chwycił ją za gardło.

Opuściła lornetkę i powiedziała:

- To są... To kolonia Niewolnych!

Nie odpowiedział. Czy też był zaskoczony? Bez wątpienia przyglądał się wieży i jej mieszkańcom uważnie... podejrzliwie...

A może (i ta myśl ścięła Helen krew w żyłach) przywiózł tu ją i Enolę... na sprzedaż?

Handlarze Niewolnych rzeczywiście machali Żeglarzowi. Ale ktoś im przy tym pomagał.

I pomoc była im potrzebna. Bo nie żyli.

Niektórzy mieli podcięte gardła, inni zostali zastrzeleni, przekłuci, posiekani. Różnie. Wszyscy jednak byli martwi, zarżnięci przez władców marionetek, bo stojący z tyłu mordercy poruszali ofiarami jak lalkami.

Podczas gdy Dymiarze machali rękami trupów, Diakon stał na stosie martwych Niewolnych i wyglądał przez judasza w murze. Używał teleskopu, który sterczał poza mur jak ryj.

Miał przed sobą cudowny widok trzykadłubowej łodzi. Była w odległości stu metrów. Na jej dziobie, jak niezwykła, idealna rzeźba bukszprytu, siedziała ciemna dziewczynka.

- Ach - westchnął Diakon. - Tu jest moja dziewczynka...

Żeglarz przesunął się na burtę łodzi. Kobieta szła za nim.

-Po co nas tutaj sprowadziłeś? - spytała.

-Cicho - powiedział i schylił się. Oceniał wodę za burtą.

Połykiwała drobnymi, ale wyrazistymi cętkami soku pędnego - śladem po używających go łodziach. To zapowiadało obecność Dymiarzy.

Ale nigdzie nie było widać żadnej łodzi. Co dopiero łodzi na sok pędny, a tym bardziej Dymiarza...

Niemniej jednak Żeglarz musiał zawierzyć swojemu instynktowi. Tutaj był to jedyny

sposób na przeżycie. Więc zostawił kobietę, niech dalej miele na próżno językiem, i podszedł do prawego kadłuba. Wczołgał się pod pokład.

W brzuchu łodzi odsunął fragment deski podłogowej i odsłonił studnię czerpalną, w której połyskiwała woda. W pobliżu leżał przenośny peryskop. Wsadził go do studni.

Początkowo widział tylko wodę. Czego się spodziewał? Obrócił peryskop, by ujrzeć w całości główny pokład, i wtedy - przerażająco blisko - spojrział prosto w koszmarną gębę Dymiarza. Miał na niej maskę pływacką, a w nosie rurki doprowadzające powietrze.

Gdy zaskoczony Dymiarz odpłynął pracując płetwami, w okularze peryskopu ukazał się rozległy widok. Mnóstwo drani ukrywało się pod powierzchnią. Unosili się, opadali na skuterach wodnych, w goglach i z rurkami doprowadzającymi powietrze, z pasami ciężarkowymi. Byli wszędzie!

Żeglarz wybiegł na pokład jak oparzony, dopadł skokiem kokpitu, postawił fok, przerzucił grot na drugą burtę, niemal ścinając bomem kobietę.

-Hej! - wrzasnęła Helen przerażona i wściekła. - Co ty, do diabła...

-Dymiarze! - wrzasnął.

Z wieży Niewolnych rozniósł się po wodzie rozkazujący głos:

- Alarm, alarm, alarm!

I chociaż alarm ogłoszono pod wodą, to głos rogów mgłowych dał się słyszeć na pokładzie trimaranu. Silniki skuterów ożyły pod powierzchnią i zanurzeni Dymiarze z rykiem maszyn wyskoczyli na powierzchnię.

Byli skoordynowani jak balet wodny i ciągnęli za sobą sieć skrzelową, rybacki strycalek, który wyraźnie zamierzali zarzucić na trimaran.

Dziecko usiłowało zejść z dziobu, ale pośliznęło się. Żeglarz nie miał czasu spieszyć na ratunek, ale kobieta doradziła najprościej:

- Trzymaj się! Połóż się i złap się czegoś!

I dziewczynka mocno chwyciła się dziobu drobnymi palcami. Wyraz determinacji na jej twarzy mówił, że jest gotowa wytrzymać tam całą batalię. Żeglarz musiał podziwiać zawziętość dziecka.

Tymczasem żagle złapały wiatr i łódź nabrała rozpędu. Ale że Dymiarze wyskakowali po obu burtach, Żeglarz wiedział, że pętla niebawem zamknie się w śmiertelnym uścisku. Zrobił zwrot przez sztag, zawrócił.

Wiedział, co zrobić.

- Na bakburtę!! - krzyknął kobiecie. Przeskoczył na lewy kadłub. - Już!!

Odwiązał składaną drabinę. Wysunął ją nad powierzchnię wody, jakby morze było

murem, na który zamierzał się wspiąć.

- Co ty...?! - zawołała, gdy dotarła na lewy kadłub. W odpowiedzi złapał ją za przegub i pociągnął za sobą na drabinę. Przeszli na sam jej koniec. Balansowali niebezpiecznie, przesuając środek ciężkości łodzi. Wysunął drabinę jeszcze o sześć cali... i prawy kadłub wyłonił się w wody. Umknął zacieśniającej się sieci!

Żeglarz sprowadził Helen z powrotem na pokład i tri - maran opadł na wodę, znowu wszystkie kadłuby sunęły po powierzchni.

- Wybierz miecz! - rozkazał.

Skinęła głową i pomknęła w dół kadłuba, wskoczyła pod pokład.

Żeglarz trzymając się liny przeskoczył nad rufą, lądując na prawym kadłubie. Słyszał, jak w przedniej kabine kobieta pracuje korbą. Wyciągała z wody miecz - cienką płytę, zwykle zapobiegającą znoszeniu łodzi - zwiększając zdolność manewrową trimaranu.

Żeglarz zawołał do kobiety:

- Teraz na sterburtę!

Równocześnie dojrzał Berserkera na skuterze wodnym - nie będącego w zespole ciągnącym sieć - zbliżającego się do dziobu. Zamierzał porwać dziewczynkę, która wybałuszała oczy ze strachu.

- Kucnij! - wrzasnął Żeglarz.

Kucnęła. Berserker wyciągnął się jak struna, aby ją pochwycić. Z pełną prędkością grzmotnął w dziób trimaranu, roztrzaskując poprzeczkę bukszprytu. Zniknął pod wodą, zanim zdążył jęknąć.

Kobieta pokazała się na pokładzie i na polecenie Żeglarza weszła za nim na drabinę balastową prawego kadłuba. Lewy kadłub zaczął się wynurzać z wody.

Gdy zeszli z drabiny, łódź opadła na wodę. Byli poza zasięgiem sieci!

Ciężko oddychając wrócili na centralny kadłub i Żeglarz złożył drabinę.

- Wyciągnąłeś nas z pułapki! - zawołała zdumiona Helen.

Rozległ się ten sam rozkazujący głos co poprzednio:

- Odciać się! Odciać się!!!

Dymiarze maczetami odcinali wleczoną sieć. Najwyraźniej była przywiązana do nich lub do ich pojazdów. W każdym razie jej ciężar utrudniał im jazdę, jak zauważył z ponurym uśmiechem Żeglarz.

Wskoczył z powrotem do kokpitu, kopnięciem odsłonił skrytkę. Ukryty w niej mechanizm pomoże mu uzyskać błyskawiczną prędkość, której teraz potrzebował. Odsłonił się pedał. Nacisnął go z całej siły. Wyrzutnia na dziobie wystrzeliła swój ładunek. To był jego

as w rękawie, ratunek w nagłych przypadkach. Nad głowę zaskoczonych dzieci wyskoczyła kometa.

-Co...? - spytała zaskoczona, podążając za nią wzrokiem. Żeglarz zauważył, że Helen znów jest u jego boku.

-Spinaker - wyjaśnił.

Trójkątny przedni żagiel rozwinął się cały. Wyglądał na niebie jak gwiazda za dnia. Dzięki niemu zyskali niezbędną przewagę. Dymiarze nagle znaleźli się w tyle. Było po bitwie.

Nagle bełt wbił się Żeglarzowi w ramię. Buchnęła krew i odezwał się koszmarny ból.

Gwałtownie odwrócił głowę w kierunku, z którego pojawiło się zagrożenie. Berserker, który poprzednio roztrzaskał dziób! Drań był pod łodzią. Przywarł do sieci tworzącej pokład, jakby była klatką z drucianej siatki. W połowie tkwił w wodzie, w połowie wystawał nad powierzchnię. A na wstrętnym łbie miał hełm z wmontowaną na stałe dwubeltową kuszą. To, że urządzenie wyglądało głupio, w niczym nie umniejszało śmiertelnej groźby, którą niosło, i na pewno nie odebrało ostrości grotowi małego bełtu, który rozdarł ramię Żeglarza...

I pozostał jeszcze drugi, nie wystrzelony bełt.

Żeglarz zdrową ręką wyrwał harpun z pochwy w kok - picie, uniósł wysoko i cisnął prosto w Berserkera. Przebił drania na wylot, do kręgosłupa.

Berserker puścił sieć. Bryzg krwawej piany obwieścił zatonięcie napastnika.

- Trzymaj kurs - powiedział kobiecie Żeglarz i zatoczył się, walcząc z cholernym bełtem. Tracąc przytomność padł na rufie. Krew cienkim strumyczkiem ściekała do wody. Trimaran mknął przed siebie.

Diakon stał na wzgórzu z ludzkich ciał i przez lunetę oglądał fatalny rezultat swojego przemyślnego planu. Nie udało się pojmać trimaranu. Zastępca wodza, Skand, wdrapał się na górę. Czaszki, ramiona i kolana zmarłych posłużyły mu za schody. Stanął obok pałającego gniewem dowódcy.

- Mówię, żeby załadować cały sok pędny na jedną łódź i niech dopadnie tego odmieńca - zaryzykował radę Skand.

Diakon opuścił lunetę i jednym okiem spojrzął na najbardziej zaufanego doradcę.

- Sranie w mewie jaja - powiedział. - Jeśli nie możemy go złapać w dziesięć łodzi, chcesz posłać jedną?! Wolne żarty.

Potrząsając głową uniósł lunetę do oka. Uuuups - nie do tego oka co trzeba. Lepiej...

- Poza tym są inne sposoby - powiedział regulując ostrość.

Przyjrzał się dokładnie trimaranowi. Chociaż mała, był nadal widoczny. Dostrzegł

człowieka - rybę. Wyglądał na nieprzytomnego. Leżał na rufie. Co znaczyła ta krwawa plama na ramieniu faceta? To była krew?

-Myślę, że go zraniliśmy - powiedział Diakon.

-Zraniliśmy?

Diakon pokiwał głową i rozjaśnił się w uśmiezku, człowieka, który właśnie został wymanewrowany przez kobietę, dziecko i człowieka - rybę.

-Zostawił po sobie gorący ślad - powiedział.

-Co?

-Bardzo dawne określenie z Czasów Łądu. Niech prują.

-Panie?

-Wypuścić rekiny pościgowe.

I niebawem uniosły się drzwi w podwodnej klatce z drucianej siatki. Wysunęły się rekiny. Kołowały w wodzie, coraz szybciej i szybciej, jakby zapach krwi doprowadzał je równocześnie do szaleństwa i do ekstazy.

I runęły przed siebie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Helen zostawiła ster uwiązany i ustawiony ostro na wiatr. Wiele razy widziała, jak Żeglarz tak robił. Przeszła po pokładzie trimaranu, podczas gdy łódź bez wysiłku pokonywała fale. Kobieta przeżywała gwałtowne emocje - lęk przed zasadzką Dymiarzy, ulgę graniczącą z utratą sił po uniknięciu niebezpieczeństwa (przynajmniej na razie), ale najmocniejsza była gotująca się w niej wściekłość. Żeglarz je zdradził! Była przekonana, że planował sprzedać ją i Enolę tam, na tym piekielnym stanowisku wymiany Niewolnych.

Jednak gniew nieco opadł, gdy zobaczyła, że Żeglarz jest nieprzytomny. Osunął się na bok. Krew z przebitego ramienia ciekła po burcie. Helen uniosła nieco rannego. Szybko się ocknął, jakby wytrąciła go ze snu.

Ból wykrzywił mu twarz. Zamrugał kilka razy, przysiadł na pośladkach i zaczął się mocować z wystającym beltem.

-Mogę pomóc? - spytała pochylając się nad nim.

-Wynoś się - warknął. To sprowokowało wybuch.

Wyprostowała się. Nie obchodziło ją, jakie męki drań cierpi...

- Okłamałeś nas - powiedziała. - Chciałeś nas tam sprzedać!

-Oboje kłamaliśmy - mruknął szarpiąc belt.

-Co...?

Natychmiast przestał zajmować się raną i wbił wzrok w kobietę.

-Powiedziałas, że znaki na plecach dziecka nic nie znaczą. Kłamałaś.

-Nie wiem... nie wiem... co znaczą...

Zacisnął zęby i szarpnął za belt. Ciężko oddychając, wycodził:

-Tym Dymiarzom chodziło o dziewczynkę. Po to tylko urządzili zasadzkę.

-Zwariowałeś...

-Widziałem to, co widziałem! - Kciukiem wskazał przebite ramię. - Dostałem tym od Dymiarza, który stracił życie próbując ją złapać!

Dziecko słysząc kłótnię usiłowało przesunąć się ku dorosłym. Przejęło się na widok rany Żeglarza.

-Jesteś ranny - powiedziało.

-Oszczędź sobie współczucia, Enola - powiedziała szorstko Helen. - On chciał nas sprzedać.

Wyrwała dziewczynce kredkę i cisnęła ten "rysujący patyczek" Żeglarzowi w twarz.



Nie uchylił się. Kredka odbiła się od policzka.

Enola rzuciła się za nią, ale Helen ją powstrzymała.

- Zostaw to! - krzyknęła. Dziecko ze zwieszoną głową odeszło.

- Czemu im na niej zależy? - spytał Żeglarz. - Co wskazują te znaki?

Helen ani myślała zaszczyścić go odpowiedzią. Jedynie spojrzała na niego jadownicie i rzekła:

-Nie ma w tobie nic ludzkiego. Powinni zabić cię w dniu, w którym przyszedłeś na świat.

-Próbowali - odparł i jednym płynnym ruchem wyrwał bełt z ramienia. Męka odbiła mu się na twarzy, ale natychmiast przeszła we wściekłość. Wstał biorąc z pokładu nagą maczetę.

Krew płynęła z rannego ramienia. W zdrowej dłoni trzymał szerokie, groźne ostrze. Pogroził nim Helen. Sztych maczety prawie dotknął jej nosa.

- No już... Co to za znaki na plecach dziecka?

Nie wierzyła, że jest gotów użyć broni... ale nie była też o tym do końca przekonana...

Wbrew sobie powiedziała:

- Ludzie... ludzie myślą, że to mapa wskazująca drogę do Suchego Łądu.

Ramiona mu obwisły. Opuścił maczetę.

- Suchy Łąd. Suchy Łąd to mit. Jak mógł powiedzieć coś takiego?!

-Nieprawda! - wyrzuciła z siebie. - Sam to powiedziałeś, sam powiedziałeś, że wiesz, gdzie on jest, powiedziałeś, że zabierasz nas tam.

-Jestem kłamcą, pamiętasz?

I opadł na kolana, maczeta wyleciała mu z dłoni, zabręczała o pokład. Padł na twarz. Zemdlął z bólu.

Gdy się ocknął, ból trochę ustał. Żeglarz czuł jedynie tępe pulsowanie. Ramię było obandażowane. Siedział wsparty o maszt. Obok niego klęczała kobieta. Podawała mu dzban z hydro. Przełknął łyk.

-Dlaczego mnie nie zabiłaś? - spytał. - Mogłaś.

-Potrzebuję cię żywego - odparła. - Nie potrafię prowadzić tej łodzi.

-Szybko dużo opanowałaś - przyznał szorstko, ruchem głowy wskazując łódź. - Ale jesteś głupia wierząc w coś, czego nigdy nie widziałaś.

Jej oczy zabłyśły i uśmiechnęła się jak dziecko.

-Ależ ja go widziałam.

-Widziałaś Suchy Łąd?!

-Dotknęłam go. - Zamknęła w powietrzu dłoń w drżącą pieść. - Tymi dłońmi dotykałam, gładziłam i oceniałam ziemię daleko bogatszą i ciemniejszą niż to, czym ty handlowałeś na atolu.

Wyprostował się. Ciekawość wzięła górę nad sceptycyzmem.

- Gdzie?

Uśmiechnęła się lekko. Była gotowa podzielić się tajemnicą.

-Była w koszyku - powiedział.

-W koszyku?

-W koszyku, w którym znaleźli Enolę.

Więc to na tym fundamencie opierały się jej nadzieje... biedna kobieta. Biedna żyjąca złudzeniami kobieta.

-Nie ma Suchego Łądu - powiedział cicho. Niemal łagodnie.

-Ale...

-On... nie... istnieje - wyrabiał. Potrząsnęła głową. Nie chciała tego słyszeć.

-Skąd masz taką pewność?

Skinał głową w kierunku morza.

- Bo żeglowałem dalej, niż inni mogą zamarzyć... i nigdy go nie widziałem.

Nadal kręciła głową. Jej oczy wyrażały desperacką nadzieję.

-Ale... te rzeczy na twojej łodzi...

-Jakie "rzeczy"?

W jej głosie walczyły nadzieja i rozpacz, szalejące w jej duszy.

-Te... te rzeczy, których nikt nigdy w Wodnym Świecie nie widział... muszle w twoich włosach... szkło odbijające obrazy... jeśli nie są z Suchego Łądu, to skąd?

-Więc chcesz zobaczyć Suchy Łąd - powiedział. Zaśmiał się cierpko. - Naprawdę chcesz?

W jej oczach było prawie szaleństwo.

-Oczywiście! Co ty sobie wyobrazasz...

-To ci go pokażę.

Przy rufie częściowo zanurzony w wodzie kołysał się dzwon nurkowy z drucianej siatki, przeznaczony do działań ratowniczych. Helen obserwowała Żeglarza, jak obciążał dzwon i tymczasowo podłączał wielką, półprzezroczystą jak meduza membranę do rurki, która szła do kanistra z gazem przymocowanego do dzwonu.

Pomogła Żeglarzowi złożyć obłą klatkę, chociaż konstrukcja obudziła w niej niepokojące wspomnienie klatek Niewolnych. Żeglarz donosił z dołu poszczególne części.

Nie mogła się nadziwić niemal nieskończonej różnorodności narzędzi i broni, które magicznym sposobem kryły się pod pokładem w lukach bagażowych i skrytkach.

Ale przypomniała sobie, co powiedział tam, na jej atolu: przeżył na otwartym morzu piętnaście księżyców nie odwiedzając żadnego atolu...

Pomogła mu przerzucić przez burtę dzwon ratunkowy. Dziecko przyglądało się temu z szeroko otwartymi oczami. Trimaran z powrotem przybrał wygląd trawlera. Żagiel obrotowy brzęczał pracując. Żeglarz znowu wszedł pod pokład, tym razem w ciasną przestrzeń na rufie, i wyszedł z naręczem walcowatych przedmiotów.

-Co to jest? - spytała.

-Flary - odparł.

To słowo nic dla niej nie znaczyło, dopóki ich nie zapalił i nie zaczęły gwałtownie sypać iskier. Wsadził je pod wodę. Po co? - pomyślała. Przecież woda na pewno zgasi płonące patyki...

Wszedł do wody. Aparatura do zanurzania była już gotowa.

- Wchodź! - wrzasnął.

Enola oczami jak spodki chłoneła te wszystkie czynności. Spytała prosząco Helen:

-Ja też mogę wejść?

-Co z dzieckiem?! - zawołała Helen.

-Powietrze jest tylko dla jednej osoby - odkrzyknął. - Wchodź już do wody!

Popatrzyła na dziecko przepraszająco. Dziewczynka przyjęła to ze zrozumieniem dorosłego. Trzęsła się z emocji. Helen wskoczyła obok Żeglarza.

Woda była zimną, ale odświeżającą. Helen dostała na całym ciele gęsiej skórki.

- Wchodź do dzwonu - powiedział Żeglarz.

I zanurkowała, wpłynęła do konstrukcji z siatki, znalazła otwór balonu z powietrzem, wypłynęła w nim na powierzchnię. Co on tam robi? - pomyślała. Balon wzdał się wokół niej, zamknął u dołu i nagle znalazła się w wielkiej bańce powietrza... którym mogła oddychać.

Widziała go na zewnątrz balonu. Nie potrzebował powietrza, nie musiał używać żadnej aparatury do oddychania. Jego aparaturą były skrzela za uszami. Włosy miał rozrzucone, rybią twarz. Unosił się pionowo w wodzie. Bezdźwięcznie spytał:

- W porządku?

Pokiwała głową w środku tego przejrzystego kokonu i unosząc kciuk dała znak, że wszystko gra.

Odciał cumy i całe urządzenie zaczęło opadać w dół, obciążenie ściągało je coraz głębiej i głębiej...

Żeglarz trzymał rękę na siatce i zjeżdżał w dół razem z dzwonem. Ze środka przejrzystej bańki Helen spoglądała na meduzy i innych mieszkańców morza, pływających w polu jej widzenia. Niektóre ze stworzeń sunęły, inne jakby się czołgały. Wobec ich kolorów ponure niebieskości, brązy i szarości Wodnego Świata wyglądały żałośnie ubogo. Chociaż niektóre z tych istot były dziwne, Helen w swojej powietrznej bańce zapewne wyglądała wśród nich swojsko.

Dzwon opadł na głębokość, do której promienie słońca już nie dochodziły, ale tuż w dole jaśniały kule różanego światła, które zaczęło rozjaśniać ten świat. Gdy dzwon opadł niżej, Helen zdała sobie sprawę, czym są te kule. To płonące patyki, flary, nadal opadały w dół, wskazując im drogę jak różowe latarnie.

Dzwon prześcignął flary i wkroczyli w mętny mrok.

Co to ma wspólnego z Suchym Łądem? - pomyślała. Nigdzie w całym Wodnym Świecie nie jest bardziej mokro!

Wtem dzwon zakołysał się i przestał opadać. Woda złagodziła lądowanie. Coś stałego! Spojrzała w dół. Dzwon stał na czymś ciemnym, czymś twardym.

Nie widziała nic, nawet Żeglarza - w którymś momencie odsunął się. Gdzie on jest? - pomyślała. Zaczęła płycej oddychać. Poczula się uwięziona w swojej bańce. Woda napierała. Para gromadząca się po wewnętrznej stronie kokonu zaciemniała pole widzenia jeszcze bardziej...

Helen opanowała się. Zwalczyła panikę. Oczyściła z pary plastik, czy co to było. Spojrzała przez utworzony okrąg i zobaczyła Żeglarza.

Przez chwilę była zaskoczona, ale uspokoił ją, wyraźnie układając usta w słowo: "Zaczekaj".

I niebawem flary dogoniły ich. Koziółkując przyniosły ze sobą sztuczny różany świt. Rozbłysnął nad pejzażem, na którego widok zaparło jej dech w piersiach.

To był wspaniale poszarpany horyzont podwodnego miasta liczącego setki lat. Pokrywały go niesłychane narośla morskiej fauny. Widziała przeogromną płytę nagrobkową cywilizacji połkniętej przez morze.

Helen - w swojej bańce, w swojej klatce - spoczęła na skraju dachu. Wokół niej rozciągało się oszałamiające bogactwo - jak je nazywano - "drapaczy chmur", tylko że nie dotykały chmur, ale sięgały jak prostokątne kamienne palce w ocean nad sobą. Niesłychana perspektywa miejskiego świata poniżej sprawiała, że Helen kręciło się w głowie.

W tym momencie Żeglarz ściągnął dzwon z dachu.

I teraz spadali w dół, zanurzali się obok rozpadających się futryn okiennych... spadali

przez, wydawałoby się, wieczność. Jak niewiarygodnie wysokie były te budowle! Wiatrak jej atolu wydawał się ogromny; tu byłby zabawką.

Woda przytłumiła brzęk, z którym dzwon wylądował na dnie - na poziomie "ulicy" - i tu flary odsłoniły najbardziej nieprawdopodobne, niemniej jednak nie dające się zapomnieć obrazy. Wodorosty tańczyły przed wielkim gmachem noszącym napis "First National Bank". Ławice węgorzy przepływały przez pozbawione szyb okna pojazdu oznaczonego "Miejskie Przedsiębiorstwo Autobusowe". Latarnie były ozdobione wodorostami. Pojazdy - w czasopismach określane jako "samochody" lub "auta" - stały mniej lub bardziej przeżarte rdzą. W oknie - zapewne było to okno sklepu - budynku o nazwie "Nordstorm" stała postać kobiety. Był to rodzaj posągu, nagiego, ale gładkiego i pobieżnie wykończonego. Na szyi miał błyszczące szklane kamyki, które oblepiły skorupiaki. I wreszcie wszędzie prąd poruszał długie ołowiane skrzynie... Trumny?

W ten bajkowy i bajecznie żalobny krajobraz wsunął się Żeglarz i zebrał trochę mułu z dna oceanu. Miał go pełne ręce. Pokazał ich zawartość Helen...

...to była jego ziemia.

Po chwili rozplynęła się w wodzie. Prąd stopniowo zabierał ziemię, która kładła się brązowymi pasemkami, rozmywała, gubiła w morzu, odsłaniała wnętrze dłoni Żeglarza.

I w piersi Helen coś umarło.

Na rufie Enola przypatrywała się głębokościomierzowi. Zanim Żeglarz zniknął w wodzie, ostrzegł dziewczynkę surowo:

- Nie dotykaj niczego.

I nie dotykała.

Obserwowała tylko głębokościomierz wskazujący zanurzenie Helen: dwadzieścia... trzydzieści... czterdzieści... jak głęboko... siedemdziesiąt... osiemdziesiąt... dziewięćdziesiąt...

Jak głęboko człowiek może zejść? - zdumiewała się. Ale Żeglarz nie był, dokładnie biorąc, człowiekiem. Miała nadzieję, że nie zabierze Helen tak głęboko, że ta poczuje się niedobrze albo nawet umrze czy coś.

Wreszcie wskaźnik zatrzymał się na stu dziesięciu metrach. I stał tak długi, długi czas.

Właśnie gdy Enola już zaczęła się martwić, wskaźnik zaczął informować o podróży w odwrotnym kierunku: sto... dziewięćdziesiąt... osiemdziesiąt...

Westchnęła, uśmiechnęła się do siebie z ulgą. Jej przyjaciele wracali. Popatrzyła na wodę. Zastanawiała się, kiedy ujrzy klatkę. Nie zauważyła, ile minęło czasu, odkąd zniknęli jej z oczu, tak była pochłonięta wpatrywaniem się w głupi wskaźnik...

Zobaczyła tam coś... coś niebieskiego, coś niewyraźnego... nie klatkę, ale coś innego,

coś żywego. Delfiny?

Nie...

Rekiny!

Przerażona odchyliła się na moment w tył. A potem westchnęła z ulgą, szczęśliwa, że jest bezpieczna tu na łodzi, gdzie te potwory nie mogą jej wyrządzić żadnej krzywdy...

Żeglarz pomógł kobiecie wejść na rufę. Oboje złapali oddech. Dzwon ratunkowy podskakiwał na powierzchni. Kokon sflaczał kryjąc w środku membranę.

-Nie... nie wiem - powiedziała wstrząśnięta Helen potrząsając głową. - Przez cały czas... nie miałam pojęcia, że tam... są miasta.

-Nikt nie wie - powiedział. - Oprócz mnie. I teraz ciebie.

Wtedy zobaczył. Łodzie Dymiarzy na wodzie. Otoczyły trimaran. Śladu dziecka. Żadnego Dymiarza na pokładzie. Ale zardzewiałe łodzie na sok pędny były wszędzie, otaczały go ze wszystkich stron.

Ona też je zobaczyła i złapała go za ramię.

- Potrafisz nas stąd wyciągnąć? - szepnęła. Spod pokładu zahuczał rozkazujący głos:

- Powiedziałbym, że można na to odpowiedzieć dwojako.

I Dymiarz - nie zwyczajny, byle jaki Dymiarz, ale ktoś w rodzaju wielkiego generała Dymiarzy, jednooki, łysy, szczerzący zęby, w zniszczonym battle - dresie - wyszedł z kabiny.

- Nie ma mowy - rzekł uśmiechając się koszmarnie. - I nie ma sposobu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zza pleców wodza, z kabiny na głównym pokładzie, wyłoniło się dwóch Dymiarzy - jednym z nich była jasnowłosa kreatura o rysach znamionujących okrucieństwo. Handlarz z atolu, szpieg.

Skand.

Na pokładzie leżała odbezpieczona kusza. Wódz Dymiarzy i jego dwaj ludzie szczerzyli z pychą zęby, patrząc na Żeglarza i kobietę. Wyglądało na to, że nie zauważyli broni...

Żeglarz rzucił się do niej.

Ale potężna żyłasta dłoń uniosła ją z pokładu. Żeglarz wylądował na kolanach. Miał przed sobą prostokątną, wyzywająco uśmiechniętą twarz Skanda.

Podetknął Żeglarzowi pod brodę koniec kuszy, zmusił do odchylenia głowy.

- Powinieneś postawić mi tego drinka, Ziemiarku - powiedział Skand.

Poderwał Żeglarza na nogi i pchnął w tył obok kobiety.

Dymiarze zaczęli wylazić na pokład łodzi. Ich zarośnięte, kretyńskie gęby jak zakłęte obserwowały przywódcę kroczącego po trimaranie.

Wódz Dymiarzy tak naprawdę nie miał potężnej postury, niemniej jednak przyciągał uwagę. Zapalił dymnego patyka. Łysą głowę miał spaloną na czerwono słońcem. Buńczuczny krokiem zbliżył się do Żeglarza i Helen.

- Najpierw wypada się przedstawić - powiedział. - Jestem Diakon...

To imię było aż nazbyt dobrze znane Żeglarzowi. Znał je każdy w Wodnym Świecie i budziło powszechny lęk. Ale Żeglarz zachował twarz bez wyrazu. Nie da temu aroganckiemu wandalowi satysfakcji z jego ponurej sławy.

- Może widziałeś mnie już wcześniej. Tylko nie przypominasz sobie mojej twarzy... - powiedział Diakon.

I wódz Dymiarzy zsunął zastępującą opaskę gogle. Odslonił koszmarnie zwęgloną dziurę, w której kiedyś miał oko. Przysunął się blisko Żeglarza, wpatrując się w niego jak jakiś obłąkany cyklop.

- Ale to może dlatego, że nie zawsze tak wyglądałem. Żeglarz zachował twarz bez wyrazu.

Diakon cofnął się. Przesunął opaskę na poprzednie miejsce.

- Otóż, jak podejrzewam, ona jest gdzieś blisko... Żeglarz wiedział, kim jest ta "ona".

Piraci wyraźnie przybyli po dziecko. Kobieta drżała. Ale chociaż miał do Helen o niejedno pretensję, na pewno nie nazwałby jej tchórzem. Bała się o dziecko. Łudził się jednak nadzieją, że nie będzie rzucała wzrokiem po pokładzie, zdradzając jedną po drugiej możliwe kryjówki.

Jak luk dziobowy, do którego Enola często się chowała w poszukiwaniu samotności.

Żeglarz potrafił ją tam sobie wyobrazić. Nieprzytomna ze strachu, kuli się w ciemności ściskając pudełko kredek. Każdy krok na pokładzie odzywa się gromem w jej głowie. Głosy rozchodzą się echem, jakby trimaran nawiedziły demony.

- Moglibyśmy rozpirzyć tę łódkę i jej poszukać - powiedział Diakon. Rozważał możliwości.

Potem wódz Dymiarzy wyciągnął otwarte ręce. Był to gest tak zdecydowany, że Żeglarz od razu zdał sobie sprawę, iż to jakiś rytuał.

Zabójczy rytuał: Skand i Dymiarz strażnik położyli na tych dłoniach rewolwery.

Diakon uśmiechnął się tak szeroko, że mało policzki mu nie pękły. Stał między Żeglarzem i kobietą. Podniósł ręce. Lufą jednego rewolweru dotknął skroni Żeglarza, drugiego - Helen.

- Ale wolałbym raczej, żeby mi ktoś powiedział - rzekł niedbale. - Zniszczenie takiej niezwyklej jednostki sprawiłoby mi wielką przykrość. Wpakowałeś kupę roboty w tę balię, no nie, ryboludku?

Żeglarz milczał. Krążek zimnej stali mocniej wbił się w jego skroń.

- Oto zasady tej gry - powiedział zachwycony samym sobą Diakon. - Kto pierwszy powie mi, gdzie jest dzieciak - żyje. Drugi... no, prawdę mówiąc, nie ma drugiego miejsca w tej grze.

Nie zwracając uwagi na broń kobieta odwróciła głowę i wbite pełne niewiary spojrzenie w Żeglarza. Odpowiedział jej tym samym. Nie ufał jej ani trochę więcej niż ona jemu...

- Osobiście w tym wypadku o wiele bardziej wolałbym poczęstować cię spermą diabła - szepnął jej uwodzicielsko Diakon.

Miażdżące spojrzenie, jakim Helen obdarzyła zbira, prawie rozbawiło Żeglarza. Lecz Diakona ono bynajmniej nie rozweseliło.

- Ale wydaje mi się, że nie powiesz mi, co nie? - zapytał, jakby Helen sprawiła mu zawód.

Wzruszył ramionami i łypnął jednym okiem na Żeglarza. Pchnął go lufą w skroń.

- No, już, rybulko - powiedział. - Co powiesz?

Żeglarz nie odzywał się.



Skand szarpnął go za włosy. Odsłonił skrzela.

- Nawet nie jesteście jednego gatunku! - wrzasnął Diakon. - Chociaż ty nie należysz do żadnego.

Żeglarz nadal milczał.

- To tylko balast. Jak wszystkie kobiety. - Diakon pochylił się. Z ust cuchnęło mu straszliwie dymnymi patykami. - Powiedz tylko słowo i zniknie z twojego życia. Jakiegokolwiek by ono było.

Helen wtrąciła się szybko:

- Jeśli mu powiesz, zabije nas oboje.

Uderzył ją grzbietem dłoni tak, że przeleciała kilka kroków po pokładzie. Cios rozszedł się echem jak wystrzał z rewolweru.

- Nie uprzedzajmy biegu wypadków - powiedział łagodnie Diakon. Znowu pochylił się nad Żeglarzem i szepnął: - Jak mi nie powiesz... to przysięgam na Posejdona, że spale twoją łódź.

Ten cuchnący oddech powinien wyprowadzić Żeglarza z równowagi. Ale on poczuł całkowity spokój. Jakby otulił go wygodny koc. Ohydny jednooki wódz Dymiarzy ukazał mu sprawę w całej ostrości - w Wodnym Świecie byli ludzie zasługujący na coś gorszego niż podejrzenie gardła; ale byli też inni, za których warto oddać życie.

Mijając wzrokiem lufę rewolweru Diakona zatrzymał wzrok na Helen. Początkowo odpowiedziała mu twardym spojrzeniem. Ale widocznie rozpoznała zmianę w jego postawie, bo w jej oczach odbiło się rosnące uspokojenie.

W tym wspólnym milczeniu Żeglarza i kobietę złączyła więź, która chociaż nie nazwana słowami, wcale nie była przez to słabsza.

Być może Diakon też to wyczuł, a może tylko zdał sobie sprawę, że nie wyciągnie odpowiedzi od żadnego z nich. W każdym razie cofnął lufy od skroni. Ale to nie był koniec przesłuchania.

Diakon zadał Żeglarzowi cios w szczękę. Uderzony poleciał w tył i wpadł z rozpędu na maszt. Osunął się w dół i siadł na tyłku.

- Niech to szlag - powiedział Diakon.

Żeglarz, siedząc, przesunął rękę za maszt. Udawał, że jest bardziej ogłuszony, niż było w rzeczywistości. Wkrótce znalazł przedmiot swoich poszukiwań. Pętlę ręcznego uchwytu linowego...

Nie wypuszczając rewolwerów z dłoni, Diakon zwrócił się do blond zastępcy:

- Odśwież moją pamięć. Co się dzieje, gdy żadne nie gada?

Wydawało się, że Skand znalazł się w kropce. Wreszcie wzruszył ramionami i powiedział:

- Pierwszy raz się to zdarza. Pętla poszerzała się...

Sfrustrowany Diakon rozejrzył się po pokładzie. Błyski w jego oczach zdradzały ożywiony namysł.

- W porządku - powiedział i uniósł jeden rewolwer. - Jak nie chcą nam powiedzieć, gdzie jest dzieciak, oto co zrobimy. Zabijemy oboje...

I wystrzelił dwukrotnie w powietrze. Żeglarz skrzywił się. Wiedział, co to za sobą pociągnie. Dziecko wyskoczyło gwałtownie z luku dziobowego, krzyząc:

- Nie, nie!

Jego rozpacz zamieniła się w radość, gdy ujrzało Żeglarza i Helen nadal żywych, ale natychmiast przeszła znowu w żal.

- O, dziecięca naiwności! - powiedział Diakon. - Ale całym sercem uwielbiam te niewinne bąki. Przynieście ją tu.

Strażnik złapał dziecko jak przedmiot. Bezceremonialnie rzucił je przed Diakonem.

Wódz Dymiarzy pochylił się, zsunął tunikę odsłaniając tatuaż. Zarechotał z radości. Podniósł dziecko trzymając je pod pachami i pokazał plecy z rysunkiem Dymiarzom.

- "Bierzecie i jedzcie!" - krzyknął. - Tak kończy się kazanko na dzień dzisiejszy...

I Dymiarze zaczęli wiwatować, a Diakon stał triumfalnie na pokładzie.

Inny pirat wyłonił się z kabiny na głównym pokładzie.

- Patrzcie! - zawołał.

Żeglarz poszerzał pętlę uchwytu linowego. Serce w nim zamarło; facet miał jego "National Geographic".

Ale nie miał ich długo. Złapał je Diakon i zaczął przeglądać z szeroko wytrzeszczonymi oczami, opadniętą szczęką, jakby zaraz miała z niej zacząć kapać ślina.

- Patrzcie na tę ziemię - powiedział zduszonym głosem przeglądając zdjęcie za zdjęciem. - Nawet nie mogę zacząć... wspaniałe! Tylko popatrzcie na to kwadratowe ujęcie!

Strażnik podszedł do Żeglarza i szarpnięciem poderwał go na nogi, ale ten nie wypuszczał pętli, którą trzymał za plecami. Dymiarz miał oko na więźnia, ale nie pracowało ono uczciwie; uwaga strażnika skupiała się na Diakonie. Wódz chłonał magnetyzujące zdjęcia z Czasów Lądu.

Wreszcie Diakon z ociąganiem zwrócił się ku Enoli. Ale cenne czasopisma ścisnął mocno w dłoni.

- Zdejmie jej tunikę i połóżcie małą, żebyśmy mogli lepiej przyjrzeć się tym znakom...

Kolejni Dymiarze weszli na pokład trimaranu i wypełnili rozkazy. Skand i następny pirat dołączyli do Diakona. Patrzyli na plecy Enoli, jakby były posiłkiem, w którym mieli uczestniczyć.

-Czy to ma dla ciebie jakiś sens? - spytał Diakon wskazując znaki Skandowi.

-Nie.

-Ja też nie potrafię tego odczytać... Zrobimy to na “Deez”. - Wskazał na Enolę rulonem czasopism. - Mamy to, po co przyszliśmy.

Skand zerknął na Żeglarza i Helen.

-Co z nimi?

-Załatw ich.

-A łódź?

-Spal.

Skand zmarszczył czoło.

-To łódź jak marzenie, Diakon.

-Jest skażona. Nieczysta. Rybia. Poza tym obiecałem, że to zrobię, a ja zawsze dotrzymuję obietnic. Już, do roboty!

Jednym płynnym ruchem Żeglarz zarzucił pętlę na szyję strażnika i kopnął dźwignię. Przeciwwaga spadła w dół...

...i Dymiarz wyskoczył w górę masztu, który stał mu się szubienicą.

Żeglarz złapał Helen za rękę, pociągnął za sobą. Pobiegli ku rufie. Skoczyli przez burtę. Kule Skanda wpierw przesyły powietrze - żywioł, który właśnie opuścili uciekinierzy, a potem pogrzały się w wodę - inny żywioł, w którym się głęboko zanurzyli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Prowadził ją, mocno ściskając za przegub, i płynęła za Żeglarzem, aż nagle wynurzyli się w otworze studni czerpalnej w głównym kadłubie. Helen nie miała pojęcia o jej istnieniu.

Żeglarz unosił się na wodzie. Czekał cierpliwie, aż Helen nasyci płuca powietrzem. Serce biło jej mocno.

-Enola tam jest - szepnęła.

-Wiem. Nic na to teraz nie poradzimy. - Spojrzał na nią lodowato. - Musimy zejść głęboko.

-Głęboko?

-Bardzo głęboko. I zostać głęboko. Poczula zawrót głowy.

-Jak? Nie potrafię oddychać pod wodą jak ty... Poglądził ją po twarzy. Ten gest był zaskakujący, czuły.

-Będę oddychał za nas oboje.

Napastnicy musieli usłyszeć ich rozmowę, bo nagle wystrzeliwane na oślep kule przeszły kadłub. Skinął jej głową. Poszła w jego ślady, zanurzyła się.

Płynęli głębiej, coraz głębiej, podczas gdy kule ich goniły, ale nadaremnie, pościg spowalniała woda, pograżały się w niej nieszkodliwie jak ołowiane ciężarki. Ale powietrza uchodzącego coraz cieńszymi strumyczkami było coraz mniej i Helen ogarniała panika.

Tonę - pomyślała. Niebioso, pomóżcie mi, tonę!

Żeglarz zatrzymał się, stanął w wodzie i przyciągnął Helen do siebie.

Wyglądało to na pocałunek, ale to był pocałunek życia, gdyż Żeglarz dzielił się z nią powietrzem. Potem ujął ją za ramiona, gdy kołysali się razem pod wodą i jego wylupione jak u ryby oczy starały się natchnąć ją odwagą.

Uspokojona pozwoliła się objąć w pasie i płynęli razem coraz głębiej, machając wspólnie nogami jak młode rybki uczące się pływać. Od czasu do czasu zatrzymywali się i Żeglarz dzielił się z nią powietrzem. Dając pocałunki, dawał jej życie.

Tu w dole było ciemno i zimno, lecz po chwili zrobiło się jej ciepło, stał się jej bliski ten stwór... ten mężczyzna...

Po mniej więcej godzinie wypłynęli daleko od trimaranu. Był tylko punktem ledwo widocznym na horyzoncie. Ale widzieli mackę dymu, który wił się na niebie jak okropny znak zapytania. Widzieli również odpływające triumfalnie łodzie Dymiarzy.

Stali w wodzie. Helen zdrząła na myśl o losie Enoli. Czy zabili dziecko i zdarli mu z

pleców skórę, aby móc wygodniej przenosić mapę? Czy też było tylko w bezlitosnych rękach tego szalonego jednookiego wodza Dymiarzy?

- Musimy wrócić - powiedziała Helen. - Muszę wiedzieć...

Żeglarz kiwnął głową. Kołysał się tuż koło niej.

- Możemy wyruszyć... będziemy tam o zachodzie.

I o tej porze dotarli na miejsce. Znów ostatni odcinek podróży odbyli pod wodą. Żeglarz dawał jej powietrzne pocałunki. Wynurzyli się ostrożnie. Nie wiedzieli, czy Dymiarze nie zostawili za sobą straży. Ujrzeni dymiący wrak dumnego niegdyś trimaranu. Dryfował jak zwęglony trup.

- Enola... - jęknęła Helen.

- Mój statek - powiedział Żeglarz.

Podpłynęli do wraku i weszli na pokład. Helen padła na kolana jak uderzona. Na klęczkach przeszła po resztkach głównego kadłuba. Nigdzie śladu Enoli.

Potem ujrzała zmiażdżone pudełko kredek. Bryzg kolorów na spalonym pokładzie.

Podniosła głowę. Ujrzała Żeglarza. Szedł z obwisłymi ramionami. Wyglądał jak wypędzony duch nawiedzający ruiny własnego domu. Od czasu do czasu grzebał w zwęglonych resztkach tego i owego. Stał potrzęsając ze znużeniem głową nad pogniecionym wrakiem swojego urządzenia do produkcji hydro.

- Sprawdź pod pokładem - powiedziała. - Zobacz, czy zostawili jej... - Nie mogła zdobyć się na wypowiedzenie słowa "ciało". - Sprawdź, czy jest tam.

Skinął głową i poszedł.

Podczas gdy wiatr poruszał spalone szczątki trimaranu, prawie słyszał piosenkę, którą Enola śpiewała: "Jest dziewczyna, która żyje na wietrze, na wietrze, na wietrze..."

Wyszedł na pokład i pokręcił przecząco głową.

- Albo ją zabrali, albo wyrzucili za burtę.

Trzymał coś w dłoni, butelkę, którą włóczęga przehandlował za pół godziny faworów Helen. Starożytny zółtkle strony nadal były w środku.

-Przeoczyli to - powiedział. Kucnął obok niej. - Może uda się nam to wymienić na trochę hydro.

-Z kim? Z mewami?

-Mamy szczęście, że zostawili po sobie cokolwiek.

-Szczęście? - Jej śmiech był chrapliwy, bliski hysterii. - Szczęście?!

-Musimy żyć dalej.

-Nie mogę żyć dalej. - Łzy pociekły jej strugami po policzkach. - Nie bez niej... i bez

żadnej nadziei zobaczenia Suchego Łądu.

Wpatrywał się w nią. Jak można mieć tak pustą twarz, tak nie dającą się odczytać? Czy w tych oczach była nagana, czy wsparcie? Kto wie? Kto, do diabła, wie?

-Nie... nie chcę nawet żyć, jeśli nic nie zostało... jeśli nie ma nadziei - powiedziała.

-Jesteśmy my - oznajmił i teraz zrozumiała. W tych twardych oczach była czułość! Jak cudowne wydałoby się jej to uczucie, zanim ta łódź została spalona, przemieniona w kawałek zwęglonego śmiecia, zanim te dzikusy porwały cudowne dziecko, które było dla niej - dosłownie i symbolicznie - nadzieją na lepsze jutro.

Sięgnęła po butelkę, którą trzymał w rękach razem z cennymi kruchymi stronami. Widziała na jednym ze zdjęć biegające dzieci. Na łądzie. Na stałym łądzie. Na ziemi. Pokazała to Żeglarzowi.

-To mieli starożytni - przypomniała mu. Wskazał na morze i zniszczoną łódź.

-A to z tym zrobili. Zastanowiła się chwilę. Skinęła głową.

-Masz rację... masz rację...

Z pogardą wskazał na swoje skrzela.

- I dlatego też jestem tym, kim jestem...

Wstał. Uzbroił się w zdecydowanie jak w ochronny pancerz i szybkim krokiem podszedł do powyginanego urządzenia do recyklingu hydro. Zbadał je w poszukiwaniu części nadających się do uratowania.

Powolne dryfowanie wraku wprowadziło Helen w łagodnie ironiczny nastrój, w rodzaj cichej rozpaczki.

- Śmieszne - zauważyła. - Zawsze myślałam, że Suchy Łąd unosi się na wodzie. Płynie z wiatrem. Wyobrażałam sobie, że to dlatego tak trudno go znaleźć...

Wstał rezygnując z naprawy urządzenia - przynajmniej chwilowo - i spokojnym krokiem podszedł do niej.

- Czemu wierzyłaś w niego tak mocno, skoro pozostali myśleli inaczej? Nawet gdy kłócili się z tobą z tego powodu?

Wskazała na swoje stopy.

- Bo ludzie nie zostali stworzeni do życia na morzu... mamy ręce i stopy. Powinniśmy chodzić... po czymś stałym.

Przesunęła palcami po kolorowej plamie z kredek. Zaczęła płakać.

-Brak mi jej głosu... jej piosenek. A tobie? Odwrócił wzrok.

-Brakuje mi mojej łodzi.

Z jakiegoś niejasnego powodu to, co powiedział, nie wydało się jej dowodem

nieczułości...

- Wiesz, tobie jest o wiele łatwiej w samotności niż mnie.

Przykucnął obok.

- Urodziłem się na atolu - powiedział cicho. Był to naprawdę szept, niemal ginący na wietrze. - Ludzie chcieli mnie zabić. Byłem odmieńcem.

Pogładziła go po ramieniu. Opuścił wzrok.

- Moja matka nauczyła mnie czytać, ale umarła młodo. Niektórzy, kiedy są poniewierani, stają się silniejsi...

Wiedziała, że mówił o sobie.

-...inni, tak łagodni jak ona, po prostu rozsypują się na kawałki.

-A co z twoim ojcem?

Uśmiechnął się. Nigdy nie widziała bardziej skąpego i gorzkiego uśmiechu.

-Ojciec nie trzymał mnie przy życiu z czystej dobroci. Wykorzystywał do łowienia ryb. Uwiązywał na linie do sondowania.

-...Co?

-Wiedział, że w innym razie nigdy bym nie wrócił. Więc zabiłem go i ukradłem łódź.

Wiatr nagle wydał się zimniejszy.

- Od tamtej pory byłem na wielu łodziach - powiedział Żeglarz.

Pogładziła go po twarzy, odgarnęła mu włosy z czoła.

- Ile miałeś lat?

-Tyle co dziecko. Może trochę więcej.

-Enola wiedziała, co to znaczy być innym. Myślę, że dlatego cię polubiła.

Nic nie odpowiedział.

Znowu łagodnie odgarnęła mu włosy.

-Po ucieczce z atolu... kiedy ci się ofiarowałam... czemu wtedy mnie nie wziąłeś, chociaż mogłeś?

-Bo... mnie nie chciałaś.

Pochyliła się i bardzo łagodnie ucałowała go w usta. Cofnął się jak oparzony.

- Nie... nie - powiedziała łagodnie, bardzo łagodnie. - Jest, jak być powinno. To, co robiliśmy poprzednio... źle zaczęliśmy. Ja źle zaczęłam. Spróbujmy raz jeszcze. Ja chcę spróbować raz jeszcze...

“Pocałowała go znowu, ale nie zareagował, nie oddał pocałunku. Miał na twarzy kamienną maskę. Ale było tam coś jeszcze, coś w jego oczach... strach?

-Czy byłeś... czy byłeś kiedyś z kobietą? Odwrócił wzrok.

-Nigdy nie byłeś z kobietą, prawda? - spytała. Wzruszenie ramion zastąpiło odpowiedź.

- Od dawna nie byłam z mężczyzną - przyznała. - Może zapomniałam, od jak dawna...

Przysunęła się do niego. Pokazała, jak ma ją objąć. Nagle wydał się bardzo młody, jak dziecko...

- Byłeś dobry. Nauczyłeś Enolę pływać - powiedziała. - Uczmy się nawzajem, teraz...

Zachód słońca barwił morze szkarłatem i złotem. Jakby ocean zajął się ogniem i trimaran - z którego nadal wznosiły się macki dymu - był węgielkiem wypadłym z ogniska. Na tym węgielku leżeli oni i uczyli się, kochali, odszukiwali nadzieję. Jedno w ramionach drugiego.

Do następnego popołudnia skonstruowali ze szczątków łodzi tratwę. Wiedziała, że jest mu ciężko - to musiało przypominać grzebanie w kościach trupa ukochanej osoby.

Ale zbudowali tratwę (czy raczej głównie on zbudował) i popłynęli z prądem. Odpoczywali, czekali, aż wiatr zdecyduje się, w którym kierunku ich zabierze.

- Helen... - rozległo się wołanie niosące echem po wodzie.

Czy śniła?

Zamrugnęła powiekami, otworzyła oczy i spojrzała w zaskoczoną twarz Żeglarza.

- Czy to ty...?

Przeszukali wzrokiem morze, ale nic nie znaleźli i spojrzeli na siebie wzruszając ramionami. Kto do nich mówił? Wielki Dostarczyciel? A może Posejdon?

- Nie, nie, nie... tutaj!

I w ich polu widzenia pojawiła się niesłychana zjawia. Tuż nad ich głowami, trochę z prawej strony, nadpłynął sterowiec w kształcie cygara. U góry balon zszyty z łąt, u dołu siedzisko. A sterował tym wszystkim... stary Gregor.

W Helen zakipiła radość. Zerwała się na nogi. Tratwa się zakołysała.

-Gregor!

-Mądrze pomyślane - rzucił lekko starzec, jakby ostami raz widzieli się przy śniadaniu

- podpalenie tej twojej łodzi... nigdy bym cię nie zobaczył, gdyby nie dym. Kto jest z tobą?

Żeglarz wstał również. Przyglądał się rozkołysanemu nad łodzią przybyszowi.

- Ale to Ichthyus sapiens\ - powiedział Gregor. Pracował przy sterach. Radość zagościła na jego siwobrodym obliczu. - Czy to naprawdę ty?

Żeglarz nic nie odrzekł, ale Helen zawołała:

-Co ty tu robisz?



-Szukam tych, którzy przeżyli najazd na atol. Reszta naszych jest na wschodnich nabrzeżach. - Zbliżał się.

Jego uśmiech dorównywał wielkością sterowcowi. - To cud, cud całą gębą! Łapcie cumę... spuszczyć kilka lin i wciągnę was...

Niebawem drapali się na siedziska sterowca, które kiedyś, bardzo dawno temu, zaprojektowano z myślą o Helen i Enoli.

To wreszcie popchnęło roztargnionego wynalazcę do zapytania:

-O, rety... dziecko! Gdzie Enola?

-Dymiarze ją zabrali - odparła posepnie Helen. Rozjaśniła się wskazując na Żeglarza. -  
Mnie też by zabrali, gdyby nie on.

Żeglarz wyglądał na trochę zaniepokojonego przebywaniem na łodzi unoszącej się na niebie. Patrzył tęsknie na zniszczony trimaran.

- Postąpiłeś bardzo po ludzku - rzekł Gregor. I odpłynęli.

Po niebie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Punkty widoczne na horyzoncie stopniowo rozrosły się w skupisko dziadowskich łodzi tworzących jedną, wielką, połączoną trapami tratwę. Ci, którzy przeżyli atak Dymiarzy, zebrali się razem i budowali nową Oazę.

Helen odwróciła się w siedzisku sterowca. Wiatr zmierzwił jej włosy podczas lotu. Czowała coraz większą dumę z powodu wytrwałości mieszkańców jej atolu. Ale równocześnie wiedziała, że nie jest to sposób na życie. Atole są skazane na zagładę. Wysiłki, nadzieje Atolczyków na lepsze jutro były źle ukierunkowane...

Zauważyła minę Żeglarza, który uczeplił się gorączkowo dłońmi poręczy siedziska. Mocno ścisnął między udami butelkę z dwoma cennymi stronami czasopisma.

Wyglądał tak, jakby bał się latania. Ale wiedziała, że już kilka godzin temu oswoił się z ruchem sterowca. Chodziło o coś innego.

-Nic ci nie jest? - spytała go.

-To nie tak.

-Co?

-Powiniennem zostać na tratwie. Wtedy zrozumiała.

-Nie skrzywdzą cię - zapewniła. Spojrzał na nią sceptycznie.

Pogładziła go po ramieniu.

- Będą ci wdzięczni... ugoszczą cię tak jak Gregor. Wiatr unosił mu włosy. Widziała skrzela za uszami.

-Ostatnim razem ugościli mnie na barce organicznej - powiedział.

-Opowiem im, czego dokonałeś... jak uratowałeś mi życie...

Potrząsnął przecząco głową.

-Nie chcę zostawać. Chcę tylko łódkę. - Wskazał głową butelkę. - Dam im moje kartki za byle co, co będzie pływało.

-Czy na tym naprawdę ci zależy?

-Na tym naprawdę mi zależy.

Przyjrzała mu się uważnie, ale nic nie mogła wyczytać z jego twarzy.

-Zabierzesz mnie ze sobą? Zmrużył oczy.

-Czy na tym ci zależy?

-Chcę odszukać Enolę.

-Sama?!

Teraz ona potrząsnęła przecząco głową.

- Chcę ich namówić, żeby porozłączali te łodzie i popłynęli za Dymiarzami... za Enolą...

Przyglądał się jej długą chwilę. Westchnął i zaśmiał się ponuro.

-Nie zrobią tego.

-Może zrobią - powiedziała uparcie.

-Dziecko może już nie żyć.

-Wiem. Ale muszę spróbować. Wzruszył ramionami.

-Nie zrobią tego.

Balon zniżył się. Stary Gregor skierował go ku zbiorowisku łódek, żalosnej armadzie, którą Helen miała nadzieję poprowadzić na poszukiwanie Dymiarzy, Enoli i (czuła nowy, wielki przypływ nadziei) Suchego Łądu...

Zmierzch zamienił rybackie trawlery Nowej Oazy w kompletnie abstrakcyjne sylwetki na tle miedzianego nieba. Płaskodenne łodzie spoczywały jak punkty na wodzie błyszczące złotem.

Na pokładzie zdezelowanego trawlera siedział samotnie Żeglarz i z miski wręczonej mu przez Atolkę jadł papkę. Podejrzliwe spojrzenie, jakim go obdarzyła owa kobieta, było jeszcze mniej zachęcające niż ten zimny kawałek gówna udający jedzenie.

W środku trawlera odbywał się mityng. Znowu decydowano o jego losie. I znowu nie zaproszono go na sąd nad nim samym.

Helen zapewniła go, że to nie sąd. Nikt nie usiłował ograniczyć jego wolności ani zakuwać go w kajdany; i w Nowej Oazie autorytetem był nie nadęty Starszy... nikt ze Starszyny nie przeżył masakry... ale stary przyjaciel Żeglarza - szeroki w ramionach, spalony na brąz funkcjonariusz sił porządkowych, który zachował tytuł ze starej Oazy: Pięć Prawa.

- Dopilnuję, żeby cię nie krzywdzono - zapewnił Żeglarza.

Ten uwierzył. Czekał, podczas gdy Helen - która spoglądała na niego od czasu do czasu z okna trawlera - broniła jego interesów.

Tymczasem uznał, że ten trawler posłuży mu równie dobrze jak każdy inny, i zaczął usuwać rzeczy Atolczyków. Wyrzucał je na pokład. Nie potrzebował ich nędznego dobytku. Jedynie łodzi.

Jedynie łodzi.

Stała w oknie, patrzyła na samotną postać Żeglarza, który z twarzą pozbawioną wyrazu siedział nad miską papki. Za plecami Helen Atolczycy spierali się i wyklócali w najlepsze.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- To niebezpieczne zostawić go tu nie skutego! - wrzeszczał Atolczyk.

Jakaś kobieta go poparła. Miała niemal łzy w oczach.

- On ma rację! Tu są dzieci!

Helen odwróciła się od okna i stanęła twarzą w twarz z całą grupą. Niektórzy siedzieli przy stołach, inni stali. Do diabła, strach był prawie na każdym obliczu. Wyjątek stanowił stary Gregor. Siedział na przedniej ławce i uśmiechał się pokrzepiająco. Kiwał do niej głową, dodając otuchy.

-Nie musicie się głowić, co z nim zrobić - powiedziała. - On odpływa.

-Jak? - spytał Atolczyk.

- Na jednej z naszych łodzi? - spytał gwałtownie inny. Wzruszyła ramionami.

- Możecie dać mu którąś... albo po prostu weźmie ją sobie. Sami wybierzcie.

Potężna postać Pięści Prawa rozsunęła ludzi jak ojciec małe dzieci.

- Zasłużył na tyle. I ma prawo zdecydować, czy chce odpłynąć.

Rozległy się szmery. Ale nie były zbyt głośne. Tu słowo Pięści Prawa było decydujące.

Lecz Helen wiedziała, że człowiek o kształtach giganta nie jest okrutny, że prawdę mówiąc, jest uczciwy - co potwierdziły jego następne słowa.

-Musimy podjąć decyzję - rzekł Pięść Prawa. - Helen poprosiła, żeby rozłączyć łodzie i wybrać się za dzieckiem.

-Ono jest u Dymiarzy - powiedział ktoś.

-Wysłuchajmy Helen - ogłosił Pięść Prawa wskazując przy tym na nią. Zasiadł na ławie i oddał jej głos. - Helen, mów, proszę.

Stanęła pośrodku pomieszczenia. Dumnie uniosła głowę, ale trzęsła się. Wiedziała, jak ważne jest jej małe przemówienie. Dla niej, dla Enoli, dla przyszłości.

- Świat nie został stworzony w Wielkim Potopie - rzekła. Obecni natychmiast wytrzeszczyli oczy na tę herezję. - Łąd nie został zniszczony wodą. Został przez nią przykryty.

Kobieta z tyłu zapiszczała przenikliwie:

-Starsi mówią...!

-Oni nic nie mówią - ostro ucięła Helen. - Nie żyją. Wszyscy. Ja żyję i jestem tu przed wami, żeby wam powiedzieć, iż widziałam go na własne oczy. Łąd jest dokładnie pod kilem tej łodzi... tam są miasta, martwe miasta, ale kiedyś były pełne życia.

Pomruki stały się teraz głośniejsze i Pięść Prawa je uciszył:

-Spokój! Helen... mów dalej...

-Jeśli tam w dole jest ląd, to oznacza, że może być gdzieś nad wodą. Gdzieś na horyzoncie.

Teraz rozległy się szydercze śmiechy. Ktoś zawołał:

-Ale gdzie? Ktoś inny zadrwił:

-Na jakim kursie? Jak daleko?

Bezradna Helen przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

Stary Gregor zerwał się z wigorem, który przeczył jego wiekowi.

- Moi przyjaciele, posłuchajcie mnie - zahuczał. - Znacie mnie. Mam nadzieję, że mi ufacie. Jestem przekonany, że na plecach Enoli jest wskazany kierunek, który musimy obrać, żeby trafić do Suchego Łądu. Nie rozwiązałem jeszcze tej zagadki... ale wiem jedno. Bez Enoli nigdy jej nie rozwiążę.

Wstał inny Atolczyk.

- Czy musimy słuchać tych bzdur? Suchy Łąd to oszustwo. Zdecydowaliśmy tak przed wielu laty i im wcześniej was dwoje zaakceptuje ten fakt, tym lepiej będzie dla nas wszystkich.

Zaczęło się kiwanie głowami i pomruki przeszły w gwar. Pięść Prawa wstał, uciszył go i nakazał głosowanie.

Ale jeszcze zanim uniosły się ręce, Helen знаła jego wynik.

Na pokładzie Żeglarz przygotowywał trawler do rejsu, pozbywał się wszelkiego dobytku Atolczyków. W głowie zaczął już zmieniać łódź. Będą mu potrzebne lepsze żagle. Wydobywanie dóbr z umarłych miast zajmie miesiące, zanim zbierze produkty konieczne do wymiany...

Stała obok niego.

Jej twarz się wydłużyła.

-Nie popłyną, żeby ją odbić.

-Czego innego się spodziewałaś? Westchnęła, pokręciła głową.

-Musisz zrozumieć, oni się boją... są tylko ludźmi...

-Co ty powiesz.

-Przepraszam.

Wzruszył ramionami. Kontynuował pracę.

- Nie rozumiem ludzi, choćbym był najbardziej ludzki. Dlaczego nie zatroszczą się o jednego ze swojego gatunku?

Położyła mu dłoń na ramieniu. Jej palce były delikatne jak płatki kwiatu.

-Popłyniesz jej szukać?

-Nie.

Dłoń opadła. Zmrok przechodził w noc. W Nowej Oazie nie było latarni. Być może stary wynalazca zbuduje mieszkańcom nowy wiatrak, aby Dymiarze mieli po co przyplłynąć i co zburzyć.

- Mówisz, że nie rozumiesz ludzi, którzy nie zatroszczą się o jednego ze swojego gatunku - powiedziała. Jej ton daleki był od oskarżycielskiego. - Ale sam mówisz, że też nie popłyniesz...

-Ona nie jest z mojego gatunku. Te słowa ugodziły ją boleśnie.

-Myślałam, że ty i Enola...

- Co myślałaś?

Wyglądała tak, jakby ją spoliczkował.

-Potrzebuję sześciu galonów hydro - rzekł. - Mogę dać Atolczykom moje kartki...

-Dostaniesz te sześć galonów - powiedziała rzeczowo. - Zadbam o to. Nadal mieszka tu trochę porządnych ludzi.

Kontynuował pracę. Przerwał i spytał:

- Ten zwój liny idzie razem z łodzią, tak?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego przypomniała mu:

- Enola powiedziała, że jesteś jej przyjacielem. Teraz on zareagował tak, jakby dostał policzek. Własna reakcja była dla niego zdumiewająca. Po tych jej słowach poczuł coś mdlącego w brzuchu... A może to tylko odezwała się papka?

Odpędził te myśli i wrócił do buchtowania liny.

Głos Helen drżał, gdy spytała cicho:

- Co mam jej powiedzieć, gdy ją znowu zobaczę? Co można było na to rzec? Czy nie powiedział tej kobiecie, że dziecko jest prawdopodobnie martwe? A jeśli żyje wśród tych barbarzyńców, to już lepiej, żeby było martwe. Odwrócił się do niej plecami, zajął swoją robotą, starał się jak mógł przerobić tę żalosalną balię na łódź. Nie widział Helen schodzącej z pokładu trawlera.

Stała nocą na nabrzeżu u boku starego Gregora, który objął ją ramieniem. Skrzyżowała ramiona na piersi i miała zacięty wyraz twarzy. Obserwowali Żeglarza, który stojąc u steru trawlera oddalił się w noc i znikł.

-Nie miej do niego pretensji - powiedział łagodnie Gregor. - Dla niego liczy się tylko, żeby przeżyć.

-Przeżyć to nie znaczy żyć - odparła.

-Masz rację. Ale to podstawa. Dlatego któregoś dnia będzie wielu takich jak on, cała rasa, gatunek. - Stary wynalazca zachichotał ze smutkiem. - I odważę się rzec, tak mało nas...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Enoli było zimno i bała się. W gołej metalowej celi na "brygu" - jak jakiś Dymiarz nazwał tę jednostkę - przykuto dziewczynkę za nogę do gołej metalowej pryczy na gołej metalowej podłodze.

Płonęła w niej nadzieja, i strach, który czuła, był mniejszy niż doskwierające jej zimno. Ale nie mogła powstrzymać się od płaczu. Tęskniła za Helen. Tęskniła za Żeglarzem. Myślała o swojej cudownej łodzi i znów ujrzała, oczami wyobraźni, płonący trimaran, płomienie liżące żagle, zamieniające je w popiół.

I zapłakała.

Za drzwiami celi hałas obwieścił przybycie wodza - jednookiego człowieka zwanego Diakonem. Enola słyszała, jak rozmawia ze wstrętnym blondynem o imieniu Skand.

-Co nowego? - spytał Diakon.

-Absolutnie nic - odparł Skand. - Siedzi tam tylko i chlipie.

Drzwi celi ustrzegły Enolę przed widokiem potwornych przygotowań. Chorowity Doktorek z rurkami w nosie, które biegły od toczącego się z tyłu koktajlowego wózka, trzymał w jednej ręce rybę balon, a w drugiej strzykawkę, którą wbił w rybę i nabrał płynu koloru żółci.

-Trochę drzączki z wątrobianej łączki - powiedział z uciechą. - Truje aż miło. Po tym mała zdradzi wszystkie swoje sekreciki.

-Taaa, albo kopnie w kalendarz - powiedział Diakon. Przepędził Doktorka ruchem dłoni. - Najpierw ja spróbuję z nią pogadać. Wiesz, jakie mam podejście do dzieci.

-O, tak - przytaknął Doktorek i usunął się pospiesznie w tył.

Enola usłyszała tę rozmowę, ale jej nie zrozumiała. Odryglowano drzwi małej celi i Diakon wraz z towarzyszącym mu wstrętnym Skandem wszedł i przywitał dziewczynkę uśmiechem, który na jego twarzy wyglądał jak okropna rana.

- Co za słodkie dziecko - powiedział. Skand uśmiechnął się głupio.

Diakon nachmurzył się udając współczucie.

- Co to ma znaczyć? Zdejmijcie łańcuchy z tego dziecka! Czyż jesteśmy barbarzyńcami?

Mocno owłosiony strażnik wtoczył się do środka i rozkuł dziecko.

- No, proszę - powiedział Diakon. - Czy tak nie lepiej?

Enola nie odezwała się słowem.



- Siadźże ze mną na pryczy. Weź mnie za rękę. Opornie ujęła jego dłoń. Była zaskakująco miękka.

Posadził dziewczynkę obok siebie na pryczy.

- Czy tak nie lepiej? - powtórzył z kolejnym koszmarnym uśmiechem. Wyjął prostokątny przedmiot z kieszeni poszarpanego munduru. Była to mała papierowa paczka dymnych patyków. Wyjął jednego, zapalił. Poczęstował dziewczynkę. - Zapalisz?

Pokręciła przecząco głową.

- No cóż, a co ty na... to?

Podał jej przedmiot o podobnym kształcie jak dymny patyk.

Jej rysujący patyczek.

Któryś Dymiarz wyrwał jej go z palców na trimaranie i sądziła, że już nigdy nim niczego nie narysuje. Jak bardzo pragnęła go odzyskać! Mogłaby udekorować te straszne nagie ściany...

Ale zachowała twarz bez wyrazu. Kamienną. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, bez mrugnięcia. Wyobrażała sobie, jak Żeglarz by się zachował, gdyby był więźniem tego wariata.

- Jest twój, jeśli pomożesz mi rozwiązać jeden problem - rzekł Diakon zaciągając się głęboko dymnym patykiem.

Nic nie powiedziała.

- Prawdę mówiąc, mam chyba całe pudełko tych... kredek. Tak się nazywają. Leży w moim magazynie. Chciałabyś je mieć?

Nie powiedziała nic.

- Muszę ci coś wytłumaczyć - zaczął Diakon. - Widzisz, mam tu wiernych. Wspomniałem, że jestem Mężem Bożym, no nie? No, jestem Mężem Bożym i mam tych wiernych, dobrych wiernych. Dużo wiernych. Prawdę mówiąc, przysyłają mi masę listów. - Potrząsnął głową. - Prawdę mówiąc, na kochanym "Deez" nie ma dosyć miejsca dla nich wszystkich.

- Czemu nie zrobisz, żeby było ich mniej? - spytała. Zamrugał osłupiały.

- Pardon?

- Na atolu dziecko rodzi się tylko, kiedy ma wolne miejsce - wyjaśniła. - W ten sposób jest jedzenie i hydro dla wszystkich. Dla niemowlęcia też.

Miał zmrożoną twarz, okropny zastygły uśmiech. Poklepał ją po głowie.

- Cóż za dziwaczne pytanie... Kochanie, to po prostu nie ma tu zastosowania. Widzisz, tworzymy Kościół Wiecznego Rozwoju. Zbyt wiele ludzi to nie problem.

-Nie?

-Nie, nie, nie. Nie chodzi o to, że jest za dużo ludzi. Chodzi o to, że jest za mało miejsca.

-Och.

Klepnął się po kolanach. Uśmiechnął się pod przymusem.

- Taaak... Powiedziano mi, że tatuaż na twoich plecach to tak naprawdę rodzaj mapy... Kiwnęła głową.

- Gregor mówi, że to droga do Suchego Łądu. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Wreszcie dochodzimy do jakiego takiego porozumienia! Mhm... czy przypadkiem mogłabyś, mhm... powiedzieć mi, jak odczytać tę mapę?

Pokręciła przecząco głową.

-To zawód - wymruczał Diakon. Zastanawiał się przez chwilę. - No cóż, czy twoi przyjaciele rozmawiali kiedykolwiek na jej temat? Twoja mamusia albo ta twoja wielgachna oswojona rybcia?

-Helen nie jest moją mamusią i nie powinieneś nabijać się z mojego przyjaciela - powiedziała szorstko Enola.

- Nie spodobałoby mu się to.

Diakon zamrugał po raz drugi. Miał śmieszny wyraz twarzy - jakby był rozbawiony tym, co powiedziała, i równocześnie rozgniewany.

W jego głosie pojawił się nieprzyjemny ton.

- Dziewczyno, mnie zwisa i powiewa, co jemu się podoba. To zwierzę wykuło mi oko. Jeśli go jeszcze kiedyś spotkam, odetnę mu pokrywę czaszki i zjem mózg - na surowo. Jak myślisz, czy mu się to spodoba?

Nie pokazała po sobie, że się boi. Jedynie spokojnie, rzeczowo powiedziała:

- Nie możesz go zabić.

Wstrętny blondyn zrobił krok do przodu. Wyglądał na bardzo rozgniewanego.

- Przymknę jej buzię...

Ale Diakon podniósł rękę i Skand ucichł. Bardzo łagodnie spytał Enolę:

- Nie mogę go zabić? Czemu to? Wzruszyła ramionami:

- Bo jest szybki i silny jak huragan. I jest jeszcze wstrętniejszy niż ty.

Diakon zmarszczył czoło.

- Nie ma takiego człowieka, który mógłby uzurpować sobie to miano.

Znowu wzruszyła ramionami.

- On nie jest człowiekiem.

Ten okropny uśmiech znowu się pojawił, ale Enola wiedziała, że nie świadczy o żadnym radosnym uczuciu. W tym uśmiechu była nienawiść - ten człowiek niemal promieniował nienawiścią. Gdy się nad nią pochylił, poczuła straszliwie cuchnący oddech. Musiał wypalić mnóstwo tych dymnych patyków...

- Masz rację co do swojego przyjaciela - powiedział Diakon. - To wielkie, niegrzeczne zwierzę. Trzęsę się przed nim ze strachu. Ale nie ma go i nie przyplynie. Więc nikt cię nie uratuje.

Przełknęła ślinę, ale na twarzy nie drgnął jej ani jeden mięsień. Nie było to łatwe, gdy czuła na niej ten jego cuchnący, gorący oddech.

- Nikt cię nie uratuje - powtórzył. - Kapujesz? Odsunęła się od tej okropnej gęby.

- On przyplynie... i uratuje mnie... Pochylił się nad nią jeszcze bardziej.

- No, to lepiej powiedz mi to, czego chcesz, bo inaczej będzie miał do ratowania tyle, ile zmieści się w cholernym słoiku!

Tylko patrzyła na niego.

Nagle wstał. Wydawał się bardzo spokojny, opanowany. Łagodnie poklepał ją po głowie.

- Cieszę się, że mogliśmy troszkę sobie pogadać - powiedział. - Jest nad czym myśleć.

Straż!

Wszedł zarośnięty Dymiarz.

- Zakuj brzdąca - rozkazał Diakon.

Wypadł z celi. Skand tuż za nim. Strażnik zapiął łańcuch. Enola oparła się o ścianę i szeptała do siebie:

- Przyplynie i znajdzie mnie. - Skinęła główką. Raz, drugi. - Zabierze mnie... znajdzie mnie...

Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dziadowski trawler prezentował się okazale obok wypalanej skorupy dumnego niegdyś trimaranu. Na pokładzie zniszczonej jednostki leżały narzędzia, broń i inne skarby przechowane w skrytkach. Żeglarz remontował swoją łódź.

Był właśnie w kabinie. Siedział na zwęglonej koi i oglądał mapę, której rabusie nie zauważyli, tak im było spieszo do podpalenia jego domu. Znalazł też piszący patyk - jedną z kredek Enoli, które w skrytce uratowały się przed żarem.

Naniósł kropkę na mapę i podpisał ją DENVER, nie wiedząc oczywiście, że jego charakter pisma przypomina dziecięce bazgroły. To było zatopione miasto, które niedawno odwiedził z Helen. Na tej mapie były inne kropki oznaczone nazwami dawno umarłych miast: SEATTLE, RIO, FLINT...

Ale w wielu wypadkach były tylko kropki. Miasta zniszczone starożytnym kataklizmem nie zawsze łatwo się identyfikowało.

Jednakże od wielu lat śledził te miasta na dole, aby lepiej rozumieć swój świat. A było nim podmorskie królestwo...

Ale dzisiaj w kabinie głównego kadłuba samotnego, przepalonego wraku coś go dręczyło, gdy studiował tę własnoręcznie wykonaną mapę.

Zajrzał do skrytek i znalazł - chwała Posejdonowi! - starożytną, zniszczoną mapę świata z Czasów Łądu. Kolejny raz porównał ją z własną mapą i zasepił się.

Ale po chwili się uśmiechnął.

Dodanie Denver nagle wprowadziło porządek - a przynajmniej wytłumaczyło, dlaczego wszystko było nie w porządku...

Położył swoją mapę na tamtej wspaniałej - papier jego mapy był na tyle cienki, że widać było, co jest pod spodem - odwrócił swoją mapę do góry nogami i...

...wszystkie opisane kropki pokryły się z tak samo oznaczonymi kropkami poniżej. Denver z Denver, Rio z Rio i tak dalej.

Teraz mógł zidentyfikować nie oznaczone kropki; teraz mógł...

I skojarzył jeszcze coś.

Miał tu do czynienia z wzorcem, którego nigdy przedtem nie widział...

- Niech to kraby porwą - zamruczał. - Jest odpowiedź.

Oszołomiony odkryciem mechanicznie odwrócił zrobioną przez siebie mapę. Zamierzał ją zrolować i położyć wśród uratowanych rzeczy. Wtem zauważył na niej rysunki

Enoli, uchwycone wspomnienia z ich wspólnych dni na morzu...

Trimaran pod postacią jachtu.

Helen z rozwianymi włosami.

Żeglarz wrzucający Enolę do wody (to go rozśmieszyło).

Delfinoryb wyskakujący z wody.

Żeglarz i Enola pływają (na to przestał się uśmiechać).

Łagodnie pogładził koniuszkami palców wyraziste linie malunków. Gdyby był na wraku ktoś, kto mógłby go zobaczyć, ujrzałby najczulsze, najbardziej dziecinne, najbardziej ludzkie oblicze Żeglarza.

A potem zobaczyłby, jak to oblicze twardnieje, nabiera zdecydowania, a gdy Żeglarz wszedł na pokład, to nie patrzył na nic szczególnego - ani na zrujnowaną łódź, ani na żalony trawler, ani nawet na horyzont.

Wpatrzony był wyłącznie we własne myśli. Zdecydował, co ma uczynić. Zerwał się wiatr, zmierzwił mu włosy, odsłonił skrzela, jakby zgadzał się z jego decyzją i go popędzał.

Wystrzał ze strzelby zmącił ciszę nocy, wyrwał Helen ze snu. Instynktownie poszukała ręką Enoli - której oczywiście nie było - i wyskoczyła z koi w kabinie ciekącej krypy. Przeznaczono ją na schronienie dla Helen i starego Gregora.

Gregor też się obudził. Spał na pokładzie. Teraz słyszała, jak przewraca się tam hałaśliwie z boku na bok. Słyszała innych Atolczyków, głośno tupiących po schodach prowadzących na pokłady łodzi. I wkrótce zarówno Helen, jak i oni wpatrywali się oświetloną pięknym blaskiem księżyca noc. Woda przypominała lśniącą rzeźbę z kości słoniowej. Skaziła ją obecność pary skuterów wodnych, z których ciekł sok pędny. Dosiadali ich Dymiarze.

Jeden był tłusty, drugi chudy. Obaj byli mocno owłosieni i nie domyci, do czego zapewne wszyscy Dymiarze byli urzędowo zobligowani. Obaj też uśmiechali się kretyńsko, podskakując na warczących maszynach. Silniki pracowały na jałowym biegu. Skuter chudego ciągnął za sobą ślad soku pędnego. Jak czarna koronka sięgał linii horyzontu.

Strzelał tłustszy. Dymiącą strzelbę trzymał w jednej ręce. Lufa była skierowana w niebo, jakby celowała w księżyc.

O łódź dalej od krypy Helen, na pokładzie trawlera sąsiadującego z wejściem do laguny, małej laguny Nowej Oazy - jeszcze nie było wrót, skądże - stał mocno opalony, potężnie umięśniony Pięć Prawa.

Z pokładów powiązanych łodzi rozległ się wystraszony szept. Funkcjonariusz sił porządkowych się zasepił.

- Bądźcie cicho! - zawołał.

Skutery hałasowały silnikami. Dymiarze patrzyli na siebie i uśmiechali się jak para urwisów.

-Czego chcecie? - spytał ich szorstko Pięć Prawa.

-Wszystkiego - powiedział gruby. - Ale wystarczy nam to, co macie. Zgadza się, Kość?

Kość, chudszy z pary, wykrztusił wśród chichotów:

- Zgadza, Knur.

Knur, tłusty Dymiarz, był mózgiem oddziału. Włożył strzelbę do futerału przy skuterze.

-Czekamy - powiedział krzyżując potężne ramiona.

-Czemu nie wpadniecie na górę i nie rozejrzycie się za tym, czego wam trzeba? - warknął Pięć Prawa.

Knur parsknął śmiechem. Podskakiwał na fali, kołysał się.

-Nie nabierzesz nas na ten numer. Jak nie chcecie współpracować, dobrze. Ściągniemy naszych kumpli. Wtedy "wpadniemy na górę"... wiesz, jesteśmy częścią bractwa religijnego.

-Religijnego - zachichotał Kość.

-Wierzymy w dzielenie się - potwierdził Knur.

-Zniszczyliście nasz dom! - wrzasnął jakiś Atolczyk. - Czemu nie zostawicie nas w spokoju?

Knur wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nawet religijne ludzie mają wady charakteru. Zgadza się, Kość?

I Knur spojrział tam, gdzie poprzednio był Kość. Helen też tam spojrzała. Tylko że nagle Kość zniknął.

Jedynie jego skuter wodny podskakiwał i unosił się na fali. Bez kierowcy. Mały, porzucony, widmowy, żłowiący sok pędny galeon na skażonym wyciekami morzu z kości słoniowej.

Na twarzy Knura Helen dostrzegła zdumienie. Dymiarz sięgnął do futerału po strzelbę...

...i Żeglarz wyskoczył z wody zionąc gniewem, tuż obok skutera grubasa, wylądował dokładnie na tłustej ofierze, porwał ją, ściągnął na dół. Leciały wściekle bryzgi wody, członki pojawiały się, znikwały, noga, ramię, ręka z uniesionym nożem. I wtem światło księżyca odbiło się od krwi, która sączyła się z głębi i rozlewała na powierzchni, krwi raczej czarnej niż

czerwonej.

Żeglarz z gracją wynurzył się z wody. Nadal była zmacona po walce. Podpłynął do najbliższej łodzi - do krypy - i pozwolił, żeby kilku Atolczyków wciągnęło go na pokład. Nagle wyglądali na bardzo zadowolonych z obecności tego "mutanta"... Stał na nogach. Zakrwawiony nóż trzymał w zębach. Włożył go do pochwy. Podszedł do Helen.

Miał w twarzy dzikość.

Ale była bardzo ludzka.

-Wróciłeś - powiedziała Helen. Spróbowała się uśmiechnąć.

-Odszukam dziecko - rzekł prosto.

Marny trawler Żeglarza cumował przy krypie, która teraz była domem Helen. Na wzniesionym naprędcie nabrzeżu - początku cywilizacji Atolczyków w Nowej Oazie - Żeglarz napelniał kilka starożytnych szklanych butelek sokiem pędnym. Miały nalepki "Coke" i "Coca - Cola". Po napelnieniu wpychał do nich szmaty. Obok cumował skuter tłustego Dymiarza.

Stary Gregor pomagał Żeglarzowi.

- Wiesz, jak na koszmarnego odmienca nie jesteś taki zły - zauważył starzec.

Żeglarz tylko popatrzył na niego.

- To był żart - wyjaśnił starzec. - Miał być przyjacielski.

- Wiem, o co chodzi z tym rysunkiem. Gregor zmarszczył czoło.

- Jakim rysunkiem?

Żeglarz nie odpowiedział, tylko wsadził szmatę do kolejnej butelki.

- Och! - nagle zawołał Gregor. - Tym, który ci pokazałem! Na barce organicznej! Tak?

Żeglarz kiwnął głową. Gregor trząsł się z podniecenia.

-Czy to mapa? Zawsze tak myślałem. Ma zaznaczoną długość i szerokość, ale...

-To mapa - powiedział Żeglarz. - Ale jest do góry nogami.

-Do góry...?

-Nogami - dokończył Żeglarz. Kolejna napelniona butelka. Kolejna szmata.

-Świat... - Pofałdowane czoło Gregora świadczyło o głębokim namyśle. - Czy to możliwe, że bieguny były... odwrócone?

-To ty jesteś uczonym.

-Skąd masz pojęcie o tych sprawach? Żeglarz wskazał na morze.

-Zrobiłem mapę miast na dnie.

-Co za cudowny pomysł! - powiedział Starzec. - I jesteś pewien, że mapa Enoli jest do góry nogami? Och. Och. Och, rany!!! To cudowne!

- Podaj mi szmatę.

Starzec podsunął się do Żeglarza. Jego mina i ton były konspiracyjne.

-To dlatego wybierasz się na poszukiwanie Enoli? Żeby znaleźć Suchy Łąd?

-Mam go gdzieś - odparł Żeglarz.

Gregor skinął głową. Z wysiłkiem opanowywał się mówiąc:

- Tak, oczywiście, że tak. Zależy ci na dziecku... chociaż nigdy się do tego nie przyznasz.

Żeglarz spiorunował go wzrokiem.

- Ale to, co mi powiedziałaś, jest niezwykle cenne - rzekł poruszony Gregor ściszym głosem. - Nie... nie wiem, co powiedzieć...

- To dobrze - rzekł Żeglarz.

Gregor roześmiał się. Był to huczny śmiech i Żeglarz musiał zadać sobie trud - niewielki - aby się do niego nie przyłączyć. Staruszek promieniał. Zjawiała się Helen.

Miała zdecydowaną minę.

- Płynę z tobą.

Żeglarz nie od razu odpowiedział.

- Najlepiej będzie, jeśli popłynę sam.

Podeszło kilkoro Atolczyków. Sprawiali wrażenie małej samozwańczej reprezentacji. Żeglarz, Gregor i Helen przerwali rozmowę.

Atolczyk przewodzący grupce rzekł:

- To śmieszne ścigać Dymiarzy. To niebezpieczne. Po co szukać kłopotów?

Żeglarz nic nie odpowiedział. Wpychał kolejną szmatę do kolejnej napełnionej sokiem pędnym butelki po Coli.

- Nawet nie wiesz, skąd przyłynęli - powiedział Atolczyk.

Żeglarz wyciągnął z kieszeni mały okrągły patyk zapalający, Bic. Potarł go, wywołał płomynek i zapalił szmatę w ostatniej butelce. Niedbale cisnął płonąca butelką w kołyszący się na wodzie, porzucony skuter wodny nieżyjącego Dymiarza imieniem Kość.

Butelka rozbiła się, skuter buchnął wysokim płomieniem. Noc na chwilę zamieniła się w dzień. Atolczycy na nabrzeżu zachłysłeni się ze zdumienia. Zasłonili oczy przed ostrym blaskiem.

Wszyscy obserwowali, jak smuga soku pędnego na wodzie zapala się i płomienie buchają aż do linii horyzontu. Rozjaśniają drogę Żeglarzowi...

Spojrzał twardo na Helen.

- Jeśli ona żyje, przywiozę ci ją.



Załadował butelkowe bomby na skuter, wsiadł na niego, zawrócił i ruszył za płomieniami.

Helen patrzyła za nim, jak oddalał się coraz bardziej. Jej serce przepelniała nadzieja, ale z trudnością znosiła uwagi Atolczyków.

- Tracimy tu cenny czas - powiedziała jedna kobieta. - Ci Dymiarze wrócą. Musimy się zbierać...

Jakiś mężczyzna rzucił:

- Ona ma rację. Ten odmieniec sprawi, że będą tylko bardziej skorzy do zemsty.

Inny Atolczyk pogładził Helen po ramieniu:

- Zapomnij o tym mutancie...

W jego głosie było tyle seksualnej zachęty, a oddech tak tchnął zepsutą surową rybą, że doprowadziło ją to do wściekłości.

Zrzuciła z ramienia tę rękę, jakby to były mewie odchody. A potem spoliczkowała go z całej siły. Kłasnęcie rozeszło się echem po lagunie.

- Więc jak... znowu ucieczka? - spytała stając między nimi. - Ledwo zaczęliśmy od nowa, a wy co? Stworzycie nowy Atol... nową Nową Oazę? Wcześniej czy później będziecie musieli zdać sobie sprawę, że takie miejsce nie może być waszym domem. Już nie możemy tak mieszkać!

Przepchała się między nimi i stanęła twarzą w twarz z Pięścią Prawa i starym Gregorem. Pięść Prawa był zaseponiony, ale Gregor uśmiechał się złośliwie, tajemniczo.

- Tamci może są tchórzami, ale mają rację - powiedział Pięść Prawa. - To samobójcza misja.

- Płynę za nim.

- Ty też popełnisz samobójstwo.

Bezradnie pokręciła głową.

- To mnie nie obchodzi. Nie mogę... nie mogę znowu uciekać, nie mogę kryć się z tyłu i czekać.

Uśmiechnięty szeroko Gregor pochylił się ku niej. Z czego ten stary głupiec tak się strasznie cieszy? - pomyślała.

- Ależ, moja droga... wcale nie będziemy się kryli z tyłu... - szepnął jej na ucho.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wschód słońca był tak płomienisty jak linia ognia, która wskazywała drogę Żeglarzowi. Miał tylko nadzieję, że zapas soku pędnego okaże się wystarczający. Gdy tak na skuterze wodnym Dymiarza ciął wzburzone fale, wzrok utkwiał daleko przed siebie, przykleił go do horyzontu, czekał, aż się coś pokaże, odsłoni. Czekał, aż ujawni się ta jakaś ohydna kryjówka, do której zmykali Dymiarze po okrutnych napadach na atole...

Zgarbiony nad kierownicą skutera, owładnięty jednym celem jak rekin czujący w nozdrzach woń krwi, Żeglarz szeptał:

- Przybywam, Enola. Przybywam po ciebie...

Nikt poza wiatrem nie słyszał tych słów - i poza samym Żeglarzem.

A może dziecko zamknięte w jakiejś ociekającej wilgocią celi odbierało je również, czując mrowienie na plecach?

Zaciągnęli ją tu z zimnej celi do tego wielkiego, brzydkiego pokoju. No, nie był tak całkiem brzydki - Enoli podobało się migotanie szklanych paciorków zwisających z wymyślnej latarni u sufitu. Ale większość rysunków - stary Gregor nauczył ją, że takie wymyślne kolorowe rysunki nazywają się obrazami - była koszmarna, a podłogę przykrywała okropna pomarańczowa szmata.

Została tam, gdzie rzucił ją wstrętny blondyn, ten, którego nazywano Skandem - na podłodze, na strasznie zniszczonym podłogowym przykryciu obok wielkiego, chyba miękkiego fotela, osłoniętego zimnym popękany plastikiem.

Pilnie obserwował ją Skand. Okropny lekarz, który ciągnął za sobą te wielkie pojemniki na wózku i miał rurki w nosie, też tam był. Wczoraj Doktorek wbił jej w ramię igłę i strasznie od tego zachorowała. Płonęła w nocy, miała gorączkę gorszą niż wtedy, gdy dostała "grypę". Tak mówiła na to Helen, która opiekowała się nią wówczas.

Pociła się, miała straszne mdłości, a ramię w miejscu, gdzie Doktorek wbił igłę, było obolałe i spuchnięte. Czasami nie mogła zapanować nad jękami i pochlipywaniem, które choroba wyciskała jej z gardła.

-Zamknij się - powiedział Skand. - Jak nie odpowiadasz na pytanie, zamknij się.

-On przybywa - powiedziała cicho Enola. - Dosiada wiatru. Przybędzie i uratuje mnie...

-Zamknij się! - powtórzył Skand.

-Obawiam się, że nie może się powstrzymać - wyjaśnił Doktorek. - Po moim

“zabiegu” nie panuje nad sobą.

-No, mówiłeś, że wysypie nam wszystko, a słyszymy tylko bełkot! - powiedział oskarżycielsko Skand. - Nic konkretnego!

Doktorek wzruszył ramionami i uśmiechnął się słabo.

- Z przykrością stwierdzam, że w Wodnym Świecie medycyna jest nauką bardzo niedokładną...

Z sąsiedniego pokoju wyłonił się wódz Dymiarzy. Przebrał się w wymyślną zwiewną szatę zszytą z łąt. Była bardzo kolorowa. Tu purpura, tam żółć, gdzie indziej złoto. Każda łąta była cennym szczątkiem z przeszłości.

Wszystko to nie za bardzo ze sobą grało, ale Enola uznała, że w jakiś okropny sposób robi wrażenie.

-Jak się prezentuję? - spytał Diakon. Oczy mu błyszczały. No, oko... - Bądź brutalny, proszę...

-Jak król - powiedział Doktorek.

-Jak król wojowników - dodał Skand.

-Bądźcie błogosławieni - rzekł uśmiechnięty od ucha do ucha Diakon. - Czuję się jak papież samurajów!

Obaj mężczyźni zgłupieli. Podobnie Enola. Nie miała zielonego pojęcia o “papieżu” ani o “samurajach”. Ale Diakon najwyraźniej miał i darzył ich wielką estymą, bo fruwał po mieszkaniu i wirował przed swoimi zausznikami jak dziewczę w nowej tunice.

- Prawdę mówiąc, wszyscy niech będą błogosławieni! - rzekł łaskawie. - Nawet nasza mała przyjaciółka! A jak się ma nasz malutki gość?

Doktorek podsunął się bliżej skulonej Enoli.

- Ciągle bełkoce coś o swoim rybim przyjacielu. Urojenia. Nieszczęśliwy skutek uboczny mojego zabiegu...

Diakon zmarszczył brwi. Graniczący z zawrotem głowy dobry nastrój opadł.

- Ludzie się gromadzą - powiedział mu Skand. - Chyba się niecierpliwią.

Diakon skinął w kierunku Enoli.

-No, jej widok ich ucieszy. - Spytał z naciskiem Skanda: - Pamiętasz, kiedy masz wejście?

-O, tak.

Diakon przykucnął obok Enoli.

- Moja droga, kiedy się to skończy... przedstawię cię Panu.

Wstał i wyszedł powiewając kolorową łątaniną. Doktorek, Skand i Enola zostali.

Doktorek regulował wskaźniki na kanistrach. Skand uśmiechał się do Enoli. To nie był bardzo miły uśmiech.

O co tamtemu chodziło? - zastanawiała się dziewczynka.

I kim jest ten "Pan"?

Kimkolwiek był, zupełnie nie miała ochoty się z nim spotykać.

Płomienisty wschód słońca ustąpił mglistemu przedpołudniu. Żeglarz posuwał się wolniej. Teraz płonący szlak wydawał się niższy, zduszony mgłą. Ale ten szlak, który - nie zdając sobie z tego sprawy - wytyczył Żeglarzowi nieżyjący Kość, nie był tak ważny. Głosy, pobrzękiwanie i niewyraźne kształty były w zasięgu słuchu i wzroku. Skierował skuter ku tym odgłosom.

I oto mgłę rozciął wielki, groteskowy potwór morski! Unosił się nad Żeglarzem. Niech to kraby porwą! Co to ma być?

Statek!!!

Niech Posejdon ma go w swojej opiece, był to największy statek, jaki Żeglarz widział - czy ktokolwiek w Wodnym Świecie. Starożytny statek wyższy niż dziesięć wiatraków starego Gregora. Dziób bestii sięgał wysoko, wyginał się nad głową nadpływającego Żeglarza. Było to stalowe monstrum, obrośnięte wąsonogami i przeżarte rdzą.

Wyłączył silnik i zeskoczył ze skutera na ławkę z wąsonogów u podstawy statku, tam gdzie fale lizwały zardzewiałą linię wodną jak ranę. Zaczął się wspinać. Wyżarte rdzą dziury dawały mu punkty podparcia.

Dotarcie na szczyt zajęło wieczność, odchylenie kadłuba od pionu było tak ostre, że w końcu wspinał się głową w dół. Wysoko warczał silnik jak bzycający owad...

Co to było? Statek był mniej więcej nieruchomy. Czy to silnik pracował tam na górze? Odrzucił te myśli, pełzł po rdzawej pochyłości. Wreszcie dotarł na szczyt, złapał się stalowej "wargi", zerknął na pokład.

I wszyscy Dymiarze Wodnego Świata runęli na niego, rzucili się wyjąć jak oszalali.

Oszołomiony, wystraszony do utraty zmysłów, cofnął się. Jak, do diabła, zdołali go wykryć? Czy w następnej chwili legnie trupem...?

Ale następna chwila minęła, potem następna i jeszcze następna, i podczas gdy wrzaski nie ustawały, żaden Dymiarz nie wciągnął go na pokład w morderczych zamiarach. Ani zresztą żadnych innych.

Nadal wisiał, gdzie wisiał, i podczas gdy ryki trwały, silnik warczał w najlepsze. Był nawet głośniejszy...

Zauważył dziurę w dziobie, przez którą mógł zerknąć nie wystawiając głowy ponad

pokład. Był to rodzaj judasza. Dostrzegł przez niego Dymiarzy - z setką, a może nawet więcej - rozsypanych wachlarzem po obu stronach pokładu w dwóch mniej więcej równych, nieruchomych grupach. Ciągnęli grubą, ciężką linę. Prężyla się między nimi, jakby rozgrywali dziwną grę, którą starożytni zwali przeciąganiem liny.

Nie wyglądało na to, aby zauważyli Żeglarza, wystawiającego głowę z boku statku. Byli zajęci, skupieni wyłącznie na swoim zadaniu...

A na czym polegało, Żeglarz zdał sobie sprawę, gdy warkot silnika przeszedł w ryk. Dobiegał z wysoka i zza jego pleców.

Żeglarz podniósł głowę i ujrzał na wpół niewidzialną, wylaniającą się z mgły latającą maszynę, tę samą, z którą nie tak dawno walczył jego trimaran. Przyłgął do dziobu, rozplaszczyl się, starał się zmaleć, gdy maszyna opadła w dół, zahuczała mu tuż nad głową i z łoskotem i trzaskiem siadła na pokładzie.

Przez swojego judasza Żeglarz obserwował, jak wsporniki maszyny zahaczyły o linę. Dymiarze jęczeli, stękali i wyli usiłując zahamować wodnopłat. Lina dymiąc prześlizgiwała im się między palcami i sunęli całą masą z nadal kołującą maszyną.

Potem kilka jardów przed mostkiem statku maszyna - i jej obsługa naziemna - wreszcie zatrzymała się z przeraźliwym piskiem. Ludzie przewracali się, wpadali jeden na drugiego, ale wznosili triumfalne okrzyki.

Kolejne udane lądowanie Dymiarzy.

Uwagę Żeglarza zwrócił odgłos pracy innego silnika. Popatrzył w dół na kołyszący się na falach skuter i zobaczył małą, dwuosobową łódź patrolową, która zatrzymała się obok.

Zerknął przez wyżartą przez rdzę dziurę. Dymiarze odwijali wąż z długiego szybu i ciągnęli do milczącego już wodnopłatu. Przedwcześnie trysnął sok pędny oblewając pokład. Wreszcie wciśnięto końcówkę węża do baku.

Był tam zbyt wielki ruch; zbyt wielu Dymiarzy na pokładzie. W dole było ich tylko dwóch, w kurtkach i goglach. Jeden ścisnął w ręce długą kuszę. Przyglądali się pustemu skuterowi przechyleni przez burtę łódki. Nie patrzyli w górę.

Tam była większa szansa powodzenia.

Gdy wreszcie strażnicy podnieśli głowy, zobaczyli - oczywiście o wiele za późno - Żeglarza. Spadł prosto między nich. Złapał ich za karki żelaznym uściskiem. Ściągnął obu za burtę łodzi. Poleciały bryzgi wody.

Gdy tylko znaleźli się pod powierzchnią, pociągnął ich coraz głębiej i głębiej. Rozpaczliwie uciekały pęcherzyki powietrza. Ale Dymiarze byli potężnymi osiłkami i jeden z nich, ten z kuszą, wyrwał się z uścisku Żeglarza. Zdołał wymierzyć i nacisnąć spust. Ale

Żeglarz wywinął się pociskowi, który dosięgnął drugiego Dymiarza. Krew ciemnym strumieniem zaczęła uciekać z trupa.

Dymiarz z kuszą nie miał więcej bełtów - i powietrza. Gorączkowo pracował rękami i nogami, płynąc ku powierzchni. Pęcherzyki powietrza eksplodowały mu z ust, a potem ilość ich zmalała do zera, bo Żeglarz złapał go za kostkę i pociągnął w dół, gdy tamten był kilka jardów od powierzchni. Dymiarz dziko wymachiwał rękami wpatrzony w wodne okno, którego nie mógł otworzyć ani dosięgnąć. Czasem kierował spojrzenie w dół. Szeroko otwartymi, oszalałymi oczami szukał litości w twarzy Żeglarza.

Na próżno.

Wkrótce Żeglarz sam wynurzył się z wody, wsiadł na skuter wodny... ubrany w gogle i kurtkę Dymiarza.

Kowadło był Dymiarzem odpowiedzialnym za komorę startową, spore pomieszczenie na poziomie linii wodnej. Dysponowało krótkimi rampami przylegającymi do obu stron gigantycznej, wyżartej przez rdzę dziury w kadłubie statku. Poziom wody w komorze wynosił dwie stopy, co pozwalało Dymiarzom na wprowadzanie i wyprowadzanie skuterów. Wiele pojazdów - w różnych fazach remontów - stało wzdłuż metalowych ścian. Truan i Djeng - dwaj wiecznie zawracający dupę Dymiarze - wpadli do Kowadła. Dręczyli go o naprawę i oddanie skuterów nie nadających się do użytku od czasu napadu na Oazę.

Nie wiedzieli, że ma pełne ręce roboty?

- Zajmę się tym, zajmę - powiedział im. - Jestem odpowiedzialny za to, żeby można było bezpiecznie dosiadać tych trupów. Chcecie zginąć w jakimś strasznym wypadku, bezmózgie krety?

Hałas zbliżającego się skutera zwabił go do zardzewiałego otworu komory. Brnąc w wodzie podszedł tam i zatrzymał się na szeroko rozstawionych nogach. Wsparł ręce na biodrach i mrużąc oczy wpatrywał się w mgłę.

- Koń?! - zawołał. - To ty? Zdejm trochę gazu, na szczypce kraba! Zwolnij!

Ale obroty silnika nagle wzrosły.

- Powiedziałem, zwolnij! Zaraz...

I to były ostatnie słowa Kowadła, bo skuter wodny wpadł do komory startowej i grzmotnął dokładnie w klatkę piersiową nieszczęśnika. Zrobił w niej taką dziurę, że Kowadło wyzionął ducha na miejscu.

Żeglarz, którego skuter dokładnie i gwałtownie zatrzymał się na już nieżyjącym Dymiarzu, znalazł się w komorze startowej statku. Dwaj zaskoczeni piraci zbliżali się rozbryzgując płytką wodę zalegającą podłogę. Siedział spokojnie. Niech tamci pokażą, co

umieją. Trzymał rękę blisko futerału ze strzelbą nieżyjącego Knura...

- Zabiłeś Kowadło! - powiedział Dymiarz. Ale drugi... śmiał się.

- Ładne ładowanko, przygłupie! - zawołał do Żeglarza.

Pierwszy potrząsnął głową.

-Chłopie, ten Kowadło zawsze wpierdzielił się tam, gdzie nie trzeba!

-Taaa - potwierdził drugi. - Wygląda na to, że zginął w strasznym wypadku!

-Taaa - powiedział pierwszy. - Ale z niego bezmózgi kretyń!

I dwaj Dymiarze objęci wespół wyszli z komory. Ich rechot huczał odbijając się od stalowych ścian.

Żeglarz, choć zaskoczony, z ulgą zsiadł ze skutera. Jakim rzadkim, dziwnym i głupim plemieniem są Dymiarze! Przerzucił przez ramię strzelbę Knura. Zostawił za sobą pojazd i nieżywego Dymiarza, który posłużył mu za ładowisko.

Ostrożnie minął wyrżnięte byle jak przejście, prowadzące do brzucha statku. Nagle czyjś głos zabuczał mu nad głową. Żeglarz okręcił się na pięcie i błyskawicznie wyrwał nóż z pochwy.

- OTO ON! - rozległ się gromki okrzyk. Dobiegał z małej, przykrytej szmatą skrzynki. Wisiała na ścianie na wysokości głowy Żeglarza! Co to za skrzynka, która potrafi mówić?

I mówiła dalej:

- POWSTAŃCIE, BRACIA I SIOSTRY! SKIERUJCIE NA NIEGO OCZY I OTWÓRZCIE PRZED NIM SERCA, OTO WASZ POKORNY DOBROCZYŃCA, DUCHOWY PASTERZ I DYKTATOR NA CAŁE ŻYCIE - DIAKON “DEEZ”!

Czy skrzynka w jakiś sposób przekazywała głos z innego miejsca statku?

Bez względu na to, co i skąd to było, nie miał wcale ochoty tego słuchać. Uderzył w skrzynkę, jakby była głową kogoś, kto go obraża, strącił ją ze ściany. Roztrzaskała się na kawałki na podłodze.

Wsunął nóż do pochwy i ruszył przed siebie, w głąb statku. Miał nadzieję, że gogle i kurtka Dymiarza posłużą mu za przepustkę.

Truan i Djeng, Dymiarze, którzy byli świadkami “strasznego wypadku” Kowadła, wkrótce wrócili do komory startowej. Przeprowadzili zastępcę zmarłego. Ktoś musiał szefować temu stanowisku.

Ale coś tuż za wjazdem do komory, na tyle blisko, że mgła nie potrafiła tego ukryć, przyciągnęło ich uwagę. Truan stanął dokładnie w tym samym miejscu, w którym Kowadło nieświadomie oczekiwał na swoją śmierć. Wyrzał i zobaczył kołyszącą się na falach pustą łódź patrolową... i dwa trupy Dymiarzy.

-Mamy nieproszonego gościa - powiedział Djeng.

-Cholera - zaklął Truan. - 1 mieliśmy go przed sobą...

-Nie mów Diakonowi - ostrzegł Djeng.

-Żeby stracić życie?

Z wysoka dobiegł ich ryk tłumu wiwatującego na wejście Diakona. Truan zastanowił się, jakie konsekwencje groziłyby im wszystkim, gdyby wieczór triumfu wodza został zniszczony przez ten akt sabotażu. A jeśli to wszystko było dziełem tego człowieka - ryby? Po "Deez" krążyły plotki o złapanej dziewczynce, która mruczała, że zjawi się demon i ją uratuje...

-Daj ludziom znać - powiedział Truan. - Niech go znajdą.

-Związać i doprowadzić? - spytał Djeng.

-Związać i doprowadzić - potwierdził Truan.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Z mostka “Deez” rozciągał się widok na tłum Dymiarzy. Zachowanie tej społeczności było zupełnie wyzbyte jakichkolwiek norm. Tłuszcza wyła, popychała się i groziła wybuchem. Rozradowana zapowiedzią znalezienia Suchego Łądu, czemu rumieńca dodały plotki o dziewczynce z mapą na plecach (ponoć dziecko było więźniem na statku, właśnie teraz!), ale równocześnie niespokojna, napięta, zmęczona pustymi obietnicami i pogłoskami bez pokrycia. Nawet te półgłówki wiedziały, że zapasy na “Deez” się kurczą. Jediną amunicję, jaką mieli, zdobywali topiąc ścianę za ścianą, a atole były rzadsze niż czasopisma.

Niemniej jednak, gdy ich przywódca wszedł po metalowych schodkach na mostek, rozległy się dzikie, entuzjastyczne wiwaty, które uśmiechnięty wódz usłyszał równie wyraźnie, jak poczuł wspólny (i znaczny) smród. Jego kolorowy przyodziewek zdawał się podniecać ich tym bardziej, był jak chluśnięcie sokiem pędnym na ognisty entuzjizm.

Diakon, uśmiechając się skromnie, pomachał z mostka. Najpierw było to przywitanie, potem polecenie, aby się uciszyli.

Stał przed mikrofonem. Za nim zajął miejsce Doktorek i rada Dymiarzy. Diakon zaczął kazanie. Było słyszalne nie tylko na pokładzie, ale w każdym korytarzu i każdej kajucie.

- Dzieci Dostarczyciela, obywatele statku dobrej wiary, pielgrzymi dobroci... słuchajcie moich słów - zaczął zadzierając wysoko głowę. - Mam... miałem... wizję!!!

Ale z podziwiającego, wytrzeszczającego oczy tłumu wzbił się głos sprzeciwu, głos wskazujący, jak cienka linia dzieli radość od rozpacz.

- Mamy dość wizji! Co z tym łądem, który nam obiecałeś?

Inne głosy zawtórowały:

- Taaa! Tak! Co z łądem?

Ten sprzeciw nie wzbudził niepokoju Diakona. Dymiarze byli dziećmi, prostymi duszyczkami i bardzo dobrze wiedział, jak należy je kontrolować.

Nieugięty, ignorując sprzeciwy mówił dalej rozkazującym głosem:

- Wizję tak ogromną, tak potężną, że gdy ją ujrzałem... - obniżył głos do dramatycznego szeptu - ...zapłakałem.

Sentymentalnym Dymiarzom zaparło dech w piersiach.

- Tak, moje dzieci - kontynuował Diakon podnosząc głos. - Zapłakałem! Bo w tym cudownym przejawie niesłychanego ujrzałem... czy możecie to sobie wyobrazić...? macie

pojęcie...?

Wszystkie oczy były szeroko otwarte jak u zachwyconych dzieci. Równie szeroko rozdziawiła się każda brutalna mordą.

-...ujrzałem ład...

-Ład! - wrzasnął ten, który niedawno się sprzeciwiał. Był kompletnie zawojowany.

I tłum wybuchł wiwatami. Na pokładzie zapanowała chępliwa radość, nadzieja, wiara.

Diakon uśmiechnął się do siebie półgębkiem. Czekał, aż się uspokoją. Nie spieszył się.

W pomieszczeniach Diakona Enola zwinęła się na podłodze, czekała na ratunek. Czowała się lepiej. Ramię nadal bolało po zastrzyku, ale przynajmniej brzuch przestał jej dokuczać. I odzyskała trzeźwość umysłu.

Przypłynie po nią. Wiedziała, że przypłynie.

Wstrętny blondyn, Skand, grzebał w szafce, w której stało dużo butelek. Wyszczерzył zęby i wziął jedną - miała napis "Gin" - i pociągnął kilka łyków. Potem nachmurzył się zauważwszy, jak obniżył się poziom płynu w przezroczystej butelce. Dolał do niej hydro z dzbana.

- Nie powinieneś tego robić - powiedziała. Drażniła się z nim. Tylko troszeczkę.

Odwrocił się gwałtownie. Długie jasne włosy uniosły się w powietrze. Wyglądało to tak, jakby zapomniał o jej obecności. Może liczył na to, że opuściła ją ostatnia iskra energii.

-Będziesz miał kłopoty - zadrwiła.

-Och, zapomniałem - powiedział. - Ty się nie boisz. Twój oswojony odmieniec przypłynie na ratunek.

-Zgadza się - powiedziała prostując się. Nadal była na brzydkim pomarańczowym chodniku obok plastikowego fotela. - Tylko że to nie odmieniec. I może cię stłuc, kiedy tylko chce.

Uśmiechnął się, lekko rozbawiony.

-Stłuc mnie?

-Kiedy chce.

-Co ty nie powiesz.

Wcześniej z małej skrzynki zamocowanej na ścianie dobiegał głos Diakona. Ale przez kilka ostatnich chwil słychać było jedynie wiwaty. To wprawiało Skanda w zdenerwowanie. Chodził po pokoju.

Podrażniła się z nim jeszcze.

-Wiesz, on zabił kilkudziesięciu ludzi.

-Niesłychane.

-TERAZ DOSTARCZYCIEL POWIEDZIAŁ MI TO OSOBIŚCIE - dobiegł ich głos  
Diakona.

-I nie ma żadnej litości dla nikogo - dodała. - Zabija nawet małe dziewczynki.

-MUSIMY SIĘ TAM DOSTAĆ I OSIEDLIĆ - mówił Diakon. - WZNIEŚĆ  
SIEDZIBY...

-Zabija małe dziewczynki? - powiedział Skand i uśmiechnął się do niej szeroko. - Hm,  
miło mi usłyszeć, że mamy coś wspólnego...

Enola przełknęła ślinę. Może drażnienie się ze Skandem nie było takim dobrym  
pomysłem...

Żeglarz posuwał się wąskim pomostem. Było oczywiste, że ogłoszono jakiś alarm, że  
wykryto jego obecność na pokładzie. Patrole Dymiarzy przemierzały korytarze, wspinały się  
po drabinach, miały broń gotową do użytku. To były zorganizowane grupy i mimo kurtki  
Dymiarza i gogli groziło mu, że zwróca na niego uwagę.

Zdecydował się unikać patroli. Będzie krył się w cieniach, przemykał w dole statku.  
Przez cały czas te małe gadające skrzynki, z których część była umieszczona wysoko na  
ścianach, emitowały głos przywódcy Dymiarzy. Jakby zagrzewał patrole do dalszych  
poszukiwań.

Ale po odgłosach wydawanych przez tłum, który słuchał Diakona, Żeglarz się  
zorientował, że większość Dymiarzy zgromadziła się w jednym miejscu. Najpewniej na  
pokładzie.

- ...BĘDZIEMY MECHANIZOWAĆ, MODERNIZOWAĆ, A POZA TYM  
MONOPOLIZOWAĆ TĘ WIELKĄ KUPEŃ ZIEMI! - obiecywał Diakon swoim wiernym, co  
docierało do Żeglarza dzięki skrzynce nad jego głową.

Odgłos kroków na pomoście obwieścił przybycie patrolu.

Tuż obok poręczy wisiał ciężki łańcuch. Wprost zapraszał, aby z niego skorzystać.  
Sięgał przynajmniej na wysokość dwóch kondygnacji. Żeglarz złapał się go i rozpoczął  
wspinaczkę.

Na mostku Diakon wymachiwał pięścią w powietrzu. Drugą ręką trzymał się stojaka  
mikrofonu. Urzędowa szata fruwała w powietrzu przy szerokich gestach, podkreślając  
rozkazujący, sztucznie wzmocniony głos, który wstrząsał pokładem.

-JEŚLI ZNAJDZIEMY RZEKĘ, WZNIESIEMY ZAPORĘ! JAK ZNAJDZIEMY  
DRZEWO, SPLANTUJEMY WOKÓŁ NIEGO ZIEMIĘ I ZWAŁUJEMY JA W  
PORĘ! BO, DZIECI MOJE, TAK WYGLĄDA POSTĘP!

-Postęp!!! - zawołali Dymiarze zgodnym chórem.

W pobliskiej kwaterze Diakona nerwy Skanda były napięte do ostateczności. Czekał na sygnał na wejście. Wrócił do szafki z alkoholami i zaryzykował kilka następnych łyków ginu. Szef nic nie zauważy, jeśli doleje się kilka następnych miarek hydro.

-WESSIEMY I POSMAKUJEMY KAŻDA SŁODYCZ ZIEMI! - usłyszeli głos Diakona zniekształcony przez starożytny głośnik. - NA SUCHYM LATJZIE!

-Szybciej, szybciej - mruczał niecierpliwie Skand. - Dojdźże do tego...

-Nerwy, co? - wtrącił się dziecięcy głosik. Odwrócił się i wbił wściekły wzrok w dziecko.

-Ja się nie denerwuję.

Na zewnątrz Dymiarze tupali i walili o pokład pięściami, zawodząc:

- SUCHY LAT)... SUCHY LAJ)... SUCHY LAD)... Najzdrowszy na umyśle, słysząc te ryki, zamieniłby się w Berserkera, którego trzymano tydzień na słońcu bez hydro.

- Masz strasznie czerwoną twarz - powiedziało dziecko. Dużymi oczami patrzyło na niego oskarżycielsko znad podłogi. - Helen mówi, że każdy z taką czerwoną twarzą za długo się opalał... albo wypił za dużo soku radości.

-Gównu mnie obchodzi, co Helen mówi.

-No, nie wydaje mi się, żebyś ty za dużo się opalał...

-To... - Łupnęła butelką ginu w blat szafki z alkoholami i ruszył do dziewczynki. - Zaraz rozerwę tę twoją małą...

Otworzyły się drzwi kabiny i wszedł Doktorek ciągnąc za sobą wózek z gazowymi smakołykami. To powstrzymało Skanda.

-Już prawie czas - powiedział Doktorek. - Coś nie tak?

-Nie - odparł Skand. - Właśnie mówiliśmy o jej przyjacielu.

-Człowieku - rybie?

-Prawdę mówiąc, o tej kobiecie. Ona mówi, że tamta nazywa się Helen. Nie miałbym nic przeciw popołudniu z nią.

-Jak nazywa się twój drugi przyjaciel, kochanie? - spytał Doktorek.

-On nie ma imienia - powiedziała.

-Doprawdy?

-Tak jest. Wiesz, czemu?

-Może ty mi to wyjaśnisz, kochanie.

-Żeby śmierć nie mogła go znaleźć.

Doktorek zerknął na Skanda. Było to upiorne spojrzenie, nawet jak na Doktorka.

-I nie ma domu. - Dziecko znów zaczęło mówić nieprzerwanie. Czy działanie tego cholernego lekarstwa nie wyczerpało się jeszcze? - I nie ma ludzi, którym zależałoby na nim, i takich, na których jemu by zależało. Nie boi się nikogo... przynajmniej wśród ludzi. I słyszy na sto mil pod wodą, i tak samo widzi na sto mil pod wodą...

-Zamknij się - powiedział Skand gładząc rękojeść noża za pasem.

Ale dziecko nadal pytowało; być może nie potrafiło się powstrzymać.

- Umie schować się w cieniu, gdy słońce stoi w zenicie. Umie podejść cię z tyłu i dowiesz się o tym dopiero w chwili śmierci.

Skand rzucił nożem. Z sykiem rozciął powietrze przy samej szyi dziecka i wbił się z głuchym tąpnięciem w ramię fotela. Dygotał obok policzka Enoli.

Doktorek wyglądał na zszokowanego.

- O, rany - powiedział.

Ale dziewczynce ledwo drgnęła powieka.

-Daj sobie spokój - poradził jej Skand. Zbliżył się. Dziecko przylgnęło do fotela. Plastik sfałdował się.

-On po mnie przyplynie - powiedziała. - Przyplynie. Jeszcze się przekonasz...

- Taaa? - Skand pochylił się. Skulona zasłoniła twarz rączką.

Ale sięgnął obok niej i wyrwał nóż z fotela. Podsunął twarz do jej twarzy i rzekł:

- No, mam nadzieję, że przyplynie po ciebie. Dzięki temu mam na co czekać.

Nie zadrgała jej powieka, a spojrzenie miała czyste i twarde, gdy rzekła:

- Zapamiętam, co powiedziałaś.

Truan prowadzący poszukiwania intruza zauważył Dymiarza wspinającego się po łańcuchu na wyższy pomost.

- Hej, ty! - zawołał. - Kim jesteś?!

Ale Dymiarz albo go nie słyszał, albo zignorował i nadal się wspinał.

Truan zmarszczył brwi i zamyślił się. Na jednym z unoszących się na wodzie trupów brakowało kurtki i gogli. Intruz - którym był prawdopodobnie człowiek - ryba - najpewniej przebrał się za Dymiarza...

Truan szybko wysłał kilku ludzi. Niech sprawdzą wspinacza. Pozbierali drabiny i pognali w górę, aby odciąć mu drogę.

Lecz gdy Truan spojrział tam raz jeszcze, zobaczył tylko drwiący z niego pusty łańcuch. Kołysał się luźno.

Na wyższy pomost upadł martwy Dymiarz. Jego kark złapały od tyłu i skrzyły potężne ręce. Jedna z nich wyjmowała z bezwładnej dłoni pistolet.

Żeglarz wsunął nową broń do kieszeni kurtki i pospieszył mrocznym pomostem. Usłyszał echo kroków. Zapowiadało się większe towarzystwo. Podniósł głowę. Nad sobą miał metalowe poprzeczki. Podskoczył i wciągnął się na górę.

Tuż obok głowy miał jedną z tych skrzynek emitujących idiotyzmy Diakona:

- SPÓJRZ NA NAS! MY JESTEŚMY CELEM STWORZENIA!

Poniżej przytruchtał Dymiarz, zarośnięty zabijaka. Oczy wyszły mu z orbit, gdy Żeglarz trzymając się poprzeczki nogami, opadł głową w dół, zagroził mu drogę i złapał w duszący chwyt.

Żeglarz podciągnął nogi w górę, poderwał Dymiarza wyżej. Kończyny faceta spazmatycznie zadrgały na wysokości dobrych dwóch stóp nad pomostem.

- SUCHY ŁĄD TO NIE NASZE MIEJSCE PRZEZNACZENIA, TO NASZE PRZEZNACZENIE!

Atak nastąpił tak nagle, że ofiara była niemal całkowicie bezbronna. Dymiarz usiłował dosięgnąć napastnika, ale nawet ręce miał bezsilne.

- BO CZYŻ NIE JESTEŚMY LUDŹMI? - spytał głos Diakona ze skrzynki.

Dymiarz jakby pokiwał potakująco głową, ale był to tylko ostatni podryg, zanim sflaczał i skonał.

- I CHOCIAŻ JESTEM PIERWSZY POŚRÓD LUDZI, PADAM NA KOLANA - mówił Diakon.

Trup Dymiarza, uwolniony z duszącego chwytu, padł na kolana.

- "WSKAŻ MI DROGĘ", BŁAGAŁEM WIELKIEGO DOSTARCZYCIELA. "JAK ZNAJDĘ TO MIEJSCE?"

Żeglarz opadł na pomost obok trupa. Zanim pobiegł dalej, uwolnił zabitego od ciężaru uzbrojenia.

- I WIELKI DOSTARCZYCIEL RZEKŁ DO MNIE: "DZIECKO CIĘ POWIEDZIE!"

W apartamentach Diakona Skand złapał dziewczynkę. Śmiertelnie przerażona wciągnęła krótki oddech.

- Masz szczęście - powiedział Skand wlokąc cielesny dowód wywodów swojego wodza. - To sygnał na twoje wejście...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Diakon pieścił jedną ręką stojak mikrofonu, drugą gestykulował majestatycznie w powietrzu. Spojrzał na tłum wytrzeszczających oczy obszarpańców i rzekł:

- Spójrzcie, oto instrument naszego zbawienia!

I wskazał na Skanda, który ciągnął za rękę po schodkach mostka posłuszną dziewczynkę. Nie opierała się. Ale to nie Skanda koronował Diakon na instrument zbawienia, lecz dziecko.

Dziecko, które ich poprowadzi.

Unosząc dziewczynkę jak trofeum, Skand zaprezentował ją mrowiącemu się motłochowi. Tłum oszalał. Wiwatował, wył, darł się.

-Co ci wszyscy ludzie wyprawiają... - powiedziało dziecko jakby do siebie.

-To nie jacyś tam ludzie, dziewczynko - szepnął Diakon zsuwając jej tunikę z ramion.

- To moi lojalni wierni... i dzięki tobie pozyskałem na nowo ich dusze...

Wskazał swojemu blond zastępcy, by zaprezentował wiwatującemu tłumowi znaki na plecach dziecka. Wrzaski uwięzły im w gardłach. Zamilkli oszołomieni.

- Ona jest naszym przewodnikiem w głuszy - ogłosił Diakon do mikrofonu. - Ona jest naszą latarnią w ciemności! I wskazała mu drogę!

Dymiarze zawyli na znak zgody, zachwyceni, niemal w orgiastycznym uniesieniu. Diakon skinieniem głowy polecił Skandowi postawić dziewczynkę na mostku.

- O wszyscy dobrzy pielgrzymi, nasze przeznaczenie jest w zasięgu ręki, gdyż nadszedł dla nas dzień wniebowstąpienia! - powiedział Diakon i uciszli się, aby posłuchać jego nauki. - A zanim ta święta chwila nastąpi, poświęćmy go Wielkiemu Dostarczycielowi...

Diakon wyciągnął rękę i jeden z doradców włożył w nią butelkę z naklejką "Jack Daniels". Oczy zebranych były utkwione w Diakona, który rozbił cenną butelkę o reling, opryskując dziecko odłamkami szkła i sokiem radości.

- Na tę chwilę czekaliśmy! - zawołał Diakon. Uniósł ręce i oczy w górę. - Niech ta balia główna zacznie zaszuwać!!!

Dymiarze wyli alleluja i strzelali z pistoletów w powietrze. Huk wystrzałów zbił się w jeden gromki ryk. Z raketnicy poleciały flary rozjaśniając zachmurzone niebo.

I pokład zaczął się opróżniać, gdy owieczki Diakona pobiegły na swoje stanowiska...

Wewnątrz "Deez" spadł deszcz Dymiarzy. Zsuwali się po słupach, schodzili po drabinach, ześlizgiwali po linach i łańcuchach, rozbiegali się w różnych kierunkach. Dymiarz

prowadzący poszukiwania intruza, Truan, który akurat natknął się na dwa trupy ze złamanymi karkami, o mało nie został stratowany.

Liny między wysokim dziobem i holownikami zaczęły się naprężać. Silniki wyły, stękały, narzekały i jęczały, ale wreszcie zaskoczyły, śruby wzburzyły wodę mocując się z niezwykle tonażem największej krypy w Wodnym Świecie.

I holowniki nie podolały. Ogromny statek pozostawał nieruchomy, dopóki z dziur ciągnących się tuż nad linią wodną, od dziobu do rufy, nie wynurzyły się wiosła i nie zaczęły zagarniać wody.

Na dolnym pokładzie “Deez” siedziało mrowie dobrowolnych galerników, po kilku przy potężnych wiosłach. A najmniejsi i najgłośniejsi usadowili się na przodzie wykrzykując przez tuby:

- Ciałaaagniiij!

I to wielkie ludzkie dynamo ciągnęło jak jeden mąż. Mocarni kretyni w idealnym, jednakowym rytmie...

...i po raz pierwszy od wieków “Valdez” ruszył w rejs.

Triumfujący Diakon trzymał wachkę na mostku. Dymiarze nadal spływali z pokładu.

Wniebowzięty powiedział Doktorkowi:

- Ruszamy się.

Doktorek zmarszczył czoło i spytał zdumiony:

- W jakim kierunku?

Diakon wzruszył przesadnie ramionami:

- Cholera, nie mam zielonego pojęcia. Zmarszczki Doktorka się pogłębiły i parsknął przez rurki:

- Co...?

-Nie przejmuj się. - Diakon poklepał osobistego lekarza po kościstym ramieniu. - Będą wiosłować przez miesiąc i żaden nie zda sobie sprawy, że nabijam ich w muszlę.

-Ale...?

-Bądź poważny! Nie mogę powiedzieć tym zwierzakom, że nie odczytaliśmy jeszcze mapy. Ale dopóki tego nie zrobię, muszę dać im zajęcie. Nie patrz tak na mnie! Obiecałem im wyniki i dostaną wyniki, nawet gdybym musiał wyrznąć tę mapę z pleców cholernego dzieciaka.

Dziewczynka słyszała tę groźbę, ale nie zareagowała. Stała spokojnie obok Skanda, który trzymał łańcuch biegnący do jej kostki. Była cała mokra od soku radości, ale uniknęła odłamków szkła.



Diakon spojrział na niemal pusty pokład i spochmurniał.

- A to kto?!

Pozostał jeden Dymiarz w goglach i kurtce. Stał dokładnie przed mostkiem i patrzył do góry, jakby nieświadomy, że przemówienie się skończyło.

- Kto to? - spytał natarczywie Skanda Diakon. Wrzasnął na marudera: - Czemu nie wiosłujesz?!

Dymiarz zdjął gogle i Skand stęknął:

- Niech to kraby porwą! To on!

Dziewczynka wyszła krok naprzód. Uśmiechała się od ucha do ucha.

- To on. - Spojrzała na Diakona i Skanda i powiedziała niemal ze współczuciem: - Rany, chłopaki, macie przechlapane...

Podbiegała do relingu i zaczęła entuzjastycznie wymachiwać ręką. Diakon palnął ją w głowę przywołując do porządku, a Skand odciągnął do tyłu.

- Niech mnie rekin popieści - rzekł Diakon pochylając się przez reling i wpatrując się w człowieka - rybę. - Dżentelmen - welonek...

- Chcę tylko dziewczynkę - powiedział człowiek - ryba. Skand szepnął chrapliwie Diakonowi:

- Poderżnij jej gardło. Na jego oczach. Niech krew pocieknie na pokład, do jego stóp. Zasługują na to oboje...

To wywołało uśmiech na twarzy Diakona. Cóż za cudowna idea! Nic dziwnego, że lubił mieć Skanda pod ręką.

Ale zwyciężyło poczucie realizmu i niemal ze smutkiem powiedział swojemu zastępcy:

-Po prostu nie możemy tego zrobić. Dopóki się nie dowiemy, gdzie jest Suchy Łąd.

-To twoje własne słowa - rzekł poruszony do żywego Skand. - Zabij ją, obedrzyj ze skóry i będziemy mieli tę cholerną mapę!

Dziecko chlupało. Przytuliło się do zabrudzonych, kiedyś białych spodni Diakona. Najwidoczniej był najsympatyczniejszą postacią, jaką mogło tu znaleźć.

- Nie, nie, nie - powiedział Diakon. - Ona stała się symbolem mojej kongregacji. Obawiam się, że nie zarzyna się przedmiotów kultu religijnego. - Poklepał Skanda po ramieniu. - Ale muszę przyznać, że w teorii bardzo mi się to podoba.

Z dołu dobiegło żądanie człowieka - ryby:

-No? Dajcie mi dziewczynkę! Najpierw skopiujcie mapę z jej pleców... Jest mi to obojętne! Ale pozwólcie nam odpłynąć i jesteście kwita!

-On mówi "kwita" - powiedział cicho Diakon, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. I zawołał do człowieka - ryby: - Zawsze myślałem, że jesteś głupi, mój drogi rybi przyjacielu! Ale nie doceniałem cię... jesteś kompletnym imbecylem! Mógłbyś dawać moim Dymiarzom lekcje idiotyzmu...

-Chcę dziewczynkę. To wszystko.

Diakon pochylił się nad relingiem. Żyły nabrzmiały mu na twarzy, gdy wręcz zawył:

- A co w tym naszym popieprzonym Wodnym Świecie skłania cię do przypuszczenia, że ci ją dam?

Człowiek - ryba wyciągnął z kurtki i zapalił flarę. Trzymał jaśniejące drzewce przed sobą... i dokładnie nad szybem doprowadzającym sok pędny, z którego nie tak dawno pociągnięto wąż do zatankowania wodnopłatu.

Szyb dochodził do zbiornika soku pędnego statku, nad którym dozór sprawował ludzki głębościomierz Diakona. Może zapasy były niewielkie, ale w dalszym ciągu dość spore, by trzykrotnie napełnić zbiornik uzupełniający.

Aż nadto, aby rozsadzić "Deez" i spalić wszystko i wszystkich ze szczeniem.

- Wiesz, dokąd prowadzi ten szyb - powiedział człowiek - ryba trzymając sypiącą iskry flarę tuż nad otworem. - Spuszczę to i spalisz się.

Zza pleców Diakona dobiegł żałosny głos Doktoraka:

- Wszyscy się spalimy...

Diakon tylko się uśmiechał do człowieka - ryby.

- Nie róbmy tu nic... pochopnego. Rzecz w tym... czy twoim zdaniem ona jest warta tego całego zachodu?

Dziecko było teraz wyraźnie przestraszone. Cofnęło się w cień.

-On to zrobi - powtarzało. - On to zrobi...

-Rzecz w tym, czy naprawdę zależy ci na tym dzieciaku? - pytał spokojnie, logicznie Diakon. - Przecież jej w ogóle gęba się nie zamyka!

-Zauważyłem - przyznał człowiek - ryba.

-Więc o co chodzi, o mapę? Miałeś tego brzdąca tak długo, że mogłeś ją skopiować sto razy!

- Ta dziewczynka jest moim przyjacielem. Diakon wyrzucił ręce w powietrze.

- No cóż, niech Dostarczyciel nas zachowa, gdy łąza ścieknie mi po tym świętym policzku! Zamierzasz umrzeć dla tej swojej małej przyjaciółeczki? I przy okazji ją zabić?

Człowiek - ryba wzruszył ramionami.

- Jeśli do tego dojdzie.

Skand zaciskał ręce na relingu i patrzył rozwścieczony na mężczyznę, który trzymał płonąca flarę nad otworem.

-Blefuje...

-On nie blefuje - zapiszczało dziecko. - On nigdy nie blefuje.

-Zamknij się! - Diakon uniósł rękę, aby spoliczkować dziecko, ale było poza jego zasięgiem. Potem odwrócił się do relingu i dalej mówił spokojnym, logicznym tonem.

- Nie sądzę, żebyś zamierzał wrzucić tę pochodnię do tego otworu, mój przyjacielu.

-Czemu?

- Bo może jesteś głupi, ale nie szalony. Człowiek - ryba spojrział prosto w oczy Diakonowi. Na twarzy mężczyzny pojawił się drobny uśmiezek. Ten uśmiezek powiedział Diakonowi, że dziecko miało absolutną rację. Mają przechłapanie...

- Powinieneś się uśmiechnąć, kiedyś to mówił - powiedział człowiek - ryba.

Otworzył dłoń i flara poleciała w dół do otworu i dalej do zbiornika z sokiem pędnym.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Nieeeeeeee!!! - zawył rozpaczliwie Diakon, ale ten sygnał na trwogę był niepotrzebny. Doradcy już tłoczyli się w drzwiach mostka. Wpadło mu w oko dziecko - przyklejone do ściany - ale ono przestało być najważniejsze.

Najważniejsze było przeżyć.

Skand i dwójka najbardziej zaufanych strażników nie uciekali. Stali jak przykuci do podłogi, ogłupiali tym, co właśnie rozegrało się na ich oczach.

- Nie stójcie tu! - krzyknął Diakon. - Zabijcie go!

Żeglarz wziął nogi za pas. Skand i dwóch depczących mu po piętach Dymiarzy jak szaleni zbiegli po schodkach z mostka.

Diakon miał w głowie kompletny zamęt. Gdzie można ukryć się na statku, który zaraz eksploduje?

Jego oczy spoczęły tam, gdzie dziewczynka poprzednio przykleiła się do ściany. Ale już jej nie było. Zapewne wyśliznęła się przez te same drzwi, przez które wywiało jego zaufanych doradców...

Tymczasem w dół kalibrowanego szybu leciała jaśniejąca, rozjarzona flara, odbijając się od metalowych ścian ze stukotem, hurgotem, trzaskiem; leciała głęboko w dół, aż wreszcie wpadła z pluskiem w jezioro soku pędnego, na którym oczekiwał na tratwę swojej godziny ludzki głębokościomierz Diakona.

Spojrzał tam, gdzie rozległ się plusk, i zobaczył rosnącą ścianę płomieni. Przeleciały ku niemu po mieniącej się kolorami tęczy czerni. Nagła śmierć wyciągnęła ramiona.

Uśmiechnął się. Zdążył przez chwilę rozkoszować się wybawieniem.

- Dzięki Dostarczycielowi - rzekł.

I wybuchnął wokół niego płomienisty sztorm, spalił na żarzący się ludzki węgielek. To był kres jego cierpienia i początek cierpienia innych, zarzewie większej eksplozji. Płomień kulisty roztrzaskał przegniłą grodz. Huki i gromy eksplozji rozległy się w brzuchu statku, szły w górę. Pożar i zniszczenie wstrząsnęło "Deez".

Dobrowolni galernicy spocili się już ciężko przy potężnych wiosłach. Jeden z nich miał właśnie odwrócić się do swojego towarzysza i spytać: "Czy nie robi się tu gorąco? A może to tylko mnie?", gdy podłoga rozdarła się pod nimi, strzeliły płomienie i pożarły wiosłujących, wyprzedzając następne, które wdarły się przez dziury w burcie. To było jak wybuch piekła...

I zgadza się, zrobiło się gorąco.

Diakon uciekał w dół korytarza. Podłoga drżała mu pod nogami. Słyszał z oddali coraz bliższe wybuchy. Cały statek dygotał raz za razem.

Prawie zderzył się ze swoim wiernym pilotem, który miał grozę w oczach, przekrzywioną pilotkę i nie mógł złapać tchu.

Diakon złapał go za ramię.

-Gdzie to się wybieramy?!

-Diakon, ta balia wybucha! Musimy się zmywać!

-My? Rozumiem, że to zaproszenie... Pilot gorączkowo pokiwał głową.

-Jest miejsce dla dwóch...

Diakon skinął głową i rzekł:

- I tylko dla dwóch. - Wyciągnął pistolet spod powiewającej szaty, przytknął lufę do ciała pilota i strzelił. Eksplozja poniżej była jak echo wystrzału. Pilot upadł na metalową podłogę otwierając szeroko oczy i usta.

Diakon kopnął trupa na bok i poszedł dalej.

Jego pływający statek był skazany na zagładę, jego armia kretynów ginęła. Ale miał już nowy plan. Diakonowi można było odmówić wszystkiego, ale nie przedsiębiorczości, i miał niewyczerpaną wiarę w lepsze jutro. To pomogło mu wybić się ze śmietnika pirackich gangów Wodnego Świata.

Miał drogę ucieczki - był jednym z dwóch ludzi, którzy potrafili prowadzić szpiegowską maszynę latającą. Tamten drugi nie żył.

Ale zanim Diakon dojdzie na pokład i do wodnopłatu z uzupełnionym zapasem paliwa, musi znaleźć coś, co nieroztropnie zgubił.

Mapę. Swoją ludzką mapę.

Truan, którego oddział poszukiwawczy zmalał do dwóch ludzi, a misja legła w gruzach, szedł w dół korytarzem pod pokładem. Trzymał w ręce pistolet. Podłoga dygotała od wybuchów.

- Ten rybi odmieniec to zrobił! - krzyknął do idących za nim ludzi. - Co ja bym dał, żeby móc raz do niego strzelić!

I wtedy, jakby Wielki Dostarczyciel odpowiedział na tę prośbę, jakaś postać opadła przez luk wyrąbany pokraccznie w pokładzie i wylądowała na podłodze. Truan i jego Dymiarze akurat wylonili się zza zakrętu.

Ta postać miała na sobie kurtkę patrolującego, ale nie była Dymiarzem - to był intruz.

Człowiek - ryba.

I nagle Truan miał okazję wystrzelić więcej niż raz!

Zużył cały magazynek pistoletu. Szaleńcza kanonada z wizgiem i gwizdem rykoszetowała od metalowych ścian podłogi.

Ale to okazało się za mało, bo żaden z pocisków nie trafił w cel.

Truan uspokajał się, aby lepiej wycelować, gdy intruz zerwał z ramienia strzelbę i zmiotł go spomiędzy żywych. Truan został dokładnie wypatroszony. Część wnętrzości ozdobiła ściany, część dwójkę Dymiarzy. Kolejny wystrzał obalił ich z kolei. Następna, podwójna porcja jelit zbryzgała korytarz.

Żeglarz widząc, że Skand i dwaj Dymiarze zbiegają z mostku i rozpoczynają pościg, wskoczył do niezgrabnie wyciętego luku. Wykończył trzech kolejnych Dymiarzy i pobiegł dalej. Z korytarza na pomost.

Powinien trzymać się tuż pod pokładem. Za cel miał powrót na mostek i odszukanie dziewczynki. Nie było jej na dole - nic tam nie było poza ogniem i następnymi eksplozjami.

Dym przeciskał się przez rdzawe dziury w podłodze. Żeglarz obszedł róg i zatrzymał się tuż przed szeroką wyrwą, która kończyła korytarz - i wszystkie korytarze poniżej. Kilku Dymiarzy po drugiej stronie usiłowało przeskoczyć ogromną dziurę. Spychali się nawzajem na dół i z wyciem spadali w coraz bardziej łakome jęzory ognia.

Niechętnie wycofał się i wybrał opadający pomost, który wiódł go głębiej w czeluść umierającego statku, niż miał ochotę ryzykować. Enola była w górze, a on tymczasem, żeby to kraby porwały, był zmuszony iść w dół...

Gdy spieszył pomostem, jakiś Dymiarz trzymając się liny wielokrażka zsunął się akurat przed biegnącego.

Żeglarz zerwał strzelbę i podsunął ją pod ohydny gębę, jakby trzymał pistolet. Nacisnął spust...

Trzask iglicy przypomniał mu, że zużył już naboje w obu lufach.

Rozbawiony Dymiarz uśmiechnął się z ulgą. Pokazał przy okazji sporo ubytków w uzębieniu i Żeglarz dodał do nich kilka nowych, wbijając koniec luty w mordę faceta i posyłając go na drugą stronę poręczy. Pełen bólu wrzask stopniowo ścichł, gdy ciało spadło do piekła w dole.

Z tyłu rozległ się tupot. Żeglarz odwrócił się błyskawicznie i wbił lufę strzelby w twarz innego Dymiarza, posyłając kość nosową na fatalną przejażdżkę przez mało używaną korę mózgową. Dymiarz padł trupem. Kolejna fala barbarzyńców nadbiegła pomostem strzelając z broni krótkiej. Kule dźwięczały w różnych tonacjach wokół Żeglarza. Cisnął w napastników pustą strzelbą w nadziei, że przynajmniej kilku z nich się o nią potknie, i wyrwał

pistolet spod kurtki odpowiadając ogniem.

W pobliżu huśtał się łańcuch wielokrażka.

No cóż, działał poprzednio...

Skoczył łapiąc się łańcucha. Zsuwał się w dół. Kule gwizdały mu nad głową. Pocisk ze strzelby rozerwał ogniwo łańcucha. Gdyby trafił w Żeglarza, niewątpliwie przeciąłby go na pół.

Żeglarz przeskoczył na drugą połowę swojej liny ratunkowej. Pierwsza obwisła i z łoskotem poleciała w górę. Ale on wiedział, że jego jazda nie potrwa długo, bo wkrótce zerwane ogniwo minie wielokrażek i spadnie razem ze swoim ciężarem w piekło.

Rozkołysał się, starając się wycelować ciałem w szeroki pomost dwie kondygnacje niżej. Lądowanie tam było stosunkowo bezpieczne. Ale w momencie, w którym zawisł nad pomostem, namierzyły go rozjarzone żółte oczy toczącej się z łoskotem bestii.

Skand wraz z towarzyszącą mu parą Dymiarzy wskoczył do luku za człowiekiem - rybą. Pobiegli w kierunku odgłosów wystrzałów ze strzelby. Przybyli za późno. Człowiek - ryba znikł, a Truan i dwaj pozostali Dymiarze leżeli jak zakrwawiona kupa śmieci.

Człowiek - ryba mógł wybrać tylko jeden kierunek ucieczki. Skand podążył za swoją ofiarą i wylądował przy wyrwie, która zdecydowanie wyznaczała koniec korytarza. Huk wystrzałów w dole wskazywał, że człowiek - ryba mógł tam zawędrować, aby potem wyrąbać sobie drogę na górę i poszukać dziecka...

Wtedy Skand wpadł na pewien pomysł (ta zdolność wyróżniała go spośród przeciętnych Dymiarzy).

Wziął ludzi i pobiegł tam, gdzie rydwan jego pana oczekiwał na człowieka z inicjatywą.

Zawsze chciałem pokierować tym potworem - pomyślał i wyszczerzył zęby.

I niebawem zebrał wystarczającą grupę rozpierchłych Dymiarzy, aby mogła go popchnąć. Ryk silnika popieścił mu uszy. Włączył sprzęgło i obudzony do życia diakono - mobil powiózł go na połów człowieka - ryby.

Do tej pory Żeglarz widział tylko wraki lądowych łodzi - zardzewiałe, udrapowane w wodorosty pamiątki przeszłości w martwych, eksplorowanych przez niego miastach.

Ta łódź lądowa z ryczącym silnikiem - którą prowadził uśmiechnięty szaleńczo Skand osłonięty zakrzywioną przednią szybą - była bardzo żywotna, a Żeglarz na rozkołysanym łańcuchu niechęć kierował się ku niej.

Wtem łańcuch się skończył. Uszkodzone ogniwo minęło wielokrażek i Żeglarz przeleciał tuż przed nosem potężnej lądowej łodzi. Bestia minęła go zaledwie o kilka cali.

Żeglarz uczepiony sflaczałego łańcucha spoczął bezceremonialnie na metalowej podłodze. Równocześnie pojazd obrócił się szykując do następnego natarcia.

Spod metalowych kół trysnęły fontanny iskier i wielka maszyna ze Skandem za kierownicą zbliżała się groźnie. Stojący na przednim siedzeniu Dymiarz celował z karabinu w Żeglarza.

Żeglarz zdążył zerwać się na nogi i wystrzelił pierwszy z pistoletu. Kula przeszła szkło i pierś Dymiarza. Krwawiący trup opadł przed Skanda, któremu zasłana pajęczyną pęknięć szybą już utrudniała widzenie. Lądowa łódź zachybotała się i wpadła w poślizg.

Żeglarz przetoczył się na bok. Pojazd rąbnął o metalowy dźwigar i Skand palnął głową w kierownicę.

Żeglarz pobiegł przed siebie.

Nie widział, jak Skand wyczołguje się z lądowej łodzi zlany krwią. Nie słyszał wściekłych okrzyków, które odbijały się od metalowych ścian.

Być może powinien poświęcić parę chwil na zabicie drania, ale nie było czasu na analizę sytuacji. Ledwo wystarczało go na myślenie o rzeczach podstawowych. Żeglarz wdrapał się po schodach i zaczął pokonywać labirynt korytarzy. Szukał drogi na mostek.

Statek zaczął drzeć, kłaść się na bok. Napotkani Dymiarze nie byli chętni do walki. Zbyt pochłaniało ich bieganie, wrzeszczenie, odnajdywanie dziur dość wielkich, aby móc przez nie wyskoczyć na zewnątrz i dołączyć do tych niezliczonych osiłków, którzy uciekali łodziami, skuterami wodnymi lub po prostu płynęli czy też tonęli tam w dole.

Więc zabijanie ich było tylko stratą czasu.

Pozostał tylko jedyny cel tej całej walki - dziewczynka.

Wtem ją zobaczył! Czy raczej, niech to sztorm pochłonie, zobaczył ich. Pięćdziesiąt jardów dalej po odsłoniętych schodach Diakon ciągnął za sobą dziewczynkę. Żeglarz nie zawołał. Ani Diakon, ani dziecko go nie zauważyli. Miał przewagę elementu zaskoczenia...

Lecz gdy biegł ku nim, sam został zaskoczony. Eksplozja - niewielka eksplozja, ledwo taka, która mogła wyrzucić go powietrze - wyrzuciła go w powietrze. Wylądował z łomotem. Jakoś udało mu się dźwignąć na nogi. Dymiarz spowity od stóp do głów w płomienie przebiegł obok. Wił się, okręcał, wrzeszczał.

Hm, ja przynajmniej się nie palę - pomyślał Żeglarz.

Ale trawił go jakiś płomień, gdy biegł za dziewczynką i porywaczem.

Enola też starała się ze wszystkich sił odszukać drogę przez labirynt mrocznych, zadymionych korytarzy. Minęła zakręt i wpadła prosto w otwarte ramiona samego Diakona.

Teraz wódz Dymiarz ciągnął ją z powrotem na mostek.



-Widzisz to? - Wskazał na latającą maszynę. Stała na pokładzie, po którym piraci miotali się w kompletnej panice, skakali do wody byle dalej od ognia. - To twoje zbawienie.

-Statek wybuchnie - powiedziała Enola. - Czy o to chodziło w tej wielkiej wizji?

Ukląkł obok dziewczynki, objął ją ramieniem. Jego oddech strasznie cuchnął dymnymi patykami.

-Podsunęłaś mi nową wizję, kochana. Pielgrzymka we dwoje. Ja... ty... i bungalow na Suchym Łądzie.

-Co...? - Nie rozumiała go. Był dorosły.

-Och, wiem, że jesteś dla mnie trochę za mała. - Wyprostował się. Ścisnął ją tak mocno, że mało się nie rozpląkała. - Ale chętnie to pominię. Małżeństwo pobłogosławione przez Dostarczyciela nie może być niestosowne.

-Gnój z ciebie.

-Może... ale nie znasz mnie jeszcze całego...

I pociągnął ją po schodkach w dół, na pokład, przez ognisty chaos, ku czekającemu wodnopłatowi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Żeglarz wpadł na mostek jak burza. Oparł się o zamontowane tam działo harpunicze. Starannie omiół wzrokiem pandemonium na pokładzie. Dymiarze kluczyli między dziurami, z których sterczały stalowe zęby i buchał ogień, usiłowali znaleźć jakieś bezpieczne miejsce lub drogę ucieczki. Wielu machnęło na wszystko ręką i skakało za burtę.

Ale wśród tego szaleństwa Diakon spokojnie - chociaż brutalnie - usadzał Enolę w wodnopłacie w fotelu strzelca. Czy ten jednooki drań umie prowadzić tę maszynę? - pomyślał Żeglarz.

Wyglądało na to, że przynajmniej Diakon tak uważa, bo teraz sam ładował się do kokpitu i włączał silnik.

Ale, niech to rekin połknie! Wodnopłat był milion mil dalej, na drugim krańcu pokładu! Jak Żeglarz zdoła się tam dostać i zatrzymać Diakona?

Nagle olśniło go. Opierał się o rozwiązanie tej zagadki!

I to, co było mu potrzebne, leżało w skrzyni z amunicją obok stanowiska działa. Wyjął harpun, przywiązał do niego mocną linę i załadował działo.

Miał już wycelować w pokład, gdy usłyszał za sobą:

- Powinieneś mi jednak postawić tamtego drinka, Ziemiarczy.

Żeglarz odwrócił się. Przed nim stał Skand. Długie jasne włosy ociekały krwią, twarz pokrywały szkarłatne smugi i sadza, oczy błyszczały maniakalnie, uśmiech odsłaniał tyleż satysfakcji co szaleństwa.

I w ręce - wyciągniętej i zdumiewająco nieruchomej - leżał pistolet.

W chwili krótszej niż mgnienie oka Żeglarz obrócił wielkie działo i wysłał pocisk, który łatwo mógł zabić delfinoryba.

Ale broń Skanda wypaliła, posyłając kulę za kulą...

...z tym że był to jedynie odruch, konwulsyjne drgnięcia ręki, nad którą już nie panował mózg trupa. Harpun przebił przedramię i pierś Skanda. Przyszpilił go do grodzi jak pinezka w rękę niegrzecznego dziecka przybijającą przebiegającą łapkami muchę.

- Nie ma nic za darmo w Wodnym Świecie - oświadczył Żeglarz trupowi z wybałuszonymi oczami. Zaparł się stopą o pierś Skanda i wyszarpnął harpun.

Na pokładzie wodnopłat kołował do startu. Oczy Żeglarza - niezwykle czy - skupiły się na dziobie. Gdzie wycelować? Gdzie wycelować??? Uśmiechnął się.

Załadował działo i wystrzelił harpun przez całą długość statku. Pocisk ciągnął za sobą

linę. Wbił się w pokład kilka jardów przez dziobem, w pobliżu rampy startowej wodnopłatu. Harpun i lina sięgały daleko przed latającą maszynę, która toczyła się po pokładzie nabierając dopiero prędkości.

Żeglarz napiął mocno linę i przywiązał do relingu mostka. Z pudła z wyposażeniem działa harpunniczego wyjął żelazny łom. To będzie musiało wystarczyć - pomyślał. Przeszedł na drugą stronę relingu, przełożył łom nad linę, uchwycił się go z obu końców.

I skoczył.

Ślizgał się po napiętej linie, mknął nad pokładem. Starał się prześcignąć wodnopłat, który podrywał ogon do góry usiłując wzlecieć w górę.

Na widok Żeglarza Diakon przy sterach zaklął. Wodnopłat zbliżał się do wygiętej rampy startowej. Coraz szybciej, coraz szybciej, coraz szybciej...

Ale po chwili zwolnił, jakby zarył się w błoto. Żeglarz wyszczerzył zęby. Rozżarzony pokład topi gumowe opony wodnopłatu! - pomyślał.

Wyprzedzał teraz wodnopłat o długość nosa maszyny. Puścił się łomu i wylądował gracko na pokładzie. Zebrał łańcuch kotwiczny, który zauważył wcześniej z mostka. Szybko, jakby ciężki stalowy łańcuch był lekki jak piórko, Żeglarz owinał luźny koniec o wspornik i napiął go mocno. Był wyciągnięty jak noga, o którą może się potknąć nieuważny przechodzień.

Podwozie wodnopłatu uderzyło o łańcuch. Oba koła zostały odcięte z metalicznym zgrzytem, tak przeraźliwym, że aż bolesnym. Maszyna ślizgała się na brzuchu. Na skraju rampy zachwiała się...

...i spadła do góry brzuchem rozbijając się o pokład. Ten upadek nie był śmiertelny dla osób w maszynie, ale zniszczył ją samą. Wylądowała na boku. Skrzydło się odłamało, silnik roztrzaskał i wodnopłat został unieruchomiony na dobre.

Żeglarz przykucnięty za wspornikiem obserwował to wszystko. Wskoczył i rzucił się do biegu. Sok pędny w wodnopłacie lada chwila może zamienić się w płomień kulisty. Należy wyciągnąć dziecko z wraku. A jeśli zostało zabite lub ciężko ranne podczas upadku maszyny, do śmierci czekają Żeglarza bezsenne noce... chociaż wiedział, że dla małej byłoby lepiej zginąć niż żyć z tym szaleńcem Dymiarzem...

... który leżał na wolancie, krwawiący, nieprzytomny, może nieżywy. Ale ważniejsze było cargo z tyłu - dziecko, oszołomione, przerażone, ale żywe. Kiedy Żeglarz wyjmował je z wraku, kochana, pomazana sadzą buzia rozkwitła w cudownym uśmiechu. Postawił dziewczynkę na pokładzie.

- Możesz chodzić? - spytał.

- Mogę biegać! - Uśmiechnęła się.

Ale Żeglarz wiedział, że tu nie ma nic do śmiechu. Statek się rozlatywał, pokład unosił, eksplozje poniżej - nie tak bardzo poniżej - wstrząsały kadłubem. Wziął ją za rękę i spojrzał w kierunku mostku. Starał się ułożyć dalszy plan działania, gdy usłyszał koszmarny głos:

- Czy myślisz, że jak nie mogę mieć Suchego Łądu, to pozwolę, żeby jakiś śledź na dwóch nogach się tam dostał?

Dowódca Dymiarzy celował z raketnicy w Żeglarza i dziecko, trzymające się swojego wybawcy. Wynurzył się z pokieraszowanego wodnopłatu poparzony, w strzępach, z twarzą pokrytą krwią. Ale dłoń trzymająca raketnicę nie drżała.

- Umrzemy wszyscy, przyjacielu - zapowiedział. - Macie to załatwione. Dołączycie do mojej kongregacji w piekle...

Może zdążyłbym mu dołożyć, zanim wystrzeli z tego interesu? - rozważał Żeglarz. Ale ktoś uprzedził ich obu. Butelka soku pędnego z płonącą szmatą spadła z nieba jak przedziwne ziarno gradu i rozbiła się prawie u stóp Diakona. Wybuch nie był wielki, ale wielce zadowolający, bo wpierw posadził Diakona na tyłku, a następnie rozciągnął na plecach. Raketnica wyleciała mu z ręki, nie robiąc nikomu krzywdy.

Zdumiony Żeglarz i dziecko z ulgą spojrzeli w niebo, szukając tego, który zrzucił ten podarek.

I tam, żeglując nad pokładem "Deez" jak jakaś cudowna zjawia, unosił się balon starego Gregora!

Ale to była jego wzmocniona wersja, nowa, większa. Bojowy kosz pokrywały płyty metalu, chroniąc zarówno pasażerów, jak i podbrzusze samego balonu. Znad kuloodpornych płyt pancernych wyglądały trzy miłe znajome twarze: Gregora, Helen i Pięści Prawa atolu, który trzymał w ręce kolejną butelkową bombę gotową do zapalenia.

Normalnie Żeglarz lubił sam rozwiązywać swoje problemy, ale uznał, że tym razem uczyni wyjątek...

- Enola! - zawołała Helen. Było to powitanie i wezwanie. Kobieta przerzuciła linę przez brzeg kosza.

Zanim zdążyli ją złapać, nastąpił potężny wybuch. Płomienisty kwiat rozwinął się w środku pokładu, przeciął na dwoje statek, który złożył się jak scyzoryk. Oba brzegi uniosły się, jakby miały się spotkać.

I nagle ta połowa, na której stali Żeglarz, Enola i Diakon (który w oszołomieniu podniósł się na nogi, gdy tylko dym z butelkowej bomby się rozwiął), zamieniła się w

gigantyczną zjeżdżalnię. Cała trójka pojechała w dół do burty rozerwanego statku, ku niebotycznej przepaści nad wodą.

Żeglarz uchwycił się zwisającej liny.

- Enola!

Ślizgające się dziecko złapało przegub mężczyzny.

Lecz Diakon uzupełnił łańcuch chwytając Enolę za nogę.

-Zaraz wyrznię ci te twoje śliczne płucka! - wrzasnął do niej.

-Za dużo gadasz! - krzyknęła i wierzgnęła do tyłu piętą. Wbiła się w lewe oko Diakona, martwe, zakryte goglami. Trzasnęło szkło, Diakon zawył.

I puścił nogę dziewczynki.

Ześliznął się i spadł poza burtę. Po bardzo długiej chwili zanurzył się z pluskiem w wodzie.

Żeglarz z Enolą ściskającą go w pasie wspinał się po linie ponad pokład. Kule zagwizdały wokół niego, odbiły się od metalowych osłon przeciwpancerne balonu opuszczającego się coraz bliżej. To jakiś Dymiarz, który wpadł na mostek, gdy statek zaczął swój nieunikniony rejs na morskie dno, teraz strzelał do wspinających się postaci i balonu, który był ich celem.

Pięść Prawa spuścił bombę butelkową na pokład i Dymiarz przestał strzelać. Zrobił to, co w mniemaniu Żeglarza każdy dobry Dymiarz powinien zrobić: legł martwy.

Żeglarz z pomocą Helen na wpół się wspiał, na wpół został wciągnięty do kosza, zapewniając Enoli bezpieczeństwo obłożonego przeciwpancernymi płytami gniazda.

Katastrofa latającej maszyny, kilka eksplozji i upadek z wielkiej wysokości do morza - wszystko to okazało się za mało, żeby zabić Diakona. Czerpiąc siłę z targającej nim wściekłości, odpłynął od swojego płonącego statku i gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, zrobił sobie postój w wodzie na stojąco.

- Niech to kraby porwą - przeklinał pod nosem, chlupocząc rękami i nogami. - Oderwę łeb temu człowiekowi - rybie i nasram...

Zaryczał motor, fala obryzgała Diakona. Obok zatrzymał się Dymiarz na skuterze.

-Wasza Diakonowatość! - krzyknął lojalny żołnierz trzymając silnik na jałowym biegu. Podał rękę wodzowi. - Ładuj się!

-Dzięki! - Diakon złapał wyciągniętą rękę i zajął tylne siodełko. - Te urządzenia spalają więcej soku pędnego, kiedy wiozą dwóch ludzi, no nie?

-Tak, panie!

Diakon wyrwał Dymiarzowi pistolet zza pasa i strzelił mu w tył głowy.

- Tak sobie myślałem - powiedział. Zepchnął trupa ze skutera. Rozległ się plusk. - Przy okazji... dzięki za podwiezienie... mówię szczerze...

Padł na niego cień. Podniósł głowę. W górze unosiło się to cholerstwo - balon! Wymierzył w górę z pistoletu i zaczął strzelać, siejąc wszystkimi znanymi przekleństwami i dorzucając kilka nowych...

Gdy kule zadzwoniły o metalowe ściany kosza, wszyscy w środku przykucnęli odruchowo.

- Nie przejmujcie się - powiedział Gregor. - Nie można nam nic zrobić.

I w tej właśnie chwili kula zerwała linę. Balon wypadł z kursu. Gondola przechyliła się nagle. Dziewczynka straciła równowagę.

- Niecee! - zawołała Helen usiłując złapać ją w ramiona. Żeglarz też rzucił się na ratunek. Ale było za późno.

Enola wyleciała z kosza i spadała bezradnie, szeroko wytrzeszczając oczy. Nie potrafiła nawet wydobyć z siebie głosu. Morze połknęło ją cichutko. Było to raczej chlipnięcie niż plusk.

A Diakon dosiadający nieruchomego skutera wyszczerzył zęby do nieba i pomachał triumfalnie pistoletem.

- Dołek za pierwszym! Dołek za pierwszym!

Odczekał, aż dziecko się wynurzy. Wskoczyło na powierzchnię plując wodą i wymachując wszystkimi kończynami.

Wtedy dodał gazu i wskazał innym Dymiarzom na skuterach, że mają do niego podpłynąć. Oddziały Diakona znacznie się przerzedziły, ale trzech Dymiarzy - każdy będący w innym dogodnym punkcie wokół tonącego statku - dodało gazu i ruszyło. Resztki nieulekłych osiłków chętnie dołączyły do swojego wodza. Przed nimi misja odbudowy dawnej potęgi!

Diakon wyciągnął maczetę z pochwy przytroczonej do skutera i machnął nią w powietrzu. Cóż to za rozkosz! Odetnie głowę smarkuli i zabierze ze sobą mapę na tułowi.

Dymiarze, widząc przywódcę szykującego maczetę, chwycili w łapy ogromne, sklecone z różnych rodzajów broni pistolety.

Trójka Dymiarzy i ich wspianiały władca zbliżali się z czterech kierunków do małego, podskakującego na fali celu.

Wysoko Żeglarz zwijał zerwaną linę. Ale nie szykował się do naprawy, to zadanie pozostawiał Pięści Prawa, który starał się jak mógł uchronić rozbujaną gondolę przed rozpadnięciem. A stary Gregor powstrzymywał histeryzującą Helen od wyskoczenia za

dzieckiem. To nie był dobry pomysł.

Ale Żeglarz miał dobry pomysł - w każdym razie lepszy niż Helen. Zwijając szybko linę, z zadowoleniem stwierdził, że jest bardzo elastyczna. Nie była zrobiona z konopi, ale z materiału bardzo cenionego w Wodnym Świecie - z gumy.

W sekundach, które ciągnęły się jak minuty, dotarł do uciętej kulą końcówki. Obwiązał ją sobie wokół kostek.

- Co ty... - zaczął Pięść Prawa.

Ale kobieta wiedziała. Helen wiedziała. Uśmiechnęła się lekko i kiwnęła głową, na co Żeglarz też kiwnął głową. Ten gest potwierdzał więź łączącą mężczyznę i kobietę. Z gracją, która sprawiłaby w podziw cały Wodny Świat, poszybował w dół. Lina ciągnęła się za nim jak ścigający węgorz.

Dziecko, umiejętnie unosząc się na wodzie, ze zgrozą obserwowało nadciągające skutery. Wyły coraz bliżej.

- Enola! - wrzasnął Żeglarz.

Spojrzała w górę. Zanurzył się, złapał ją za ramiona i miał jeszcze ułamek sekundy na ostatnie twarde spojrzenie na Diakona, zanim gumowa lina sprężyła się porywając Żeglarza i jego cenny połów w niebo.

Tuż przedtem, zanim zderzył się z trzema Dymiarzami na skuterach, Diakon miał ostatnią wizję - swojej śmierci.

Uniósł ręce w proteście do nieba, ale nie wyciągał ich długo. Bo niebawem nastąpiła eksplozja i pomarańczowo - czerwono - niebieska kula ognia uniosła się do nieba, mijając o włos balon. Do gondoli sterowca Pięść Prawa wciągał Żeglarza, a Helen - Enolę.

Helen złapała dziewczynkę i przytuliła mocno. Łzy radości spływały po twarzy kobiety. Obejmowała dziecko i patrzyła z głęboką wdzięcznością na tego, który je uratował.

I który sam poczuł przyływ dziwnych uczuć, będąc świadkiem tego połączenia przybranej matki i córki.

Enola odwróciła się i popatrzyła na Żeglarza.

-Pływałam!

-Zauważyłem. - Kiwnął głową uśmiechnięty.

Patrzyli w dół, gdzie rufa przełamanego statku wypuszczała pod wodą pęcherze powietrza. Wkrótce nic nie zostało z niegdyś wspaniałego imperium Diakona oprócz kołyszających się na wodzie szczątków. Część z nich była resztkami maszyn, część ludzi, ale jedno i drugie nie funkcjonowały.

I wkrótce gwiazdy jasno zamrugały na niebie, wskazując drogę. Balon żeglował - ale

nie ku Nowej Oazie. Wszyscy spali - Helen i Enola w bezpiecznym uścisku, Gregor chrapiący na plecach, a Pięć Prawa zwinięty jak wielkie niemowlę. Spali wszyscy, z wyjątkiem Żeglarza.

Stał za sterem.

Ustalił kurs opierając się na pewnej mapie...



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kilka dni później małej grupie w pancernym sterowcu zaczęło brakować zapasów żywności, ale cieszyła się z coraz lepszej pogody. Sterowiec zanurzył się w grubą warstwę chmur. Żeglarz skierował powietrzną łódź w dół i odzyskali widoczność. Przed nimi rozciągał się tropikalny miraż.

Z tym że nie był to miraż.

To była wyspa... nie atol... ale ląd, suchy ląd.

Suchy Ląd.

Wyspę tworzyła głównie góra, ale nie był to wcale kamienisty, pozbawiony oznak życia szczyt. Ten cud w otoczce mgły połyskiwał zielenią, wszystkimi odcieniami zieleni. Żeglarz nie miał pojęcia o istnieniu takiej gamy zieloności. Wodorosty nie umywały się do tego!

I była tam plaża, jaśniejsza bielą piasku plaża, okolona linią drzew, wielu drzew, wielu gatunków drzew, większą ilością roślin, niż widział to we wszystkich czasopismach czy książkach...

A jednak widok rajy, który ukazywał się oczom Żeglarza, budził w nim jakiś niepokój. Inni - Gregor, Enola, Helen, nawet powściągliwy Pięć Prawa (i to bez względu na to, jak byli zmęczeni podróżą, na jak utrudzonych wyglądali i jak utrudzeni się czuli) - byli zahipnotyzowani.

Żadnych okrzyków radości. Żadnych "Ląd, ahoy!", jak podobno wołali żeglarze w starożytnych Czasach Łądu. Żadnych łez. Nawet żadnych uśmiechów.

To były twarze żeglarzy, którzy przyплыnęli do domu.

Ale Żeglarz, który ich tu przyprowadził, chociaż wchłaniał bogactwo migotliwego pejzażu, wiedział, że jego domem jest morze...

Woda spadała po skałach do jeziorka. Było wspaniale. Żeglarzowi kręciło się z zachwyty w głowie, ale stąpał niepewnie po tej... po tej... ziemi.

Stary Gregor przyklęknął obok jeziorka, nabrał wody w dłonie. Przelewała mu się przez palce, gdy niósł ją do ust.

- Świeża! - zawołał przekrzykując muzykę spadającej wody. - Wszystka jest świeża!

Ze stoku dobiegło wołanie Pięści Prawa:

- Znalazłem coś!

Helen otwierała pochód, Enola biegła za nią. Szli w górę wśród roślinności, w cieniu

drzew, których liście sterczały jak ostrza zielonych noży. Ale zieleń nie była tam jedynym kolorem - były liście czerwone i pomarańczowe, tak jasne, że raziły jak blask słońca.

Gregor odwrócił się do Żeglarza, który zamykał pochód.

-Zauważyłeś? - Starzec wskazał na ziemię. - Nie rusza się!

-Zauważyłem - powiedział. Niepewnie stawiał kroki. Usiłował zapanować nad falą mdłości.

Gdy weszli na polanę, łomot wstrząsnął ziemią i zaskoczony Żeglarz oparł się o pień, aby zachować równowagę. I wtedy - niech to kraby porwą! - stado czworonożnych bestii o dzikich oczach, rozwianych grzywach i tułowiach, na których przeżyły się mięśnie i żyły, przegalopowało wzniesając chmurę... chmurę pyłu!

Co za widok.

- Konie! - zakrzyknęła z uciechą Helen.

Żeglarz odetchnął powoli. Oderwał się od drzewa i ruszył dalej. W głowie mu wirowało.

- Popatrzcie! - zawołała Helen.

Z boku stało skupisko budowli, żółtobrazowych mieszkań, wzniesionych z... z czego? Suszonych liści?

- Chaty - zidentyfikowała je Helen. - A to się nazywało "wieś"...

Podniecona podeszła szybko do chat. Enola deptała jej po piętach. Kobieta i dziewczynka stały nasycając się cudownością tego miejsca, ale Gregor i Pięść Prawa weszli do środkowej chaty.

W ich ślady poszły Helen i Enola.

Ale Żeglarza to nie interesowało. Coś innego zwróciło jego uwagę, coś na wpół ukrytego w zaroślach.

Łódź. Niewiele większa niż kanu, ale z pływakiem bocznym.

Mdłości zaczęły ustępować. Ruszył ku łodzi. Najpierw szedł, a potem prawie biegł...

Helen z Enolą u boku weszły do chaty z liści, ciekawe odkrycia starego Gregora i Pięści Prawa.

Ale tamci odkryli śmierć. Para szkieletów leżała w objęciach. Zmarli spoczywali w uścisku jak kochankowie. Choroba poczerńiła kości. Na prostym stole poniewierały się różne przedmioty, ale jeden przykuł uwagę Helen: karta z wyrysowaną mapą... identyczną jak ta na plecach Enoli.

-Musieli... musieli wiedzieć, że umrą - rzekł przyciszonym, pełnym szacunku głosem Gregor.

-Złożymy ich pod ziemią - rzekł Pięść Prawa. - Słyszałem, że taki był zwyczaj ludzi z ładu.

-To prawda - przyznała Helen. Obserwowała dziecko, które wchłaniało ten makabryczny, niemniej jednak zastygły obraz.

Enola nie płakała. Podeszła do stołu. Helen myślała, że dziewczynka obejrzy mapę. Ale Enola otworzyła małe, rzeźbione w drewnie pudełeczko.

Uniosła się pokrywa i coś wewnątrz pudełka wydało cudowny dźwięk. Rozległa się muzyka.

Melodia miała znajome brzmienie.

To była piosenka Enoli, piosenka, którą śpiewała wiatrowi.

- To mój dom - powiedziało cicho dziecko.

Helen spojrzała na Gregora. Jego oczy, jak i jej, były pełne łez. Skinął głową Helen, jakby mówił: "To dom nas wszystkich".

Helen spochmurniała. Kogoś brakowało.

-Gdzie Żeglarz? - spytała.

-Kto? - zdziwił się Gregor.

-Tak go nazywamy - wyjaśniła Enola. Ale Helen wybiegła już z chaty.

Znalazła go tam, gdzie się spodziewała, gdzie lękała się go znaleźć. Na plaży. Pchał do niebieskiego morza po białym piasku małą łódź.

- Nie rozumiem - powiedziała Helen.

Lekko zaskoczony odwrócił się i popatrzył na nią bez wyrazu.

- Czego nie rozumiesz?

- Przywiodłeś nas tu. Tu jest twoje miejsce, tak samo jak każdego z nas. - Wzruszyła ramionami. - Może jest bardziej twoje...

Ale nic nie odpowiedział. Wrócił do pchania łódki. Szła za nim, ale nie pomagała mu.

- Czego szukasz? Co spodziewasz się tam znaleźć"? Zatrzymał się, spojrzał na nią, na błyszczące morze.

-Gregor powiedział kiedyś, że gdzieś tam mogą być inni podobni do mnie.

-Och...

Posłał jej uśmiech.

- Jeśli trafię na takich jak ty... takich z nadzieją i odwagą... Opowiem im o tym miejscu. I o pewnej kobiecie, która je znalazła. Zdusiła łzy.

-Znaleźliśmy je razem. Skinął głową.

-Tak, to prawda.

Nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć.

-Nie odpływaj. Możemy ci jeszcze pomóc. Poza tym powinienes zgromadzić zapas żywności i hydro. Jak często trafiasz na takie miejsce?

-Raz w życiu - odparł.

Na plaży pokazali się Helen, Gregor i Pięść Prawa. Nieśli różne zapasy. Żeglarz żył sam dłużej, niż sięgał pamięcią. Był zaskoczony ciepłem, jakie mu okazali ci ludzie.

Ale Enola nie pomagała. Siedziała na zwałonej kłodzie patrząc w morze. Miała ponurą minę. Nigdy nie widział dziewczynki tak zasepionej.

Cicho podszedł do niej po piasku.

- Po raz pierwszy w życiu nie masz nic do powiedzenia?

Nie odezwała się. Nie spojrzała na niego.

-Zaśpiewaj tę twoją piosenkę - poprosił.

-Nie cierpisz jej.

-Lubię, kiedy ją śpiewasz.

Nadal nie patrzyła na niego, więc ukląkł obok niej. Blisko.

- Enola... - Poglądził ją po ramieniu. - ...Muszę odpłynąć.

Teraz spojrzała na niego. Te wielkie niebieskie oczy były przesłonięte łzami.

-Ale... odszukałeś mnie!

-Oczywiście. Jesteś moim przyjacielem.

Rzuciła mu się w ramiona. Łzy popłynęły strumieniem.

- Czemu... czemu... nas zostawiasz?

Poklepał ją po plecach.

-Bo tu nie moje miejsce. - Puścił ją, spojrzał na nią twardo, ale łagodnie. Wskazał na morze. - Tam jest moje miejsce.

-Tu jest twoje miejsce.

-Nie - rzekł łagodnie. - Tu jest... zbyt obco. Nic nie kołysze mi się pod stopami.

W głosie dziecka była prawie rozpacz:

- Helen mówi, że to tylko choroba lądowa. Zaraz przejdzie!

Uzucie, które przeniknęło go falą, było jeszcze gorsze niż mdłości. Jak dziwne! Jak straszne! Jak cudowne...

- Tu chodzi o coś... więcej - powiedział. Dziecku drżał podbródek.

-Nie mogę... nie mogę zmienić twojego zdania, no nie?

-Nie możesz.

Wstała i pokazał coś, co kryła za plecami. Było to małe drewniane pudełeczko z

dziwnymi, ślicznymi rzeźbami. Enola otworzyła wieczko i rozległa się muzyka. Melodia.

Jej melodia.

-Weź to jako prezent - powiedziała. - I myśl o mnie.

Pocałowała go i uciekła we łzach do wioski. Żeglarz udał się łódki, przy której czekała Helen.

Gregor i Pięść Prawa podeszli bliżej. Stary wynalazca dźwigał wór na ramieniu.

-Co tam masz takiego? - spytał Gregor, wskazując głową na grające pudełko.

-Jest moje - powiedział Żeglarz. Mówił bardziej usprawiedliwiającym tonem, niż zamierzał. - Enola mi to dała...

-Ależ oczywiście - rzekł Gregor. Jego sympatyczna twarz zmarszczyła się w uśmiechu. Łagodnie położył Żeglarzowi dłoń na ramieniu. - Ja też mam coś dla ciebie. Starzec zrzucił wór z ramienia i postawił go ciężko na piasku u stóp Żeglarza.

- To ziemia - powiedział Gregor i władował go na łódź. - Nie prehandluj wszystkiego w jednym miejscu... a może powinienem zachęcić cię do wymiany za darmo. W ten sposób szybciej będziesz miał powód, żeby wrócić i nas odwiedzić.

Pięść Prawa wystąpił naprzód i niezgrabnie wyciągnął rękę.

-To wszystko, co mam do zaproponowania, włączęgo.

-To wystarczy - rzekł Żeglarz i uściśnęli sobie dłonie patrząc prosto w oczy, połączeni więzią, jaka spaja dwóch wojowników, którzy walczyli w jednej bitwie.

Gregor kiwnięciem głowy dał do zrozumienia Pięści Prawa, że może Helen i Żeglarz chcą trochę intymności. Dwaj mężczyźni poszli przez plażę do wioski.

Żeglarz kontynuował pakowanie zapasów, którymi przyjaciele tak szczerze go obsypali. Helen stała i przyglądała się temu.

-Czy to dla ciebie łatwe? - spytała.

-Co?

-Tak po prostu odpłynąć.

Przełknął ślinę, włożył na łódź gliniany dzban wieśniaków pełen czystego hydro.

-Nigdy nie mówiłem, że to łatwe.

-Ja też mam coś dla ciebie. Coś, co może ci się przydać w podróży...

Te prezenty sprawiały, że zaczął czuć się nieswojo...

-Wolałbym mieć coś dla ciebie na wymianę... - rzekł.

-Nie, to jest za darmo.

-Nie ma nic za darmo w...

-Niech to będzie pierwsze - powiedziała. Spojrzał jej głęboko w oczy.

-To imię - powiedziała. I nadała mu je.

-Mam... mam coś dla ciebie - powiedział.

-Powiedziałam, że nie chcę wymiany.

-Jest za darmo. To dar.

I bardzo łagodnie, czule ją pocałował.

Szły między drzewami, aż dotarły na szczyt. Była tam polana, za którą opadała przepaść. Helen i Enola przyglądały mu się złączone uściskiem. W oddali jego łódź pokonywała migotliwą niebieskość, wpłynęła w mgłę, malała coraz bardziej i bardziej, połykana przez nie kończący się przestwór oceanu.

Nawet gdy już znikł, kobieta i dziewczynka stały, patrzyły trzymając się za ręce.

-To imię - powiedziała Enola. - Skąd je wzięłaś?

-Z opowieści, starej opowieści o wielkim wojowniku, który wracał z bitwy.

-To stara opowieść?

-Tak.

-Opowiedz mi, Helen. Opowiedz mi ją.

I Helen usłuchała prośby dziecka, a gdy skończyła, razem cofnęły się ze skraju urwiska. Mało się przy tym nie potknęła zahaczając o resztkę proporczyka, który ktoś kiedyś wbił w ziemię. Najpewniej było to w starożytnych czasach. Obok Proporczyka ziemia na wpół zasłoniła bardzo starą tarcicę z napisem: „W tym miejscu w 1953 r. Hillary i Norg, pierwsi postawili stopę na szczycie Everestu”.

Helen wzięła Enolę za rękę i zanurzyły się między drzewa idąc w dół stoku, ku wiosce. A kiedy szły, Enola śpiewała, lecz jej piosenka była inna.

- Jest mężczyzna, mieszka na wietrze, na wietrze...

## EPILOG

...Jest mężczyzna, mieszka na wietrze, jego matką jest księżyc.

Co to, moje dzieci? Czy to historia, którą Helen opowiedziała dziewczynce?

No cóż, wielki wojownik akurat wypłynął na morze, gdy bóg wody go przeklął. Przez dziesięć lat wojownik błąkał się po morzach nie mogąc znaleźć drogi do domu.

Tak, to smutna opowieść... ale ma szczęśliwe zakończenie.

W końcu bogowie ulitowali się nad nim. Wezwali ciepły wiatr, który zawiódł go do domu - i do rodziny. I wiecie co? Nigdy już jej nie opuścił. Ani domu.

Jak się nazywał?

Ulisses.

Tak, to imię nadała Helen Żeglarzowi.

Czy kiedykolwiek powrócił?

Och, moje dzieci... Starą Enolę zmęczyło to całe gadanie, a to jest inna opowieść...